

MARIAN BRANDYS

ŚLADAMI STASIA I NEL

CZYTELNIKOM „W PUSTYNI I W PUSZCZY”

KSIĄŻKA
WYRÓŻNIONA ORLIM PIÓREM
W PLEBISCYCIE CZYTELNIKÓW
PŁOMYKA I ŚWIATA MŁODYCH
W ROKU 1965

ROZDZIAŁ I

Telefon z redakcji - Wielka nowina - Żeby was tylko krokodyle nie zjadły - Pierwszy sprawunek podróżny - Ja także byłem małym chłopcem

Cała historia zaczęła się w dniu pierwszym kwietnia 1956 roku. Tego dnia, z samego rana, w moim mieszkaniu zadzwonił telefon.

Telefonowano z redakcji tygodnika, do którego pisuję reportaże. Zakatarzony głos sekretarki redakcyjnej był zadyszany z przejęcia i pośpiechu.

- Prosimy, żeby pan zaraz do nas przyszedł, ale możliwie jak najszybciej. Chce mówić z panem Naczelnym Redaktorem. Wydaje mi się, że chodzi o jakąś ważną sprawę.

Każdy, kto choć trochę orientuje się w pracy dziennikarskiej, wie, że takie nagłe wezwanie do Naczelnego Redaktora zazwyczaj nie wróży nic dobrego. Szedłem więc do redakcji pełen najgorszych przeczuć,

„Z pewnością chcą mnie uszczęśliwić jakimś wyjazdem w teren - myślałem z niechęcią, brnąc przez wiosenne błotko. - Znamy dobrze te ważne sprawy redakcyjne. Prawdopodobnie w którymś z powiatów »zawalili« akcję siewną albo kierownik jakiejś gminnej spółdzielni zrobił grubsze »manko«. I teraz przez tych bałaganiarzy i złodziejasków ja, nieszczęsny reporter, będę musiał porzucić swój ciepły dom, przerwać ledwie rozpoczętą pracę i tłuc się przez dzień lub dwa, o chłdzie i głodzie, po najbardziej zapadłych kątach województwa. Przy takiej pogodzie, jak dziś, grypa murowana. A reportażyk wyjdzie z tego wątlutki, skromniutki, najwyżej na jedną szpaltę druku. Bihme!¹ Zawód reportera to chyba najpodlejszy zawód pod słońcem!”

Ale tym razem nie chodziło o zwykły wyjazd w teren. Wyczułem to natychmiast po wejściu do redaktorskiego gabinetu. Naczelnym miał twarz skupioną i uroczystą. Bez słowa wskazał fotel i zaraz poczęstował mnie papierosem, co w stosunkach redakcyjnych uchodziło za dowód zupełnie wyjątkowych względów. Zrozumiałem, że tym razem będzie to naprawdę bardzo ważna rozmowa.

Przez dobrą minutę siedzieliśmy naprzeciwko siebie w zupełnym milczeniu, mierząc się tylko badawczo wzrokiem. Potem Naczelnym zagaił w sposób zupełnie nieoczekiwany:

- Słuchajcie no, kolego, wy przecież interesujecie się Afryką, prawda?

Tak mnie to pytanie zaskoczyło, że w pierwszej chwili zupełnie zbaraniałem. Więc po

¹ Wykrzyknik, którego autor używa w chwilnych podniecenia, nie wiedząc dokładnie, co on oznacza.

to mój szef oderwał mnie od rozpoczętego artykułu? Po to z samego rana wzywał do redakcji? Żeby mi zadawać pytania jak na radiowych kursach języków obcych? Oczywiście, że interesuję się Afryką. Ale cóż w tym nadzwyczajnego. Dzisiaj Afryką interesują się wszyscy.

- Właśnie o to chodzi! - ucieszył się Naczelny. - Teraz Afryka, jak to się mówi, jest „na rozkładzie”. Powstają nowe państwa... Nawiązujemy stosunki handlowe... Wysyłamy przedstawicieli dyplomatycznych... Słowem: ruch w interesie. Oczy całego świata zwrócone są na Afrykę, a czytelnicy domagają się ciągle afrykańskich reportaży. Musimy je dawać, bo inaczej zleci nam nakład. Dlatego redakcja postanowiła...

Redaktor przerwał na chwilę, żeby mnie jeszcze bardziej zaciekawić, po czym przymrużył oko i spojrzał na mnie tak, jakby prowadził teleturniej „Dwadzieścia pytań”.

- A może wy sami, kolego, zgadniecie, jakie mamy zamiary w stosunku do waszej osoby?

Zachowanie szefa było nad wyraz dziwne i upoważniało do najbardziej fantastycznych przypuszczeń. Poczulem lekkie dławienie w gardle, a serce zaczęło mi bić tak głośno, iż byłem najgłębiej przekonany, że Naczelny to słyszy. I chyba rzeczywiście słyszał, bo dłużej już mnie nie męczył.

- Nie chcecie zgadywać, to sam powiem - uśmiechnął się tryumfalnie. - Chcemy was wysłać na reportaż do Egiptu. Objedziecie Republikę Arabską wzdłuż i wszerz, sprawdzicie, czy piramidy stoją na swoich miejscach i czy Nil po dawnemu płynie z południa na północ. Poza tym obejrzyjecie inne rzeczy godne widzenia, poznacie kraj, ludzi, obyczaje i napiszecie z tego kilkanaście dobrych reportaży. No, jak? Odpowiada wam ta propozycja?

W obszernym gabinecie redaktorskim było zupełnie chłodno, ale po usłyszeniu tych słów zrobiło mi się tak gorąco, jakbym już był w Afryce. Czy odpowiada mi ta propozycja? Dobrze sobie. Ilu reporterów na próżno czeka przez całe życie na podobną okazję. Egipt! Sahara! Beduini! Wielbłądy! A może nawet słonie! Lwy! Poczulem, jak wstępuje we mnie dusza nieustraszonego podróżnika. Oczywiście, że ta propozycja mi odpowiada. Gotów jestem wyjechać do Egiptu choćby jutro. Co mówię: jutro? Dziś! Za godzinę! Natychmiast.

Naraz przeleciała mi przez głowę straszna myśl. Przecież to dziś pierwszy kwietnia! Prima aprilis! Nabrali mnie! Zrobili ze mnie balona! Dałem się wziąć na najzwyklejszy kawał primaaprilisowy. Redaktor sobie zażartował, a ja od razu „kupiłem” żart, bez zastanowienia, jak ostatni dureń! Teraz koledzy będą się ze mnie nabijać przez dobry miesiąc. Chciałeś podobno wyjechać na reportaż do Egiptu? A do Pacanowa nie łaska?

Zacisnąłem zęby i chociaż serce krwawiło mi z żalu, zdobyłem się na ton suchy i

ironiczny.

- Bardzo pana redaktora przepraszam, ale nie! Egipt jakoś mnie nie pociąga. O, gdyby na przykład trzeba było do Pacanowa, to owszem, z największą przyjemnością. Albo do Wołomina. Natychmiast, w te pędy. A do Egiptu jakoś nie... A zresztą w dniu pierwszym kwietnia lepiej nie podejmować ważnych decyzji.

Naczelny ze zdumienia aż się pochylił do przodu, a oczy zrobiły mu się wielkie i zupełnie okrągłe. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie tymi okrągłymi oczami z wyrazem głębokiej troski i współczucia, ale w końcu odgadł, w czym rzecz, i zaczął się śmiać z całego serca.

- Bądźcie spokojni, kolego, to żaden prima aprilis - śmiał się, ocierając załzawione oczy. - Propozycja jest jak najbardziej serio. Żeby was o tym przekonać, zaraz każę sekretarce wypisać dla was wnioski na paszport i dewizy. A wam po przyjacielsku radzę: nie traćcie czasu na niepotrzebne wątpliwości, tylko zabierajcie się od razu do przygotowań podróży. Wyprawa na inny kontynent to nie jest bagatela.

I rzeczywiście, zaraz przyszła sekretarka i zaczęła mi podsuwać do podpisu rozmaite formularze i kwestionariusze. Wyglądało to bardzo poważnie i podziało na mnie uspokajająco.

Na pożegnanie Naczelny zażartował:

- A jak będziecie nad Nilem, to uważajcie, żeby was przypadkiem krokodyl nie Chapman. To się tam zdarza.

Daiwna rzecz, ale dopiero ten redaktorski żart o krokodylu przekonał mnie ostatecznie, że naprawdę wyjadę do Egiptu.

Wyszedłem z redakcji radośnie podniecony. Na ulicy padał śnieg zmieszany z deszczem i zaciął chłodny wiatr. Z chodników uprzątno brudną, śniegową bryję. Zagrypieni przechodnie kichali i pokaszliwali w kołnierze. Była przedwiosenna plucha warszawska, najobrzydliwsza, jaką można sobie wyobrazić. Ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało. Myślałem już o tysiące kilometrów od Warszawy. Oczami wyobraźni widziałem bezkresne, spalone słońcem piaski. Twarz mi owiewał duszny powiew samumu. Nie zważając na chłód i wiatr, opuściłem kołnierz płaszcza i rozchyliłem szal. Czułem się jak bohater podróżniczej powieści, którego czekają przedziwne, niebezpieczne przygody. Kroczyłem dziarsko i zamaszyście, rozpryskując wkoło fontanny błota. „Zawód reportera - myślałem - to chyba najwspanialszy zawód pod słońcem”.

Przy rogu Nowego Świata i alei Jerozolimskich przypomniałem sobie życzliwą radę Naczelnego i postanowiłem niezwłocznie zabrać się do przygotowań i zakupów podróży.

Zgadnijcie, drodzy Czytelnicy, od czego te przygotowania zacząłem? Jaki był mój pierwszy sprawunek związany z wyprawą afrykańską?

Myślicie pewnie, że zaopatrzyłem się w korkowy kask tropikalny?

...Albo w sztucer belgijski na grubego zwierza?

...Albo przynajmniej w dokładną mapę Afryki?

Otóż nie, moi kochani. Nic z tych rzeczy. Przede wszystkim wstąpiłem do księgarni i kupiłem książkę Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”.

Widzę wasze zdziwione miny. Niektórzy wykrzywiają się ironicznie.

Chwileczkę, moi Zdziwieni, chwileczkę, moi Ironiczni! Zaraz wam wszystko wytłumaczę.

Dawno, dawno temu, przed jakimiś trzydziestu pięciu laty, ja również byłem młodym chłopcem. Tak samo, jak wy, chodziłem do szkoły i tak samo, jak wy, przepadałem za powieściami podróżniczymi.

Staś Tarkowski i Nel Rawlison byli moimi pierwszymi przewodnikami po Afryce. Wędrowałem z nimi przez pustynie i puszcze Sudanu. Dzięki nim poznawałem roślinność i zwierzyinę buszu i dżungli. Z nimi uciekałem z niewoli Mahdystów. Zabijałem lwy i oswajałem słonie. Drżałem w atakach febry i konałem z pragnienia. Takich wrażeń - moi kochani - nie zapomina się nigdy.

I kiedy przyszło do tego, że naprawdę miałem wyjechać do Afryki, znowu zateęskniłem do pierwszej afrykańskiej książki mego życia i zapragnąłem w jakiś sposób spłacić dług wdzięczności jej małym bohaterom.

Na czytanie przed wyjazdem nie było już czasu. Zapakowałem książkę od razu do walizki jako pierwszy i najważniejszy przedmiot mego ekwipunku afrykańskiego.

Tak oto rozpoczęła się moja wędrówka śladami Stasia i Nel.

ROZDZIAŁ II

Podróż do Afryki dawniej a dziś - Jak przez Szejka o mało co nie zostałem w Pradze - Rekiny Morza Śródziemnego - Kair widziany z góry - A narty pan ma? Egipt to nie Finlandia - Straszna noc w hotelu - Teraz wreszcie wiem, że jestem w Egipcie

Dawniej, kiedy ktoś wybierał się do Afryki, to przygotowywał się do tego przez cały rok, a sama podróż też zabierała mu sporo czasu. Najpierw jechało się pociągiem przez pół Europy, aż do włoskiego portu Neapol. Pociąg przejeżdżał przez różne kraje i przez rozmaite granice, a że jazda była męcząca, więc podróżny zatrzymywał się dla odpoczynku to w tym, to w owym mieście. Potem w Neapolu wsiadał na statek i zasadniczą część drogi przebywał morzem. A trzeba wiedzieć, że żegluga na Morzu Śródziemnym nie była jeszcze wtedy tak bezpieczna, jak dzisiaj i obfitowała w rozmaite przygody i przypadki. Kiedy więc po szczęśliwym przejściu przez wszystkie burze i huragany statek dopływał wreszcie do Aleksandrii, podróżny wychodził na ląd afrykański, chwiejąc się na nogach, nieładnie zmordowany walką z żywiołem, wycieńczony chorobą morską. Ale na tym nie kończyły się przyjemności. Kto chciał jechać do Kairu, musiał znowu ładować się do pociągu i tłuc się jeszcze przez kilka godzin w dusznym, niewygodnym wagonie.

Tak właśnie jechał do Egiptu przed siedemdziesięciu laty autor „W pustym i w puszczy”, Henryk Sienkiewicz. Jego podróż z Warszawy do Kairu trwała przeszło dwa tygodnie.

Była to prawdziwa podróż w całym tego słowa znaczeniu. Człowiek się trochę wymęczył, ale przynajmniej czuł, że jedzie do innej części świata.

A teraz co? Teraz te dwa tysiące paręset kilometrów, dzielące Warszawę od Kairu, przelatuje się samolotem w jeden dzień. Całą podróż odbywa się trzema skokami. Pierwszy skok - z Warszawy do Pragi Czeskiej. Drugi - z Pragi do Rzymu. Trzeci - z Rzymu do Kairu.

O ósmej rano jadłem jeszcze śniadanie w moim mieszkaniu warszawskim, przeglądałem ostatni numer „Świata” i z melancholią patrzyłem na strugi deszczu spływającego po szybach, a o jedenastej wylądowałem już na lotnisku praskim. W Pradze deszcz nie padał, ale było mgliście i zimno. Powiedziano nam, że trzeba czekać godzinę na przylot samolotu „India Air”, którym mieliśmy odbyć dalszą podróż.

Szczęśliwi posiadacze koron czeskich pobiegli zaraz do bufetu, żeby coś przekąsić. Ja waluty czeskiej nie miałem, postanowiłem więc spędzić tę godzinę w bezpłatnym kinie na lotnisku. Wyświetlano właśnie film „Przygody dobrego wojaka Szejka”.

Przygody Szwejka są szalenie zabawne i przy ich oglądaniu czas mija bardzo szybko. Siedziałem sam w pustej, ciemnej salce i wkrótce tak mnie pochłonęły śmieszne historie rozgrywające się na ekranie, że zapomniałem o całym świecie.

W najweselszym momencie filmu, kiedy porucznik Łukasz, zwierzchnik Szwejka, łajał go ostatnimi słowami za jego gapiostwo, w salce nagle zapalono światło, a obok mnie wyrósł jak spod ziemi zdenerwowany funkcjonariusz lotniska.

- Kde vy se straceli? Prece již dvakrát vzyvali vas rozhlasem ².

Ton jego do złudzenia przypominał ton porucznika Łukasza z filmu. Okazało się, że samolot jest od dawna gotów do odlotu i czeka tylko na mnie.

Wyprysnąłem z kina jak pocisk z wyrzutni i pobiegłem do samolotu. Ogromny czteromotorowy „Super-Constellation” linii „India Air” parskał niecierpliwie wszystkimi czterema motorami. Indyjska załoga powitała mnie spojrzeniami tak wiele mówiącymi, że chociaż nie znam zupełnie języka „hindi”, zrobiło mi się nad wyraz przykro.

Zaraz ruszyliśmy do startu i w niecałe cztery godziny dolecieliśmy do Rzymu.

Na lotnisku rzymskim nie było ani deszczu, ani mgły, ani chłodu. Z wczesnego przedwiośnia wjechaliśmy w sam środek lata. Rozkoszne ciepło. Łagodny, przyjemny wietrzyk. Dużo kwiatów. Panowie w koszulkach z krótkimi rękawkami, panie bez pończoch.

Niestety, w Rzymie mieliśmy tylko „lądowanie techniczne”. Po sprawdzeniu motorów od razu poleciliśmy dalej.

Ostatni skok: Rzym - Kair.

Około siódmej wieczorem minęliśmy obcas apenińskiego buta. Potężny podmuch morskiego wiatru uderzył w samolot z prawej strony, zapędzając nam serca aż do gardła. Byliśmy nad morzem.

W przejściu między fotelami stanęła indyjska stewardessa i obwieściła melodyjnym głosem:

- Ladies and gentlemen, we are crossing the Mediterranean Sea! ³

Potem wyjęła z brezentowej torby coś, co przypominało składany spadochron, i zaczęła nam tłumaczyć sposób korzystania z tego tajemniczego urządzenia, nazywanego przez nią „kamizelką życia”.

Stewardessa była bardzo sympatyczna i ogromnie jej było do twarzy w zgrabnym, granatowym kostiumiku i w fantazyjnej furazerce. Ale to, co mówiła, budziło żywy niepokój.

² Gdzie pan przepadł? Przecież już dwa razy wzywali pana przez megafon (czeski).

³ Proszę państwa, przelatujemy nad Morzem Śródziemnym! (angielski).

Dowiedzieliśmy się, że każdy z pasażerów ma pod swoim fotelem taką samą torbę z „kamizelką życia”. W razie gdyby samolot wpadł do morza, należało to urządzenie na siebie nałożyć i czekać bez trwogi na dalszy rozwój wydarzeń. „Kamizelka życia” - jak zapewniała stewardessa - umożliwi nam utrzymanie się przez dłuższy czas na powierzchni morza i zabezpieczy nas przed atakami rekinów.

Natychmiast wszyscy rzucili się do przymierzania zbawczego urządzenia, ale mimo optymistycznych perspektyw, jakie roztoczyła przed nami dziewczyna w furazerce, nikt nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego.

Ja również wyciągnąłem spod fotela swoją „kamizelkę życia” i usiłowałem się w nią ubrać. Tyle tam było jednak skomplikowanych tasiemek i sprzączek, że po paru nieudanych próbach odrzuciłem ją z powrotem pod fotel.

Tymczasem stewardessa uznała widocznie, że jesteśmy już wystarczająco zabezpieczeni przed atakiem rekinów Morza Śródziemnego, i zajęła się przygotowaniem kolacji. Każdy z pasażerów otrzymał filiżankę herbaty i apetyczną tacuszkę z kanapkami. Rażny szcęk noży i widelców bardzo przyjemnie urozmaicił monotonne huczenie czterech motorów. Potem nasze opiekuńcze bóstwo indyjskie szybko uprzątnęło opróżnione naczynia, zgasiło główne światła i życząc nam dobrej nocy, wycofało się do kabiny załogi.

Gwałtowna zmiana ciśnienia, suta kolacja i półmrok zrobiły swoje. Wkrótce cały samolot pogrążył się w głębokim śnie.

Przyśniło mi się, że pływam po morzu, szamocząc się rozpaczliwie z tasiemkami „kamizelki życia”, pod łakomym, wyczekującym spojrzeniem rekinów.

Naraz z przerażeniem spostrzegłem, że największy rekin miał twarz mojego Redaktora Naczelnego. Wygrażał mi palcem i śmiał się szyderczo:

„Myślicie, kolego, że płyniecie do Afryki? Akurat! Prima aprilis! Płyniecie do Pacanowa! Do Pacanowa! Do Pacanowa!”

Krzyknąłem rozpaczliwie i... obudziłem się. Na szczęście, nikt mego krzyku nie dosłyszał, bo w samolocie panował niezwykle ruch i gwar. Paliły się już wszystkie lampy, a pasażerowie przywoływali się do okien, mocno czymś podnieceni. Spojrzałem w dół, i znowu krzyknąłem.

Cóż to było za wspaniałe, jedyne w swoim rodzaju widowisko! Na czarnej płachcie nocy rozłożono chyba wszystkie ozdoby choinkowe świata. Ogromne, świetliste miasto skrzyło się milionem kolorowych blasków. Widok był tak piękny i niezwykle, że dorośli cieszyli się głośno jak dzieci.

Nad kabiną pilotów rozświecił się napis. Kapitan samolotu prosił przez mikrofon

pasażerów o zgaszenie papierosów i zapięcie pasów bezpieczeństwa. Za trzy minuty lądowanie w Kairze. Godzina pierwsza po północy. Od startu z Warszawy upłynęło niespełna szesnaście godzin.

Lądowanie odbyło się bez żadnych komplikacji. Zszedłem z samolotu na grunt afrykański ostrożnie i w pozycji obronnej. W Warszawie uprzedzono mnie, że bezlitosny upał zwala tu z nóg jednym uderzeniem. Ale okazało się to zwykłą bujną jak większość warszawskich informacji o Egipcie. Nie było wcale cieplej niż u nas w parne wieczory lipcowe.

Ogromne lotnisko kairskie, jeden z największych punktów przelotowych świata, dudniło nie milkącym hukiem motorów. Przechodziliśmy obok potężnych maszyn najrozmaitszych typów, barw i bander. Egipskie „Misr-Air”... Brytyjskie „BOAC”... Holenderskie „KLM”... „Air-France”... Srebrzystoczerwone „Swiss—Air”... Tęczowe „Ethiopian-Air Lines”... Stało to wszystko w uporządkowanych szeregach jak na międzynarodowym pokazie lotniczym. Z jaśniejącego światłami białego dworca wysypali się celnicy w mundurach khaki i w okrągłych czapkach. Za ich plecami dostrzegłem pierwsze turbany i długie, białe „galabije”⁴ egipskich tragarzy. Lotnisko otaczała z trzech stron najprawdziwsza pustynia. Powiało od niej wiatrem i poczułem dziwną, drażniącą woń. Trochę pachniało stamtąd lwem, trochę proszkiem DDT.

Potem czekaliśmy na ukończenie odprawy celnej, postanowiłem więc doprowadzić do porządku swoje uszy, które zupełnie się zatkały wskutek raptownej zmiany ciśnienia. Miałem na to wypróbowany sposób: trzeba było trochę poskakać, na przemian to na jednej, to na drugiej nodze, pochylając głowę w stronę tej nogi, na której się skakało.

Najpierw podskoczyłem trzy razy na prawej nodze, skłaniając głowę w prawo. Od razu pomogło: prawe ucho się odetkało.

Kiedy zmieniałem nogę, zauważyłem, że moje skoki obserwuje z wyraźnym zainteresowaniem jakiś mały człowieczek o bardzo smutnej twarzy.

W pierwszej chwili się zawstydzilem, lecz zaraz machnąłem na to ręką. Nie mogę się przecież liczyć z pierwszym lepszym egipskim gapiem. Uszy są ważniejsze. I zacząłem skakać na lewej nodze. Kiedy lewe ucho także się odetkało, smutny człowieczek podszedł do mnie i uchylając kapelusza, spytał:

- To pewnie pan jest tym reporterem z Warszawy? - Po czym wyciągnął rękę i przedstawił się: - Bieganek jestem, z polskiego konsulatu. Wasza redakcja telegrafowała, żeby się panem zająć.

⁴ Długa, obszerna szata wierzchnia - ludowy strój Egipcjan. Galabije bywają białe i kolorowe.

Poczułem głęboką wdzięczność do Naczelnego za to, że tak o wszystkim pamiętał. Jak mogłem nawet we śnie wyobrazić go sobie jako rekina.

Tymczasem smutny urzędnik konsulatu zajął się moim bagażem. Był to jakiś dziwny typ. Mimo gorąca nosił grubą jesionkę, a szyję otuloną miał ciepłym szalem. Po odebraniu moich waliz od celników zagadnął mnie niespodzianie:

- A gdzie pan ma narty?

- Jakie narty? - przeraziłem się. - Nie mam nart. Po co narty w Egipcie?

- W Egipcie? A tak, w Egipcie narty są niepotrzebne - skrzywił się płaczliwie pan Bieganek. -

Bardzo przepraszam, to moje przekłete roztargnienie! Ale widzicie, ja jestem w Egipcie dopiero od kilku dni. Przedtem przez trzy lata pracowałem w konsulacie w Helsinkach. W Finlandii wszyscy mieli narty. Tam w ogóle było inne życie. A tu... - I smutny człowieczek beznadziejnie machnął ręką.

Z lotniska jechaliśmy początkowo alejami willowego przedmieścia Heliopolis, a później wpadliśmy w kipiący wir Kairu.

Mimo nocnej pory jasno oświetlonymi ulicami płynęły rozgadane, rozkrzyczane, cudownie kolorowe tłumy. Europejskie ubrania mieszały się z białymi galabijami, najmodniejsze suknie kobiet ze wschodnimi „czarczafami”, gęstymi woalkami, podciągniętymi pod same oczy. Migwały wyraziste twarze we wszystkich odcieniach brązu - od jasnego daktyla po ciemną czekoladę. Przed sklepami piętrzyły się piramidy bladożółtych pomarańcz i maleńkich zielonych cytryn. Uliczni przekupnie ogłuszającym wrzaskiem zachwalali swoje towary. Ze wszystkich stron mrugały barwne neony. Co za wspaniałe miasto!

Kair zachwyił mnie od pierwszego spojrzenia, natomiast pan Bieganek, którego zbyt raptownie przesiedlono z mroźnej Finlandii do gorącego Egiptu, wszystko ganił i wszystko miał za złe. Całą drogę zatruwał mi swoim zrządzeniem.

- Widzi pan, oni tak zawsze. W dzień śpią, a nocą wylęgają na ulice... Co za kraj! Czy uwierzy pan, że tu w ogóle nie znają śniegu? Co mówię: śniegu... tu nawet deszcz nie pada... Rozumie pan, przez cały rok ani kropli deszczu... A ile komarów! A jakie ceny. Rany boskie! Wszystko dwa razy droższe niż w Finlandii! W Helsinkach kilo wołowego mięsa...

Na skrzyżowaniu dwóch wielkich ilic zagarnęła nas fala aut i porwała z sobą. Na chwilę zapomniałem, że jestem w Afryce. Przecież to Paryż, Londyn, Moskwa! Ruch kołowy dziesięć razy większy niż w Warszawie.. Większość wozów lśni wspaniałą nowością. Reprezentowane są wszystkie marki świata...

Ale przed wjazdem na most Ismaila fala samochodów zatrzymała się raptownie wskutek nagłej przeszkody. Cóż to? Patrzcie, patrzcie! Bulwarem nadbrzeżnym kroczy majestatycznie karawana obładowanych drzewem wielbłądów. Co za widok! A więc jednak Afryka! A pan Bieganek zgryźliwie sący mi w ucho:

- Wielbłądy w środku miasta! Nie, w Finlandii nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć.

Ruszyliśmy dalej. Przecieliśmy szeroką wstęgę Nilu. W różowej poświacie neonów chwiały się na rzece pstro ścięte żagle starożytnych egipskich feluk⁵.

I wreszcie hotel, w którym czekał na mnie zamówiony pokój. Władowaliśmy się z panem Biegankiem na górę. Służący hotelowy w czerwonym fezie i śnieżnej galabii, przepasanej czerwoną szarfą, wniósł za nami walizy.

Pokój nie był specjalnie wytworny. Szczelnie zamknięte okna i szczelnie zasunięte drewniane okiennice. Powietrze przesycone słodkawym zapachem proszku DDT.

Pan Bieganek pociągnął nosem i stwierdził z obrzydzeniem:

- Duszno, pokój nie wietrzony od miesięcy! Czuć trupem!

- W Helsinkach pokoje z pewnością były wspaniale wietrzone - skończyłem za niego domyślnie.

Twarz smutnego człowieka na moment się rozjaśniła.

- Naturalnie... a skąd pan o tym wie?...

Po odejściu przedstawiciela konsulatu zabrałem się do rozpakowywania waliz. Spocilem się przy tym setnie, bo w pokoju było duszno, rzeczywiście nie do wytrzymania. Pan Bieganek miał chyba trochę racji. Dziwni ci Egipcjanie. U nas, kiedy w pokoju jest duszno, otwiera się okna na oścież, a oni nie tylko że okna mają zamknięte, ale barykadują się jeszcze okiennicami. Śmiechu warte! Trzeba z tym zaraz zrobić porządek!

Na ścianie wisiała wprawdzie kartka z drukowanym napisem: Nie otwierać okien przy zapalonych światłach - ale zlekceważyłem ją. Ładnie by człowiek wyglądał, gdyby przejmował się każdym przepisem hotelowym. A zresztą, co za idiotyzmy! Nikt nie ma prawa mi rozkazywać, jak mam wietrzyć mój pokój: przy świetle czy po ciemku.

Otworzyłem szeroko okna i odemknąłem okiennice. Do pokoju wpłynęła fala świeżego, nocnego powietrza i od razu zrobiło mi się raźniej. Wiadomo: powietrze - to zdrowie! Bardzo byłem z siebie zadowolony.

W dole huczał gwar kairskiej ulicy, naprzeciw okna sterczała dumnie smukła wieża minaretu.

⁵ Łódź do przewożenia towarów.

„Piękny, ciekawy kraj - myślałem z satysfakcją - ale higieny życia codziennego nie znają, będą się musieli jeszcze długo od nas uczyć”.

Kiedy pokój był już należycie przewietrzony, zamknąłem okna, zgasilem światło i położyłem się spać.

I wtedy od razu się zaczęło.

Z pewnością czytaliście „Podróże Guliwera” i pamiętacie ten moment, kiedy Guliwer leżał związany na ziemi, a Liliputianie strzelali do niego zatrutymi strzałami ze swych maleńkich łuków.

Owej pierwszej nocy, leżąc w egipskim łóżku hotelowym, przeżywałem dokładnie takie same męczarnie, jak nieszczęsny doktor Guliwer.

Mały, niewidzialny wróg atakował mnie ze wszystkich stron, raniąc zatrutymi strzałami. Była to planowa akcja strategiczna, opracowana w najdrobniejszych szczegółach. Najpierw rozległo się krótkie bzyknięcie, potem następowało bolesne ukłucie. Zawsze w miejsce najmniej oczekiwane.

Poniewczasie zrozumiałem, dlaczego Egipcjanie nie pozwalali otwierać okien przy zapalonym świetle. Bronili się w ten sposób przed inwazją strasznych moskitów znad Nilu.

Nie wiercie, jeżeli wam powiedzą, że moskity to po prostu komary. Polski komar tak ma się do egipskiego „namoos”, jak mały, pokojowy piesek do rozjuszonego brytana łańcuchowego.

O czwartej nad ranem, głośno jęcząc, zwlokłem się z łóżka, zapaliłem światło i przejrzałem się w lustrze. Zobaczyłem obcą, spuchniętą gębę tak niewypowiedzianie komiczną, że gdyby to nie była moja własna twarz, pękłbym chyba ze śmiechu.

O piątej moskity dały mi wreszcie spokój i zasnęły. Wkrótce po nich zasnąłem i ja.

O szóstej wytrącił mnie ze snu jakiś przeciągły, przeraźliwy krzyk.

„Mordują kogoś pod moimi oknami - pomyślałem półprzytomnie. - Dobrze mi się ten pobyt w Afryce zaczyna”.

Zerwałem się na nogi i wyjrzałem przez okno. Na galeryjce otaczającej minaret kręcił się jakiś brodaty facet w turbanie i długim chałacie. Przy ustach trzymał mikrofon i do niego tak się wydzierał.

W jednej chwili oprzytomniałem. Ogarnęło mnie miłe wzruszenie. Przecież to najprawdziwszy muezin. Wprawdzie trochę zradiofonizowany, ale mimo to ciągle jeszcze podobny do tamtych ze wschodnich powieści Karola Maya. Muezin zwołujący wiernych na poranną modlitwę. Allach akbar! Allach jest wielki, a Mahomet jego jedynym Prorokiem.

Powróciłem do łóżka uspokojony. Teraz wiedziałem już na pewno, że jestem w

Egiptie.

ROZDZIAŁ III

Bez Stasia i Nel - Zwiedzanie Egiptu - Student archeologii Halil - Różnice poglądów i wynikające stąd sprzeczki - Pustynia jest straszna - Wyprawa do Asuanu - Historia Nilu

Myślicie pewnie, że zaraz po przyjeździe do Egiptu wyciągnąłem z walizki „W pustyni i w puszczy” i zabrałem się do przypominania sobie trasy podróży Stasia i Nel? Macie prawo tak przypuszczać. Kiedy wyjeżdżałem z Warszawy, ja również planowałem sobie, że od tego rozpocznę wędrówkę po Afryce. Ale, widzicie, z planami jest tak, że nie zawsze dają się wykonać w terminie.

Skoro tylko znalazłem się w Egipcie, natychmiast wpadłem w gorączkowy pośpiech pracy reporterskiej. Pierwszy kraj afrykański wabił mnie tyloma nieznanymi i interesującymi ciekawostkami, że naprawdę nie miałem czasu na przypominanie sobie powieści, nawet najbardziej ulubionych. Książka „W pustyni i w puszczy” długo leżała nie tknięta na samym dnie walizy i bardzo być może, że pozostałaby tam aż do końca mojej afrykańskiej podróży, gdyby nie pewien szczęśliwy zbieg okoliczności, który inaczej pokierował sprawami. Ale o tym będzie mowa dopiero w jednym z następnych rozdziałów, na razie więc nie wyprzedzajmy wypadków.

Musicie mi wybaczyć, że początkowo podróżowałem bez Stasia i Nel - byłem naprawdę bardzo zajęty. Od najwcześniejszego rana do późnej nocy. Uganiałem się po Egipcie jak szalony. Zwiedzałem wspaniałe miasta Północy: Kair i Aleksandrię. Spędziłem wiele dni na plantacjach bawełny w Delcie Nilu. Patrzałem, jak pracownicy „fellachowie”⁶ zbierali z czarnych, bawełnianych krzaków biały, kłaczkowy puch, i starałem się zrozumieć, w jaki sposób z tego roślinnego puchu powstają później nasze „emhadowskie” ubrania, koszule i skarpetki. Potem pojechałem na południe, żeby poznać osobliwości Górnego Egiptu. Oglądałem ze szczytu olbrzymiej zapory wodnej w Asuanie szeroko rozlany Nil, a niedaleko Luksoru, w tak zwanej Dolinie Królów, schodziłem pod ziemię do grobów starożytnych faraonów. Starałem się w miarę możliwości poznać życie fellachów i mieszkańców miast, studentów i urzędników. Wieczorami w dusznym pokoju hotelowym (po pierwszej pamiętnej nocy nie ośmielałem się już nigdy otwierać okien) pisałem o tym wszystkim reportaże. Pisałem dosłownie w pocie czoła, bo byłem bardzo zmęczony i było mi piekielnie gorąco, ale sami rozumiecie, że nie mogłem zawieść zaufania redakcji, która wysłała mnie w tak daleką i kosztowną podróż.

⁶ Chłopi egipscy.

Gdybym wam chciał dokładnie opowiedzieć o moich wędrówkach egipskich, wyszłaby z tego prawie cała książka. Ale chodzi przecież o jak najszybsze nawiązanie kontaktu z bohaterami „W pustyni i w puszczy”, trzeba więc unikać zbytniego gadulstwa. Dlatego umówmy się, że opowiem tylko o paru rzeczach, które szczególnie mocno utkwiły mi w pamięci.

Nie macie pojęcia, jak trudne być reporterem w obcym kraju, jeżeli się nie zna miejscowego języka. W Kairze i Aleksandrii można się jeszcze od biedy dogadać po angielsku lub po francusku, lecz na prowincji egipskiej, w małych miasteczkach i wsiach, ogromna większość ludności zna tylko język arabski, więc porozumieć się niełatwo. No, bo jak: na migi? Na migi można poprosić o szklankę mleka, można się spytać o godzinę, można nawet kupić coś w sklepie.

Ale spróbujcie dowiedzieć się na migi tylu interesujących rzeczy, żeby potem napisać z tego kilkanaście reportaży. Mowy nie ma, trzeba koniecznie mieć tłumacza.

Więc i ja musiałem sobie znaleźć tłumacza. Dopomógł mi w tym pan Bieganek, ów wiecznie skwaszony wielbiciel Finlandii. Dowiedziałem się od niego, że tłumaczenia arabskie dla naszego konsulatu załatwia młody student archeologii Uniwersytetu Kairskiego, niejaki pan Halil, który przez pewien czas był na stypendium w Warszawie i zna dość dobrze język polski. Student zgodził się być moim tłumaczem i odtąd wędrowaliśmy po Egipcie razem.

Halil był inteligentnym, młodym „efendim”⁷, doskonale wprowadzonym we wszystkie problemy egipskie. Niestety, nie mogliśmy uzgodnić naszych poglądów na niektóre sprawy i z tego powodu często dochodziło między nami do drobnych nieporozumień i sprzeczek.

Jak wam już wspominałem, w młodości przepadałem za powieściami podróżniczymi o Afryce. Naczytałem się takich książek bez liku i ta młodzieńcza lektura zaciążyła w wyraźny sposób na moim stosunku do współczesnego Egiptu. W czasie pierwszych wędrówek egipskich interesowały mnie przede wszystkim te elementy, które najlepiej pamiętałem z książek Karola Maya i innych pisarzy tego rodzaju. A więc: turbany, fezy i galabije, kobiety w czarczafach, Beduini i muezinowie, pustynia i karawany wielbłądów. Słowem - to wszystko, co określa się u nas wspólnym mianem egzotyki.

Tymczasem studenta Halila - który był typowym przedstawicielem młodej inteligencji egipskiej - ogromnie irytowało moje ciągłe uganianie się za wchodnią egzotyką. Robił też wszystko, aby mi dowieść, że współczesny Egipt jest takim samym krajem, jak inne, i nie różni się wiele od cywilizowanych państw europejskich.

⁷ Tytuł, jaki nadaje się w Egipcie ludziom wykształconym.

Pamiętam, że do pierwszej sprzeczki między nami doszło z powodu... Beduinów.

Bardzo mnie interesowali ci pustynni koczownicy, bo naczytałem się o nich sporo w rozmaitych powieściach. Zacząłem wypytywać Halila. Czy jest ich wielu na terytorium Egiptu? Co robią, jak żyją? Czy pozostali nadal dumnymi, romantycznymi rycerzami pustyni?

A student aż się zachnął. Beduini dumnymi, romantycznymi rycerzami pustyni?! Mosh saheeh!⁸ Przecież to są złodzieje bydła, niepoprawne włóczęgi i nieroby! Ale rząd wkrótce zrobi z nimi porządek. Będą musieli osiąść na roli i zająć się pracą jak wszyscy porządni obywatele.

Krótko mówiąc, stosunek Halila do romantycznych Beduinów był dokładnie taki sam, jak niektórych ludzi w Polsce do wędrownych Cyganów.

Najczęściej kłóciliśmy się przy robieniu zdjęć fotograficznych na ulicach Kairu. Ja chciałem koniecznie fotografować kobiety w czarczafach i mężczyzn w gałabijach, a student żarliwie się temu sprzeciwiał, dowodząc mi, że obecnie większość kairczyków ubiera się już po europejsku.

Nie chcąc mu sprawiać przykrości zdejmowałem Egipcjan w zwykłych, europejskich ubraniach, choć strasznie mi było szkoda tych galabii i czarczafów.

I tak było z Halilem ciągle. Ja chciałem zwiedzać „suq”, czyli bazar arabski w starej dzielnicy Kairu, a on się popisywał przede mną wspaniałymi wystawami domów towarowych przy ulicy Kasr el Nil. Ja zachwyciałem się wyrobami artystycznymi dawnego rękodziela, a on mi kładł w uszy, ile filmów szerokoekranowych wyprodukował ostatnio egipski przemysł filmowy. Ja o wielbłądach - on o motoryzacji Kairu i Aleksandrii.

Kiedyś udało mi się namówić Halila na wycieczkę samochodem do Aleksandrii. Jedzie się tam przez tak zwaną „szczera pustynię”. Skoro tylko samochód wy dostał się poza obręb przedmieść kairskich, zaraz ze wszystkich stron ogarnęły nas płowoszare piaski. W jednej chwili zapomniałem, że istnieją gdzieś tętniące życiem miasta, przeludnione wsie, plantacje bawełny i luksusowe hotele turystyczne. Między ziemią a niebem zapadł ogromny, martwy spokój, jakiego nie ma nawet wśród zimowych pól ani na ścietym ciszą morzu. Poza gładką szosą z czarnego smołowca i siecią przewodów elektrycznych żaden ślad cywilizacji nie naruszał monotonii pierwotnego krajobrazu. Za szybami samochodu przesuwały się jak na taśmie filmowej wszystkie dziwy Pustyni Libijskiej.

Przy kępce suchych, pustynnych ostów pasie się bez dozoru stadko młodych wielbłądów... Daleko pod samym horyzontem przemyka tajemnicza karawana jeźdźców... Tam

⁸ Ależ to nieprawda! (arabski).

znowu, pod czarnymi, gęsto łątanymi płachtami namiotów, rozłożyło się koczowisko Beduinów. Ciemne, obdarte dzieci przyglądają się przejeżdżającemu samochodowi obojętnie i nieprzyjaźnie... Przy drodze odpoczywa obok swego dromadera strażnik pustyni - „meharysta”. Na głowie ma wspaniały, barwny turban, a zamiast spodni - krótką spódniczkę i wysokie skarpetki koloru khaki... Nie brak było nawet osławionej fatamorgany. Rozedrgane, przesycone słońcem powietrze wywoływało na pustynnych piaskach złudną wizję wąskich, podłużnych jezior, których srebrzysta tafla połyskiwała tak przekonywająco, że na spierzchłych wargach czuło się orzeźwiający smak chłodnych kropel...

To była prawdziwa pustynia afrykańska. O takiej marzyłem przed miesiącem na warszawskim Nowym Świecie.

Odetchnąłem głęboko i powiedziałem do Halila:

- Pustynia jest wspaniała! Teraz czuję, że naprawdę jestem w Afryce.

Te niewinne słowa sprawiły mego towarzysza w nieoczekiwane wzburzenie.

- Jak pan może mówić takie rzeczy! - krzyknął zaczerwieniony z gniewu. - Tylko ktoś, kto ogląda pustynię z okien wygodnego samochodu, może mówić w ten sposób. My, Egipcjanie, znamy ją lepiej i inaczej na nią patrzymy. Pustynia nie jest wspaniała, pustynia jest straszna! Słyszysz pan? Straszna.

Zatoczył ręką szeroki krąg i spojrzał na mnie chmurnie.

- Panu się wydaje, że te piaski są martwe i nieruchome? To tylko pozór. Czai się w nich drapieżna siła. Żywiol groźniejszy i bardziej wrogi życiu niż ogień i woda. Skrada się do swych ofiar niepostrzeżenie jak skrytobójca. Pożera wszystko, co kwitnie i zieleni się. Wysysa ze studzien konieczną do życia wodę. Zasypuje kanały irygacyjne, drogi, domy, wsie i miasta. Drobnutki, lotny piasek wciska się pod powieki ludzkie, sprzyjając rozwojowi najczęstszej naszej choroby - „egipskiego zapalenia oczu”. Nasi fellachowie muszą się ciągle bronić przed atakami pustyni. Pracują ciężko, bez chwili odpoczynku. Znam to wszystko aż nadto dobrze. Mój ojciec był nauczycielem na wsi. Od dziecka patrzyłem na walkę człowieka z pustynią.

Po tym wybuchu studenta zapadło między nami długotrwałe milczenie. Halil był o coś obrażony, ja byłem czymś zawstydzony. Wydawało się, że już do samej Aleksandrii nie zamienimy ani słowa.

Ale w połowie drogi dogonił nas jakiś dudniący łośkot. Nasz kierowca zjechał na skraj szosy i zatrzymał wóz. Wyminęła nas długa kolumna samochodów ciężarowych. Z ciężarówek sterczały w górę szkielety dźwigów budowlanych. Stojący na platformach robotnicy w granatowych kombinezonach pozdrawiali nas wymachiwaniem rąk.

Student żywo odwzajemnił pozdrowienia i humor od razu mu się poprawił.

- Pustynia jest straszna, ale damy sobie z nią radę - powiedział wesoło i na znak pojednania poklepał mnie po plecach. - Wie pan, dokąd jadą te samochody? Do prowincji El Tahrir. To taka wielka, sztuczna oaza, którą nasz rząd tworzy w samym środku pustyni. Ciągnie się tam wodę z kanałów nilowych, przekopuje się piaski, użyźnia ziemię, buduje osiedla. Zobacz pan, że Nil zwycięży pustynię. Kto wie, może za pięćdziesiąt lat w ogóle nie będzie już w Egipcie pustyń. Kto wie? Allach jest wielki.

Słuchałem entuzjastycznych słów Halila i w głowie czułem dziwny zamęt. Jakież skomplikowane i trudne do pogodzenia z sobą są sprawy tego świata! U nas, w Polsce, wielu młodych chłopców ciągle marzy o tym, żeby wędrować po afrykańskich pustyniach i przeżywać różne pustynne przygody. A tu pierwszy mój afrykański znajomy obiecuje mi, że niedługo pustyń w ogóle nie będzie.

Taki ten Halil był. Sprzecaliśmy się, miewaliśmy nieporozumienia, lecz z każdego nieporozumienia wynosiłem dla siebie jakąś korzyść. Poznawałem lepiej Egipt i zdobywałem materiał do reportaży.

Dzięki spacerom i podróżom z Halilem zaznajomiłem się bliżej z całą masą egipskich osobliwości. Najciekawszą z tych osobliwości był niewątpliwie Nil.

W kraju, atakowanym z dwóch stron przez pustynię, susza jest klęską straszną. Oznacza głodową śmierć dla wielu tysięcy ludzi. Dlatego Nil odgrywa w Egipcie tak wielką rolę. Nazywają go Nilem Życiodajnym. Decyduje o życiu i śmierci Egipcjan.

Student Halil opowiedział mi historię Nilu podczas naszego wspólnego pobytu w Asuanie, który jest najdalej wysuniętym na południe miastem egipskim.

Do Asuanu pojechaliśmy pociągiem. Była to moja pierwsza podróż na południe Egiptu, więc każdy jej szczegół żywo mnie interesował.

Przede wszystkim sprawa samego kierunku podróży. Człowiek, przyzwyczajony do posługiwania się mapą, zawsze uważa, że jadąc z północy na południe, jedzie z g ó r y n a d ó ł. Aw Egipcie odwrotnie! Tu, jadąc z północy na południe, jedzie się z Egiptu D o l n e g o do Egiptu G ó r n e g o. Bo kierunki wyznacza Nil. Północna część kraju leży w dolnym biegu Nilu, nazywa się więc Egiptem Dolnym. Południowa - w górnym biegu, jest więc Egiptem Górnym. W Egipcie wszystko zależy od Nilu.

Inna ciekawostka to pociąg pośpieszny Kair-Asuan. Od razu spostrzegłem, że różni się od pociągów kursujących w Północnym Egipcie. Dachy wagonów miał pokryte białym, błyszczącym lakierem, a szyby w oknach przedziałów nie dawały się opuszczać.

Halil zaraz mi wszystko wytłumaczył. Asuan jest najgorętszym miastem w Egipcie,

leży tuż przy zwrotniku Raka, więc pociąg musi mieć tropikalne wyposażenie. Białe lakierowane dachy najlepiej odbijają promienie słoneczne, a okna są hermetycznie zamknięte, bo powietrze wewnątrz wagonów jest sztucznie chłodzone za pomocą urządzenia zwanego z angielska „air-conditioner”.

- Bez tego urządzenia byłoby może więcej egzotycznych wrażeń - zakpił sobie student - ale do Asuanu przyjechałby pan półżywy z gorąca.

Przez dwanaście godzin podróży prawie nie odchodziłem od okna. Linia kolejowa Kair-Asuan biegnie wzdłuż Nilu i z okna wagonu widzi się niemal całą dolinę Środkowego i Górnego Egiptu. Jest to wąziutki, bardzo wydłużony pas gruntów uprawnych, przylegający ciasno do brzegów Nilu. Z obu stron zielonej doliny szczyrzy żółte zęby groźna, żarłoczna pustynia.

W wąskiej dolinie roi się od ludzi i zwierząt. Od razu widać, że Egipt ma bardzo liczną ludność i bardzo mało ziemi nadającej się do uprawy. Białe ubrani fellachowie uwijają się na swoich maleńkich poletkach, a główna ich praca polega na oczyszczaniu z mułu kanałów nawadniających. Wszędzie mnóstwo czarnych, brodatych kóz, ulubionych zwierząt domowych egipskiego chłopca. W dole, przy samym brzegu, drewniane pompy ciągną wodę z Nilu. Obracają się kieraty, zaprzężone w siwe, krętorogie bawolice wodne. Bawolice ryczą, kieraty i pompy skrzypią, fellachowie nawołują się, kozy beczą. W wąskiej dolinie egipskiej panuje ruch, gwar i ścisk jak w trolejbusie warszawskim o czwartej po południu.

A cały ten rejwach zmierza do jednego celu. Żeby wyciągnąć z Nilu jak najwięcej wody zmieszanej z żyznym mułem i rozprowadzić ją siecią kanałów i kanalików aż do najdalej położonych pól. Od tego zależy życie ludzi i zwierząt. Bo tam, gdzie woda nie dotrze, tam nie urodzi się żaden plon.

- Dawniej wszystko zależało od przypadku - tłumaczył mi student. - Jeżeli w górach Abisynii, skąd Nil bierze początek, padało dużo deszczu, rzeka wzbierała wysoko i przynosiła z sobą urodzaj. Często jednak wody było za dużo, następowała więc powódź i niszczał cały dobytek fellachów. Jeżeli zaś deszcze abisyńskie nie dopisały, Nil przyplęwał niski i jego wód nie starczało dla naszych pól. Wtedy zabijała nas susza. Teraz, na szczęście, te zmienne humory Nilu nie są już dla nas niebezpieczne. Halil stuknął wskazującym palcem w szybę okna.

- Widzi pan na polach te kanały nawadniające? Teraz nie wysychają one nigdy. Można śmiało powiedzieć, że każda roślina, którą pan widzi na tych polach, dojrzewa pod opiekuńczym okiem inżynierów z Asuanu. Tama asuańska jest największym skarbem Egiptu.

Do Asuanu przyjechaliśmy późnym wieczorem. Było to południowe, dość zaniedbane miasteczko, zupełnie niepodobne do wielkich, cywilizowanych miast Północy. Parę hoteli

turystycznych, krzykliwy bazar, przystań rzeczna, w wąskich uliczkach całe stada osłów. Czulo się tu już gorący oddech pobliskiej Nubii.

W pokoju hotelowym czekała mnie jeszcze jedna emocja. Nad łóżkiem wisiało coś w rodzaju baldachimu, z którego spływały gęste zwoje mocno przybrudzonego muślinu. Nie trzeba mi było nic tłumaczyć. Odgadłem od razu. Była to „moskitiera”. Urządzenie chroniące przed komarami. Znałem ją przecież z książek.

Tak więc noc w Asuanie przespałem pod najprawdziwszą moskitiera. Muszę stwierdzić, że jest to przyjemność mocno przereklamowana. Przede wszystkim pod moskitierą jest piekielnie duszno. Po drugie - bardzo łatwo się w nią zaplątać. Po trzecie - wchodząc pod nią, trzeba szalenie uważać, aby nie wnieść na sobie zaczajonego moskita. Bo noc w moskitierze razem z moskitem to byłoby już zbyt wiele radości jak na jedną osobę.

Rano wypłatał mnie z moskitiery Halil. Myślałem, że zaraz pójdziemy oglądać tamę asuańską, ale student miał inny plan.

- Tamy to ostatni rozdział historii Nilu - powiedział. - A historię trzeba poznawać od początku. Najpierw pojedziemy na wyspę Elefantine.

Zeszliśmy do rzecznej przystani. Czekala tam już na nas wynajęta przez Halila „dahabija”, czyli żaglówka egipska z ogromnym żaglem w kształcie rombu. Dwaj czarni jak smoła Nubijczycy powieźli nas na Nil.

Potężna rzeka szeroko rozlewała swe błękitne wody wśród szarych, groźnie spiętrzonych skał.

Halil kazał mi zwracać baczną uwagę na wielkie napisy czerniejące na ścianach skalnych. Były to imiona faraonów, wyryte przed tysiącami lat na znak, że tu, pod Asuanem, kończyło się państwo starożytnego Egiptu.

W oddali zaintrygowały mnie wychylające się z wody olbrzymie, obłe głazy, przypominające grzbiety kąpiących się słoni.

Student zaraz podchwycił moje pytające spojrzenie.

- Nie domyśla się pan - powiedział jakby ze zdziwieniem. - Przecież te głazy oznaczają się na wszystkich mapach świata. To są kamienie Pierwszej Katarakty. Granitowe wrota, przez które Nil wpływa na terytorium Egiptu.

Noc pod moskitierą, autentyczne wizytówki faraonów, Pierwsza Katarakta Nilowa... Stanowczo za dużo wrażeń w tym Asuanie. Na szczęście do samej Elefantine nie było już więcej żadnych zaskoczeń ani wzruszeń.

Elefantine powitała nas odurzającym zapachem kwiatu „ful”⁹, który Egipcjanie nazywają „kwiatem miłości”. Cała wysepka była jednym kwitnącym ogrodem i miałem wielką ochotę odpocząć trochę wśród cudownych woni, od których aż się kręciło w głowie. Ale mój tłumacz nie przywiózł mnie tu dla wzruszeń natury botanicznej.

Rzucił krótkie arabskie polecenie Nubijczykom i dahabija posłusznie zwróciła się ku południowo-wschodniemu brzegowi Elefantine. Tu kazał się zatrzymać.

Zobaczyłem prostą ścianę z granitu. Była wzniesiona przy samym brzegu wyspy i sięgała dna rzeki. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś stary mur obronny, ale zaraz zmieniłem zdanie. Nie miało to nic wspólnego z obronnością. Na granicy była wyryta podziałka. Ku rzece zbiegały kamienne stopnie...

- To „nilometr” starożytnych Egipcjan - przeciął moje domysły Halil - ma on trzy, a może cztery tysiące lat. Jest to najstarsze urządzenie do mierzenia wysokości wód Nilu. Przy tej granitowej ścianie rozstrzygały się niegdyś losy Egiptu.

I student Halil opowiedział mi, jak to było z Nilem w starożytności, kiedy Egiptem rządzą faraonowie.

Słuchałem go, pólżąc na wyściełanej ławeczce dahabii. Otaczający mnie krajobraz z pewnością niewiele się zmienił od tamtych czasów. Błękitne wody Nilu, szare skały z imionami faraonów, wielki, biały żagiel dahabii, czarne twarze nubijskich przewoźników. Wszystko to było takie same, jak przed tysiącami lat. Od wyspy płynął odurzający zapach kwiatu ful, wprawiając mnie w stan półsennego oszołomienia. To, co mówił student, układało mi się w barwne, plastyczne obrazy.

...Zbliża się miesiąc „Nili” - pora letniego wylewu rzeki. Ziemia w całej dolinie egipskiej jest twarda, zeschnięta, spragniona ożywczej wody. Rzesze fellachów składają błagalne ofiary w świątyniach Amona-Ra, Ozyrysa i Izydy, aby wyjednać sobie u bogów duży wylew Nilu i urodzaj dla pól.

...We wspaniałym pałacu królewskim czeka na wieści znad Nilu młody faraon. Od rozmiarów wylewu rzeki uzależnia swe ambitne plany i doniosłe decyzje. „Jeżeli wylew będzie duży i zapewni krajowi urodzaj, obalę władzę kapłanów - obiecuje sobie. - Nikt mi w tym nie przeszkodzi, bo ludzie syci przestają się obawiać bogów”.

...Niecierpliwą się także bogaci kupcy Dolnego Egiptu. Zamknęli wrota swych pełnych magazynów i odmawiają sprzedaży zboża głodującej ludności. Spekulują na zwyżkę kursu. Jeżeli wylew okaże się mały i zagrozi krajowi suszą, wówczas zboże sprzeda się po dwukrotnie

⁹ Rodzaj egipskiego jaśminu.

wyższej cenie,

...W tym samym czasie na brzegu wyspy Elefantine odbywa się ważna, sakralna uroczystość. Przy akompaniamencie pobożnych śpiewów kamiennymi schodami zstępuje do nilometru kilku ludzi, odzianych w ceremonialny strój kapłański. Są to strażnicy Katarakty, kapłani boga Knum - złotorogiego barana, który czuwa nad przyborem wód nilowych.

Najstarszy z kapłanów odczytuje podziałkę na nilometrze i odwraca pobladłą twarz do towarzyszy. Przybór wód jest słaby i zapowiada mały wylew. Nadchodzący rok będzie rokiem suszy.

W kilka minut później na najwyższym wzniesieniu Elefantine zaczyna coś migotać i połyskiwać. Błyski są starannie odmierzone, raz długie, raz krótkie. To kapłani boga Knum, przy pomocy polerowanych ruchomych tarcz, przekazują sekretnym szyfrem kapłańskim ważną wiadomość innym kapłanom wzdłuż całej doliny Nilu...

...Stacje telegrafu słonecznego istnieją przy wszystkich większych świątyniach, wkrótce też wszyscy najwyżsi kapłani Górnego i Dolnego Egiptu wiedzą, że tegoroczny wylew Nilu jest mały i zapowiada suszę. Lecz poza nimi nie wie tego jeszcze nikt.

Czy rozumiecie, jak ogromną przewagę daje wcześniejsza wiedza o czymś, na co z najwyższym niepokojem czeka cały kraj? Zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy.

...Do młodego faraona przychodzą przedstawiciele najwyższej rady arcykapłanów. „Nasi szpiedzy donieśli nam, co knujesz - mówią śmiało do władcy. - Porzuć te błuźniercze plany, bo ściągniesz na siebie i na kraj zemstę bogów!”

...Zaufani słudzy kapłańscy krążą między ludem i wojskiem i jątrzą przeciwko faraonowi. „Ten hardy młokos buntuje się przeciwko bogom. Zobaczycie, że bogowie ukarzą za to Egipt klęską suszy”.

...Bogaci kupcy za wielkie sumy odkupują od kapłanów upragnioną wiadomość o wylewie i natychmiast podwajają ceny zboża.

...Kapłani różnych bóstw, przybrani w liturgiczne szaty, gromią wygłodzonych fellachów: „Za mało składacie ofiar! Bogowie są rozgniewani. Obniżą poziom Nilu, nie dadzą wam urodzaju!”

A potem przychodzi czas wylewu. Nil płynie nisko i leniwie. Witają go tysiące struchlałych oczu. Teraz wiedzą już wszyscy. Będzie susza...

...Lud burzy się przeciwko faraonowi, uważając go za sprawcę klęski. Gwardia pałacowa, podbuntowana przez kapłanów, dokonuje zamachu stanu. Młody władca ginie zamordowany. Właściciele magazynów bogacą się na nędzy ludzkiej. Przed świątyniami bogów gromadzą się rzesze wylękłych wiernych. Zrozpaczony, głodny fellach myśli z pokorą:

„Potężni i mściwi są nasi bogowie, którzy rządzą przyborem wód nilowych. Mądrzy i potężni są kapłani, którzy potrafią z góry odgadywać zamiary bogów”.

- A przecież potężny był tylko Nil - przerwał moje rojenia głos Halila. - Wobec rzeki kapłani złotorogiego boga Knum byli tak samo bezsilni, jak najuboższy fellach. Mieli tylko tę przewagę nad innymi, że o kilka dni wcześniej znali rozmiar wylewu i umieli to wykorzystać.

Potem opowiadał mi Halil, że przez długi, bardzo długi czas człowiek, był całkowicie bezradny wobec rzeki i musiał ulegle znosić jej zmienne kaprysy. Ale w końcu się zbuntował i postanowił Nil okiełznać. Stało się to zaledwie przed stu laty. Właśnie wtedy zbudowano w Egipcie pierwszą zaporę wodną w pobliżu Kairu.

Z Elefantine do Zapory Asuańskiej nie mogliśmy się przedostać drogą wodną, bo spusty Tamy były już otwarte i nasi Nubijczycy nawet słyszeć nie chcieli o tak ryzykownej wycieczce. Pozostawiliśmy więc dahabiję w przystani asuańskiej, a siedem kilometrów, dzielących sławną zaporę od Asuanu, przebyliśmy samochodem. W niespełna pół godziny po odpłynięciu od brzegów Elefantine znaleźliśmy się na szerokiej, asfaltowej autostradzie, stanowiącej grzbiet Tamy.

Tama Asuańska wdziera się w łagodny krajobraz doliny Nilu mocnym akcentem woli ludzkiej. Potężny mur z granitu - wysoki na czterdzieści metrów, a długi na dwa kilometry - przecina rzekę prostą linią. Z południowej strony Tamy rozlewa się szeroko ogromne, gładkie jezioro sztuczne spiętrzonych wód. Z północnej - pod otwartymi bramami spustów szaleje grzmiące, spienione piekło wyzwolonych wodospadów Nilu.

Ale Halil nie pozwolił mi zbyt długo zajmować się Tamą Asuańską. Jemu ona już nie wystarczała. Była dobra dla samej doliny Nilu, lecz student zawział się przecież żeby zlikwidować wszystkie egipskie pustynie. Do tego celu potrzebne mu było urządzenie jeszcze większe i jeszcze potężniejsze.

Dlatego szybko doprowadził do końca rozmowę o Tamie Asuańskiej i kazał mi spojrzeć na południe, daleko za powierzchnię sztucznego jeziora.

Nie zobaczyłem nic poza wstęgą Nilu i pylonami jakiejś staroegipskiej świątyni. Ale właśnie tam, o sześć kilometrów za sztucznym, jeziorem, miano przystąpić wkrótce do budowy nowej zapory wodnej, Sadd El Aali - o wiele wyższej i potężniejszej od Tamy Asuańskiej - największej budowli w całej dotychczasowej historii Egiptu. Student Halil wierzył święcie, że nowa Wysoka Tama położy ostateczny kres samowoli Nilu i zmusi go do nawodnienia wszystkich egipskich pustyń.

Dziś, kiedy wam to opowiadam, wiemy już o tamie Sadd El Aali znacznie więcej, niż wiedzieliśmy wówczas. Czytaliście przecież w gazetach, że budowę nowej zapory już

rozpoczęto i że budują ją dla Egiptu inżynierowie radzieccy.

A więc macie całą historię Nilu: od złotorogiego barana boga Knum do najnowocześniejszej tamy Sadd El Aali. Musicie przyznać, że dziwna to historia.

ROZDZIAŁ IV

Moje przygody ze zwierzętami - W stolicy faraonów - Jak oszukałem przewodników w Dolinie Królów - Zemsta Juliusza Cezara - Dlaczego ja mam odpowiadać za skradzione skarby faraonów? - Przejazdźka na wielbłądzie

Przypuszczam, że przydługa historia o Nilu trochę was zmęczyła. Za to teraz opowiem wam coś lżejszego i znacznie weselszego. Dowiedcie się, jakie miałem w Egipcie przygody ze zwierzętami.

Widzę już, jak zacieracie ręce. „Może to będzie coś o lwach i słoniach albo przynajmniej o dzikich bawołach i lampartach” - myślicie sobie i odczuwacie przyjemne łaskotanie w dołku.

Niestety, moi mili, muszę was rozczarować. Wprawdzie w obydwóch moich przygodach egipskich zwierzęta odegrały rolę dość zasadniczą, ale odbyło się to zupełnie inaczej, niż myślicie. Na dobrą sprawę to wcale nie jestem pewien, czy powinienem wam w ogóle o tych przygodach opowiadać, gdyż może to bardzo nadszarpnąć moją autorską powagę.

Sądzę jednak, że każdy autor ma prawo trochę się pośmiać z samego siebie. Z pewnością nikomu to nie zaszkodzi.

Pierwsza z tych przygód przytrafiła mi się podczas wyprawy do Górnego Egiptu. Pod wpływem krajobrazu asuańskiego i wycieczki na Elefantine nabrałem wielkiego smaku do spraw starożytnego Egiptu i przez cały czas naszego pobytu w Asuanie zamęczałem Halila pytaniami o różne szczegóły z życia faraonów.

Między innymi dowiedziałem się, że Asuan dzieli zaledwie trzy godziny jazdy koleją od prastarego Luksoru, który był stolicą państwa faraonów w jego najświetniejszych czasach. I że pod Luksorem znajduje się tak zwana Dolina Królów, czyli ogromne cmentarzysko z grobami władców starożytnego Egiptu.

Już sama nazwa Doliny Królów mocno podziałała mi na wyobraźnię i postanowiłem za wszelką cenę tam się dostać. Halil bynajmniej mnie od tej wyprawy nie odmawiał, a nawet zgodził się jechać ze mną, żeby mi pomagać swoją wiedzą archeologiczną. Ale w ostatniej chwili skomunikował się telefonicznie z Kairem i dowiedział się, że czekają tam na niego jakieś wyjątkowo pilne tłumaczenia. Musiał więc z żalem swój plan odmienić.

Nasze rozczulające pożegnanie odbyło się na dworcu asuańskim. Halil pojechał wprost do Kairu, ja zaś, pozostawiony samemu sobie, wyruszyłem do Luksoru na spotkanie z faraonami.

Lukсор od pierwszej chwili zrobił na mnie bardzo dziwne wrażenie. Z książek i przewodników wiedziałem, że starożytne miasteczko jest jednym z najsławniejszych ośrodków turystycznych świata i że ze wszystkich krajów ściągają tam niezliczone rzesze bogatych turystów, pragnących poznać tajemnice państwa faraonów. Ale nie wiedziałem jednego, że początek czerwca, to znaczy czas, w którym tam przyjechałem, był tak zwanym „międzysezonem”, czyli jedynym okresem, kiedy sławny Lukсор był prawie całkowicie wyludniony z turystów.

Kiedy wysiadłem z wagonu na dworcu luksorskim, zostałem przyjęty jak jakiś dostojny gość honorowy. Wydało mi się, że całe miasteczko już od dawna czekało na mój przyjazd i teraz stara mi się na wszelkie sposoby okazać serdeczność i radość z powodu mego przybycia. Otoczył mnie zaraz liczny tłum barwnych i rozgestykulowanych postaci. Przewodnicy i tragarze w białych lub szafirowych galabijach, dorożkarze i kierowcy taksówek, oślarze z postępującymi osłami oraz wiele innych osób o bliżej nie określonym zawodzie.

Wszyscy się do mnie serdecznie uśmiechali i usłużnie zaglądali mi w oczy, zachwalając w różnych językach swoje usługi i wykrzykując nazwy rozmaitych luksorskich hoteli i pensjonatów.

Najruchliwsi i najenergiczniejsi okazali się tragarze, dorożkarze i taksówkarze. Tragarze wyrywali sobie mój bagaż, dorożkarze i taksówkarze wyrywali sobie mnie, ciągnąc każdy do swego pojazdu.

Ponieważ jednak oświadczyłem stanowczo, że nie zamierzam jechać do hotelu ani dorożką, ani taksówką, dorożkarze i taksówkarze rychło wyłączyli się z serdecznej demonstracji na moją cześć i mrucząc coś pod nosami, wrócili do swoich wehikułów. Natomiast reszta poszła ze mną radosnym pochodem przez miasto.

Tragarze podzielili się moimi bagażami i zapanowała, między nimi zgoda. Przewodnicy głośno pokrzykiwali na ulicznych gapiów i spędzali ich z mojej drogi. Jakiś siwobrody starzec, mówiący dziwną angielszczyzną, udzielał mi szczegółowych wyjaśnień na temat mijanych osobliwości Luksoru.

Dwaj młodzi ludzie, którzy po dłuższych indagacjach dowiedzieli się, że jestem Polakiem, wołali co chwila:

- Bolanda ¹⁰ good! Bolanda very good ¹¹!

Oślarze ciągnęły za uzdy swoje osły, osły opierały się i ryczały żałośnie. Słowem - droga do hotelu upłynęła mi bardzo wesoło.

¹⁰ Polska (arabski).

¹¹ Bardzo dobrze (angielski).

Kiedyśmy zaszli wreszcie przed hotel „Savoy”, z jego wnętrza wysypała się nowa gromadka witających. Tym razem byli to wyfraczeni kelnerzy, gruby portier w liberii, posługacze w pasiastych fartuchach, mali „boye” w płaskich, okrągłych deklach. Wszedł nawet sam dyrektor hotelu.

Znowu otoczyły mnie serdeczne uśmiechy, usłużne spojrzenia i ukłony. Posługacze hotelowi rozegrali krótki acz gwałtowny bój z tragarzami o moje walizy, wskutek czego doszło do chwilowego zamętu. Lecz zaraz wszystko się uciszyło, a twarze przybrały wyraz napięty i uroczysty.

Do tej chwili dziwne zachowanie się luksorczyków dosyć mnie bawiło, a nawet pochlebiało mojej próżności. Ale teraz nastąpił moment bardzo przykry. Wyciągnęło się do mnie ze dwadzieścia drapieźnie nadstawionych rąk. Musiałem zapłacić wszystkim. za wszystko.

Czterem tragarzom za przeniesienie dwóch niewielkich walizek.

Siwobrodemu starcowi za informacje, o które go wcale nie prosiłem.

Dwóm młodym ludziom za to, że krzyczeli: „Bolanda good!”

Osobom o nieokreślonym zawodzie za to, że się do mnie uśmiechały i zaglądały mi w oczy.

Oślarzom za to, że towarzyszyli mi wraz ze swymi osłami.

Osłom... Nie, jedynie osły okazały się całkowicie bezinteresowne i nie zażądały żadnego „bakszyszu”¹².

Po zainkasowaniu napiwków całe bractwo zaraz się oddaliło, polecając mi swoje usługi na przyszłość.

Z kolei przeszedłem w ręce obsługi hotelowej, która w lansadach odholowała mnie do mego pokoju.

Dopiero po wręczeniu bakszyszu posługaczom pozostałem wreszcie sam, ale z zupełnie pustą portmonetką. Droga ze stacji w Luksorze do pokoju hotelowego kosztowała mnie więcej niż dwudniowy pobyt w Asuanie. Bez opiekuńczego i znającego stosunki Halila podróżowanie po Górnym Egipcie nie było wcale sprawą prostą.

Nazajutrz zabrałem się do oglądania egipskich starożytności. Zgodnie z planem, opracowanym wspólnie z usłużnym portierem hotelu „Savoy”, dwa pierwsze dni wyznaczyłem sobie na zwiedzanie Luksoru i pobliskiego Karnaku. Trzeciego dnia postanowiłem pojechać samochodem hotelowym do znajdującej się po drugiej stronie Nilu i dość odległej Doliny

¹² Napiwek (arabski).

Królów.

Z kupionego w hotelu przewodnika dowiedziałem się, że w czasach starożytnych wszystkie te trzy miejscowości: Luksor, Karnak i Dolina Królów, leżały w obrębie jednego miasta. Miasto nazywało się Teby i było głównym ośrodkiem kultu boga Amona oraz stolicą najświetniejszych faraonów: Ramzesów, Setich i Amenhotepów. Od siebie chciałbym do tego dodać jeszcze jedną informację, dość ważną dla polskich czytelników. Właśnie w tych Tebach urzędował niegdyś złowrogi arcykapłan Amona, Herhor - jedna z głównych postaci powieści Bolesława Prusa „Faraon”.

Wielka i wspaniała musiała być ta starożytna stolica! Świadczą o tym ślady, które przetrwały przez kilka tysięcy lat.

W epoce filmu i telewizji nie sposób bawić się w szczegółowe opisy. Ale muszę wam powiedzieć, że kiedy po raz pierwszy ujrzałem szarą, prostą kolumnadę świątyni luksorskiej, serce zamarło mi z trwożnego podziwu. Nie wyobrażałem sobie nigdy, że może istnieć coś równie potężnego, majestatycznego i przytłaczającego ogromem.

A przecież ruiny wielkiej świątyni Amona-Ra w Karnaku, którą rządził niegdyś arcykapłan Herhor, okazały się rzeczą jeszcze mocniejszą. Nie darmo starożytni uznawali tę świątynię za jeden z Siedmiu Cudów Świata.

Spróbujcie sobie wyobrazić zwałisko granitowych ruin, zajmujących powierzchnię przeszło czterech kilometrów kwadratowych. Całe aleje kamiennych sfinksów, posągi faraonów wyższe od trzypiętrowych domów, gęsty las niebotycznych kolumn o obwodach tak potężnych, że na wierzchołku każdej z nich mogłoby się rozsiąść swobodnie około stu osób.

Dreptałem wśród tych kamiennych kolosów jak Guliwer w krainie olbrzymów i zachodziłem w głowę, jakim cudem przed trzema tysiącami lat udawało się ludziom wznosić takie budowle. A jak to musiało wyglądać za rządów arcykapłana Herhora, kiedy stało jeszcze nienaruszone, w całym blasku majestatu i świetności! Nic dziwnego, że starożytni fellachowie drżeli ze strachu przed potęgą swoich kamiennych bóstw i mądrych kapłanów. Strach ich był tak wielki, iż nawet przez myśl mi nie przechodziło, że to przecież ich własne ręce całą tę potęgę wyciosały.

Mnóstwo interesujących rzeczy było do oglądania w Luksorze i w Karnaku. Niestety, nie pozwalano mi ich oglądać w spokoju.

Życzliwa opieka, jaką od samego początku otoczyli mnie luksorczyce, trwała nadal i stopniowo zmieniała się w trudną do zniesienia udrankę.

Ani na chwilę nie pozostawiano mnie samego. Ciągłe ktoś o coś mnie nagabywał, ciągle ktoś deptał mi po piętach.

Przyczyna tego była prosta. Mieszkańcy Luksoru od przeszło stu lat żyli z bogatych turystów. Tymczasem w owym martwym „międzysezonie” turystów było zaledwie troje: stara milionerka amerykańska, gruby Hiszpan, właściciel wielkich dóbr ziemskich w Kastylii, oraz ja. Amerykanka i Hiszpan byli turystami w całym znaczeniu tego słowa i rozrzucali na wszystkie strony hojne bakszysze. Natomiast ja, skromny dziennikarz, dysponujący niewielkimi dietami, nie mogłem sobie na taką rozrzutność pozwolić. A luksorczycy w żaden sposób nie chcieli tego zrozumieć. Po prostu nie mieściło im się w głowach, że do Luksoru ośmielił się przyjechać ktoś, kto nie miał pieniędzy na bakszysze. Uważali mnie więc za zatwardziałego dusigrosza i robili wszystko, aby mnie od tej przykrej wady odzwycząić.

Kiedy rano wychodziłem z hotelu, obskakiwało mnie natychmiast kilka osób, ofiarowując mi natrętnie swoje usługi.

Luksorscy czyściciele obuwia chcieli koniecznie doprowadzić do lustrzanego połysku moje zniszczone sandały. Właściciele osłów namawiali mnie na długie romantyczne wycieczki na grzbietach swoich wierzchowców. Uliczni sprzedawcy pamiątek wpychali mi przemocą rozmaite przedmioty z metalu i kości słoniowej, szepcząc namiętnie: - Kup, panie, kup! Wielka okazja! Skradzione z grobu faraona Tut-ench-Amona!

Ale najgorsi ze wszystkich byli przewodnicy. Kto nie zetknął się nigdy z luksorskimi przewodnikami, nie ma pojęcia, jak daleko może się posunąć ludzkie natręctwo i bezczelność.

Mogło się wydawać, że luksorscy przewodnicy postawili sobie za główny cel życia wprowadzenie mnie - wbrew mojej woli - we wszystkie tajemnice starożytności egipskiej. Dążyli do tego celu uparcie i konsekwentnie. Chodzili za mną krok w krok. Ich uprzykrzony szept - powtarzający dosłownie treść drukowanego angielskiego przewodnika, który nosiłem w kieszeni - towarzyszył mi nieodstępnie. Dowiedzieli się szybko, że jestem Polakiem, i starali się to wygrywać przy każdej okazji. W rozmowach ze mną nie używali nigdy słowa „bakszysz”. Zastępowali je polskim „drobny”. Tego jedyne polskie słowa nauczyli się w czasie wojny, kiedy do Luksoru przyjeżdżali na urlopy polscy żołnierze z oddziałów afrykańskich. Przewodnicy luksorscy musieli wtedy od nich często słyszeć polski zwrot „nie mam drobnych” i od razu wykombinowali sobie, że „drobny” znaczy po polsku „bakszysz”. Teraz tym słowem witali mnie jak bojowym hasłem. Gdzie tylko się pokazałem, zaraz rozlegały się przymilne okrzyki:

- Bolanda good! Drobny good! Drobny very good!

Okrzyki te miały schlebiać mojej narodowej dumie, ale budziły we mnie tylko nienawiść. Tak, przyznaję się: po jednym dniu pobytu w Luksorze znieawidziłem wszystkich tamtejszych przewodników.

Szczególnie dał mi się we znaki przewodnik „urzędujący” w świątyni luksorskiej.

Luksorską świątynię - odległą zaledwie o kilkadziesiąt kroków od hotelu „Savoy” - zwiedzałem drugiego dnia bezpośrednio po obiedzie. Wybrałem tę porę specjalnie dla zmylenia czujności przewodników. Wiedziałem bowiem, że każdy mieszkaniec Górnego Egiptu po zjedzeniu obiadu zażywa solidnej drzemki.

I nie zawiodłem się. Moi prześladowcy, wyczekujący na mnie, jak zwykle, przed hotelem, leżeli w cieniu muru głęboko uśpieni. Spały nawet osły.

Przekradłem się chyłkiem obok śpiących i po paru minutach szybkiego marszu przez gorący jak piekło bulwar nadbrzeżny wkroczyłem w dostojny cień świątyni faraonów.

W humorze byłem świetnym. Postarajcie się to zrozumieć. Pierwszy raz od mego przyjazdu do Luksoru udało mi się podstępem wywalczyć sobie samotność. Pierwszy raz mogłem - nie napastowany przez natrętów - zastanawiać się spokojnie nad wielkością starożytnego Egiptu. Cóż to była za rozkosz! Nie, nie potraficie tego zrozumieć. Bo nie mieliście nigdy do czynienia z luksorskimi przewodnikami.

Na dziedzińcu świątyni przyciągnął moją uwagę wyniosły piętnastometrowy posąg Ramzesa Drugiego. Zatrzymałem się przed nim i z zadartą do góry głową wpatrywałem się jak urzeczony w kamienne oblicze faraona.

„A więc to jesteś ty, Ramzesie Wielki, władco Górnego i Dolnego Egiptu - myślałem sobie. - Bardzo mnie ciekawi, jakim właściwie byłeś człowiekiem. Czytałem nieraz o twoich wspaniałych budowlach. Czytałem o zwycięstwach nad Hetytami. Potomni nadali ci przydomek Wielkiego. Ale ty sam nie byłeś chyba zupełnie przekonany o swojej wielkości, jeżeli kazałeś sobie wznosić aż tak wysokie posągi...”

Nagle zadrżałem. Kamienny faraon odpowiedział mi łamaną angielszczyzną:

- Faraon Ramzes Drugi bardzo wielki faraon, panie. Dużo budował. Dużo walczył, panie. Ramzes Drugi był all right.

Z rozpaczą spojrzałem w prawo. To nie był głos faraona. Obok mnie stał wysoki, chudy staruch w szafirowej, mocno wyblakłej galabii i w przybrudzonym turbanie. Na twarzy miał przymilny, usłużny uśmiech, który tak dobrze znałem z twarzy innych luksorskich przewodników. Staruch zupełnie się nie przejął moim piorunującym spojrzeniem i dalej szwargotał jak nakręcony:

- Ja dużo wiem... Ja dużo mogę powiedzieć... Faraon Ramzes very good... Bolanda very good...

Przerwałem mu twardo:

- Proszę mnie zostawić w spokoju, słyszy pan? Let me alone! Nie chcę żadnych

przewodników. Mam przewodnik w kieszeni. Inne objaśnienia nie są mi potrzebne. Proszę stąd odejść.

Przewodnik spojrział na mnie z bolesnym wyrzutem, jeszcze przez chwilę nad czymś się zastanawiał, potem rozłożył bezradnie ręce na znak, że uwalnia się od wszelkiej odpowiedzialności za moje dalsze wykształcenie egiptologiczne, i zniknął za jedną z wyniosłych kolumn.

Zdenerwowanie opuściło mnie natychmiast. Byłem sobą zachwycony. Więc umiem już radzić sobie nawet z luksorskimi przewodnikami. Widocznie nie ma rzeczy, której człowiek pojętny nie mógłby się nauczyć.

Przyjemnie podniecony kontynuowałem spacer wśród pylonów, posągów i obelisków. Po łatwym zwycięstwie nad przewodnikiem potężna świątynia Ramzesów i Amenhotepów nie wdawała mi się już tak potężna. Ostatecznie i ja nie wypadłem sroce spod ogona.

Z kolei zainteresowałem się jedną z ogromnych kolumn, otaczających dziedziniec świątyni. Jak wynikało z mojego drukowanego przewodnika, kolumnę tę budowało aż dwóch faraonów: Amenhotep III i Amenhotep IV. Nic zresztą dziwnego, bo kolumna była naprawdę monumentalna. Składała się z dziesięciu walców granitowych, a każdy z tych walców był wielkości sporego pokoju.

Ileż to pracy musiało kosztować, żeby przytoczyć tu te bloki granitowych kamieniołomów na wyspie Elefantine oraz pod Asuanem. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak przed tysiącami lat wyglądał taki transport. Zobaczyłem piaszczystą drogę pustynną, długie zaprzęgi szarych bawołów, tłum śmiertelnie zmęczonych niewolników i fellachów, żołnierzy faraona z batogami w rękach. Rozróżniałem każdy szczegół ubioru i każdy rys twarzy. Słyszałem wyraźnie postękiwania zwierząt, chrapliwe, świszczące oddechy tragarzy, gniewne okrzyki konwojentów. Wizja była tak plastyczna i sugestywna, że całą mą istotą przeniosłem się na chwilę w czasy starożytne.

Naraz coś mi zmąciło jasność obrazu i brutalnie przywowało mnie z powrotem do rzeczywistości.

U mego boku zaszemrał uwodzicielski szept:

- Amenhotep III bardzo wielki faraon, panie. Dużo budował, dużo walczył. Amenhotep IV też bardzo wielki faraon, panie. On bardzo nie lubił Amona. Oj, jak nie lubił, panie... Jego żona...,

- Precz stąd! - wrzasnąłem, nie panując już zupełnie nad sobą. - Jeżeli natychmiast pan

nie odejdzie, zawołam policję turystyczną! Do you understand? The tourist-police!¹³

Groźba poskutkowała, bo szykowni, biało umundurowani przedstawiciele niedawno utworzonej policji turystycznej byli postrachem luksorskich przewodników. Wyblakła szafirowa galabija w mgnieniu oka skryła się za najbliższym pylonem.

Ale mój dobry nastrój rozwiął się bez śladu. Zrozumiałem, że nazbyt wcześnie otrąbiłem zwycięstwo. Miałem do czynienia z przeciwnikiem groźnym, chytrym i wytrwałym. Jego ustępstwa były tylko pozorne. Wycofywał się jedynie po to, aby zaraz ruszyć do nowego natarcia.

Przekonałem się o tym w ciągu następnej godziny. Szafirowa galabija krążyła wokół mnie jak kot wkoło kanarka. Przybrudzony turban wychylał się nieoczekiwanie zza posągów, kolumn i obelisków. Co kilkanaście minut wwierał mi się w uszy natrętny szept:

- Ramzes bardzo wielki faraon, panie..., Amenhotep bardzo wielki faraon, panie... Seti bardzo wielki faraon, panie...

Po godzinie nie pamiętałem już, po co przyszedłem do świątyni. Zbojętniała mi starożytna architektura, zbojętnieli mi faraonowie. Całe moją uwagę pochłonęła denerwująca zabawa w chowanego, jaką narzucił mi człowiek w szafirowej galabii. Na domiar złego, dręczył mnie straszny popołudniowy upał. Byłem rozdygotany. Pulsy waliły mi w skroniach, nachodziły mnie mordercze myśli.

Po przeszło godzinnych podchodach z jego, a unikach z mojej strony, wpadliśmy na siebie przed rzymską kaplicą cesarza Konstantyna.

Po raz pierwszy miałem go przed sobą w zasięgu ramienia, pozbawionego osłony kolumn i posągów. Rozróżniałem każdą łatę na jego szafirowej galabii i każdą plamę na brudnym turbanie. Czułem, że teraz musi dojść między nami do ostatecznej rozgrywki. Zacisnąłem pięści i z chłodną nienawiścią czekałem na „rewelacje” o cesarzu Konstantynie.

Ale przewodnik musiał dostrzec w moich oczach błyski szaleństwa, bo nie kwapił się jakoś do objaśnień. Przesunął ręką po spoconej twarzy i stał z niej uśmiech zawodowej uprzejmości. Był widocznie tak samo zmordowany, jak ja. Powiedział zmęczonym głosem.

- Nie ma turysty, panie. Dużo dzieci, panie. Daj „drobne”, panie!

Na to nie byłem zupełnie przygotowany. Cały gniew opuścił mnie w jednej chwili i zrobiło mi się żal starucha. O co właściwie miałem do niego pretensję? To był przecież jego zawód. Utrzymał się z tego.

Moja ręka mimowolnym ruchem skierowała się w stronę kieszeni. Ale zatrzymała się w

¹³ Czy pan rozumie? Policją turystyczną! (angielski).

pół drogi.

Jednak nie! Jeśli dam mu choć piastra, roznie się to natychmiast po całym Luksorze i wszyscy jego koledzy zatrują mi życie do reszty. Trudno: byt kształtuje świadomość. Nie jestem ani amerykańską milionerką, ani hiszpańskim właścicielem dóbr ziemskich.

Potrząsnąłem przecząco głową i powiedziałem po polsku:

- Nie mam drobnych!

Człowiek w szafirowej galabii od razu zrozumiał, o co chodzi, i uznał widocznie swoją sprawę za ostatecznie przegraną. Odwrócił się bez słowa i odszedł, pozostawiając mnie nareszcie samego.

Ale w dwie godziny później, kiedy wracałem ze świątyni do hotelu, spotkałem go jeszcze raz.

Siedział na ziemi przed glinianą chatką, przylepioną jak jaskółcze gniazdo do starożytnych ruin, i jadł kolację. Z trzymanej na kolanach miski wybierał palcami duże ziarna gotowanej fasoli i połykał je łapczywie. Kiedy mnie zobaczył, przerwał posiłek i rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści. Potem demonstracyjnie splunął.

Cała ta historia, zabawna może, kiedy się o niej dziś opowiada, wówczas bardzo mnie zdenerwowała. Wprawdzie mój pobyt w Luksorze zbliżał się już ku końcowi, ale nazajutrz miałem jechać do Doliny Królów, a przewodnicy z Doliny Królów uchodzili za jeszcze gorszych od luksorskich. Ostrzegał mnie przed nimi nawet powściągliwy Halil.

Postanowiłem z góry zażegnać zagrażające mi niebezpieczeństwo i zaraz po powrocie do hotelu poszedłem do portiera, żeby omówić z nim dokładnie plan wycieczki.

Portier hotelu „Savoy” był wesołym, dobrodusznym grubasem i od pierwszej chwili zaskarbił sobie moją sympatię tym, że w szufladzie biurka przechowywał troskliwie polskiego orzełka, ofiarowanego mu w czasie wojny przez naszych żołnierzy. Troszkę niepokojące były tylko jego oczy, gdyż funkcjonowały zupełnie niezależnie od siebie. Prawe, zawsze uśmiechnięte, mrugało przyjaźnie do rozmówcy, natomiast lewe pozostawało niezmiennie czujne i jakby z lekka ironiczne.

Portier miał wielkie doświadczenie w sprawach turystycznych i szybko doszliśmy do porozumienia. Mrugając życzliwie prawym okiem, doradził mi, abym zapłacił za wycieczkę o pół funta więcej, niż przewiduje oficjalna taksa. Pieniądze te wręczy się kierowcy samochodu na bakszysz dla przewodników, a ja stosunkowo tanim kosztem zapewnię sobie spokojne zwiedzanie historycznych grobów i pobliskiej świątyni królowej Haczepsut.

Zgodziłem się na to bez wahania i natychmiast wyciągnąłem z portfela wymienioną kwotę. Portier schował pieniądze do szuflady, po czym spojrzał na mnie okiem lewym -

czujnym i ironicznym.

- A gdyby mimo to przewodnicy byli natrętni - rzekł - to najlepiej im powiedzieć, że jest pan profesorem egiptologii. Im bardzo imponują uczeni egiptolodzy i to ich z pewnością odstraszy.

Następnego dnia, o siódmej z rana, zajeżdżał po mnie hotelowy samochód. Prowadził go młody, najwyżej dwudziestoletni Egipcjanin o twarzy przypominającej trochę jednego z kamiennych Ramzesów ze świątyni luksorskiej. Kierowca otrzymał od portiera ustne instrukcje oraz karteczkę, na której były wypisane po arabsku cele mojej wycieczki: Dolina Królów i świątynia królowej Haczepsut. Bezpośrednio nie można się było z nim porozumieć, gdyż poza krótkim angielskim zwrotem „very good” nie znał ani jednego słowa w żadnym europejskim języku.

Na drugą stronę Nilu przepłynęliśmy promem, który był po prostu zwyczajną prymitywną tratwą. Potem droga wiodła przez ulepione z nilowego łu osiedla fellachów.

Mogłem teraz obejrzeć sobie z bliska to wszystko, co przed kilku dniami oglądałem z okna pociągu w drodze do Asuanu.

Kilka razy zatrzymywaliśmy się po drodze i wysiadaliśmy z samochodu, gdyż kierowca, który prawdopodobnie sam pochodził ze wsi, prawie w każdym osiedlu miał jakichś znajomych.

Spracowani fellachowie uśmiechali się do nas życzliwie i częstowali kozim mlekiem, za które nie chcieli przyjmować żadnej zapłaty. Ich wygląd znacznie odbiegał od czysto arabskiego typu północnych Egipcjan. W większości twarzy odnajdywałem te same rysy, co na staroegipskich pomnikach. Pozwalali mi głaskać swoje srebrzystoszare, łagodne bawolice, tłumaczyli mi na migi działanie swoich prymitywnych pomp. Chcieli także wiedzieć, skąd pochodzę. Ale nazwa „Bolanda” niewiele im mówiła. Większość z nich nie słyszała nigdy o takim kraju.

Przejeżdżając wśród płaskich, pociętych kanałami pól, od czasu do czasu mijaliśmy ogromne, na pół skruszałe posagi kamienne - pozostałości dawnego państwa faraonów.

Wtedy młody kierowca odwracał się do mnie i ukazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby, zadawał zawsze to same pytanie:

- Very good, sir?

Poza tym nic nie zakłócało mego spokoju. Przez całą drogę mogłem bez przeszkód zastanawiać się nad różnymi, ciekawymi rzeczami, których się dowiedziałem z kupionego w hotelu przewodnika.

A było nad czym rozmyślać i było co sobie wyobrażać. W czasach starożytnych

rozległy obszar po zachodniej stronie Nilu - nazywany Tebami Zachodnimi - stanowił odrębne miasto o przeznaczeniu dość niesamowitym. Było to Miasto Umarłych. Zamiast domów i pałaców - były w nim tylko groby. Jego ludność składała się wyłącznie z kapłanów, żałobników, grabarzy, sług cmentarnych i specjalistów od balsamowania zwłok.

Starożytni Egipcjanie wierzyli w życie pozagrobowe i nie żalowali wysiłków ani kosztów na jak najlepsze przygotowanie swoich nieboszczyków do wiecznego bytowania. Szczególnie wspaniałe i uroczyste bywały ceremonie związane z wyprawianiem na drugi świat zmarłych faraonów.

Licha, wyboista droga, którą jechaliśmy do Doliny Królów, stanowiła niegdyś stały szlak ostatnich ziemskich wędrówek potężnych władców Górnego i Dolnego Egiptu.

Po śmierci faraona jego ciało odziewano w najwspanialsze szaty i w najdroższe klejnoty, po czym sadzano je w złotej lektyce. Procesja kapłanów, cały dwór, wojsko oraz niezliczone tłumy ludu odprowadzały lektykę na zachodni brzeg Nilu.

Przymocowany do fotela lektyki, przywalony ciężarem złota i klejnotów, z jaskrawo uszmkowaną twarzą - trup władcy przyjmował ostatnie hołdy od poddanych.

Uroczysty pochód zatrzymywał się przed bramami Miasta Umarłych. Tu urzędnicy dworu przekazywali faraona kapłanom Teb Zachodnich.

Potem zajmowali się nim balsamiści i przez wiele dni poddawali skomplikowanej procedurze mumifikacji.

Ciało moczono i suszono, usuwano z niego wnętrzności i przepajano je balsamicznymi olejkami, chroniącymi przed niszczącym działaniem czasu. Na koniec zabalsamowane zwłoki krępowano rytualnymi bandażami, które - według wierzeń ówczesnych - miały zapobiec oddzieleniu się duszy od ciała. W ten sposób zmarły władca zamieniał się w mumię, która w suchym klimacie Egiptu mogła trwać w stanie nienaruszonym przez wiele tysięcy lat.

Po zakończeniu mumifikacji następował uroczysty pogrzeb. Mumię wkładano w kilka drogocennych trumien i umieszczano we wspaniałym, podziemnym grobowcu. Razem z mumią zamykano w kryptach grobowych wiele bezcennych skarbów, aby zapewnić władcy spokojną i przyzwoitą egzystencję w państwie umarłych.

Ale faraonom - którzy za życia byli tak potężnymi władcami - po śmierci spokój nie był sądzony. Zbyt wiele osób wiedziało o skarbach, pozostawionych w grobowcach.

Zdarzało się, że już następnej nocy po pogrzebie do grobu królewskiego włamywali się zamaskowani złodzieje. Zrywali pieczęcie, przebijali się przez ściany ochronne i zabierali większość skarbów. Często rozbijali także trumnę i dobierali się do mumii. W poszukiwaniu klejnotów osobistych, nie wahali się nawet przecinać świętych bandażów, krępujących zwłoki,

co uchodziło za najcięższą zbrodnię, gdyż pozbawiało zmarłego przywileju wiecznego życia. Ale przychwylenie i ukaranie świętokradców było rzeczą niezmiernie trudną, bo na ich czele stali przeważnie ludzie bardzo wpływowi: wysocy dostojnicy dworscy, a nawet sami kapłani Teb Zachodnich.

Biedni faraonowie doskonale wiedzieli, jaki los czeka ich po śmierci, i nie szczędzili wysiłków, aby zabezpieczyć się przed złodziejami. Coraz głębiej pod ziemią ryli swoje grobowe krypty. Przejścia do nich barykadowali całym systemem skomplikowanych pułapek. Niekiedy żądali, aby urządzano po śmierci dwa pogrzeby. Jeden okazały, lecz fikcyjny, z pustą trumną - dla wprowadzenia w błąd złodziei. Drugi, prawdziwy - nocą, z zachowaniem największej tajemnicy.

Niektórzy z przezornych władców osiągnęli swój cel. Minęły od tamtych czasów tysiące lat. Rozsypały się w gruzy najpotężniejsze świątynie starożytnego Egiptu, niegdyś zaliczane do Cudów Świata. Nie pozostał na ziemi najmniejszy ślad. z pysznych pałaców królewskich. Ale głęboko pod powierzchnią pustynnych piasków zachowały się prawie nietknięte groby kilku faraonów. Dopiero w ostatnim stuleciu dokopali się do nich uczeni profesorowie archeologii i egiptologii. Ale zawsze parę tysięcy lat spokoju faraonowie zarobili. To też coś warte.

Na takich rozmyślaniach upłynęła mi przeszło godzinna jazda do Doliny Królów.

Starożytne cmentarzysko wyrosło przede mną nagle, wprost z pustynnej płaszczyzny. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że patrzę na jakiś gigantyczny kamieniołom. Wąski, piaszczysty wąwóz był cały poryty przez prace wykopaliskowe. Z obu jego stron wznosiły się skaliste, strome zbocza żółtawo-rudych gór.

Od tego dzikiego, posepnego krajobrazu dziwnie odbijały mizerne urządzenia turystyczne: budka z kasą biletową, kiosk z napojami i ze słodyczami, tablice ze wskazówkami dla turystów.

Natomiast znakomicie zgadzał się z otoczeniem wygląd tutejszych przewodników. Byli tak samo dzicy i posepni, jak ich rodzinny krajobraz.

Dostrzegli nasz samochód już z daleka, gdyż mieli swe punkty obserwacyjne w wysoko położonych rozpadlinach skalnych. Sfrunęli ku nam stamtąd jak górskie sępy.

Po miłej, spokojnej godzinie wychnienia znowu znalazłem się wśród tłumu rozkrzyczanych ludzi i postępujących osłów. Znowu usiłowano mnie zmuścić do rzeczy, których chciałem umknąć.

Zwróciłem się o ratunek do kierowcy, który powrócił właśnie od kasy z zakupionym dla mnie biletem wejściowym. Zażądałem na migi, aby wynajął przewodników i opłacił ich z

przeznaczonej na ten cel półfuntowej kwoty. Ale kierowca w żaden sposób nie mógł zrozumieć moich gestów. Szcherzył tylko do mnie wspaniałe uzębienie, wtykał mi w rękę bilet i w kółko powtarzał swoje: - Very good! Very good!

Niestety, moja sytuacja wcale nie była *very good*. Zrozumiałem, że padłem ofiarą oszustwa. Cała gadka o płaceniu z góry bakszyszu przewodnikom została wymyślona po to, żeby wyłudzić ode mnie dodatkowe pół funta. Ciekawe tylko, kto mnie okpił: gruby portier o niejednakowych oczach czy szcherzący zęby kierowca hotelowego samochodu? Podejrzewałem raczej portiera, bo kierowca wyglądał na poczciwego nowicjusza ze wsi, nie mającego jeszcze żadnej wprawy w turystycznych kantach.

Szczegółowe śledztwo w tej sprawie odłożyłem jednak na później. Na razie nie było na to czasu. Musiałem stawić czoła hordzie napierających na mnie przewodników i oślarzy.

Pamiętam, że portier radził mi udawać przeć, nimi uczonego egiptologa. Wprawdzie nie miałem juj zaufania do grubego oszusta, a sam pomysł wydawał mi się dość niesmaczny i naiwny, ale mimo to postanowiłem go wypróbować.

Nadałem swojej angielszczyźnie jak najbardziej gardłowe brzmienie i zacząłem ogłaszać na lewo i na prawo:

- Jestem profesorem egiptologii i cały plan Doliny Królów mam w głowie. Nie potrzebuję żadnych przewodników and objaśnień.

Składając to nieprawdziwe oświadczenie, czułem, jak bardzo się wygłupiam, i przeklinałem w duchu portiera.

A jednak, wyobraźcie sobie, że jego rada poskutkowała. Poskutkowała w sposób niemal cudowny...

Nie twierdzę wcale, że moja przywłaszczona godność została powitana przez przewodników z jakimś czołobitnym uszanowaniem. Przeciwnie! Twarze ich wyrażały jedynie zawód, złość i nie skrywaną niechęć. Ale tłum wkoło mnie zaczął szybko rzednąć i po kilku minutach pozostałem na placu zupełnie sam.

Hura! Bitwa była wygrana! Mogłem bez przeszkód zwiedzać groby faraonów. Od razu przebaczyłem portierowi hotelu „Savoy” jego pierwsze oszustwo. Zasłużył sobie rzetelnie na moje pół funta. O przewodnikach z Doliny Królów myślałem z pobłażliwym lekceważeniem. Nie dorastali nawet do pięt swoim luksorskim kolegom. Tamci nie daliby się tak łatwo nabrać.

Zwiedzanie Doliny Królów zajęło mi przeszło trzy godziny. Groby faraonów były rozległymi pałacami podziemnymi, liczącymi często po kilkanaście sal i pomieszczeń. Niektóre miały po parę kondygnacji i ciągle schodzenie i wchodzenie po schodach i drabinach, w nieznośnym upale i duchocie, było nad wyraz męczące.

Zawartość podziemi bardzo mnie rozczarowała. Jadąc do Doliny Królów, spodziewałem się, że przynajmniej w kilku kryptach zastanę mumie władców, w otoczeniu legendarnych bogactw, w jakie wyposażono je na pośmiertną wędrówkę. Tymczasem prawie wszystkie groby były wyszabrowane, a o ich dawnej świetności świadczyły jedynie rozmiary oraz ściennie malowidła, których w żaden sposób nie można było ukraść.

Część grobów obrabowano jeszcze w starożytności. Do innych dobrali się później okoliczni fellachowie. Jeszcze inne - odkryte w końcu ubiegłego stulecia - zostały opróżnione przez cudzoziemskie ekspedycje archeologiczne, które wywiozły z Egiptu znalezione tu skarby i przekazały je muzeom w swoich krajach. Działo się to w czasach, kiedy Egipt był całkowicie uzależniony od Anglii, a przekupni paszowie za suty bakszysz chętnie wydawali cudzoziemcom pozwolenia na wywóz wykopalisk.

Z całego wyszabrowanego cmentarzyska królów prawdziwie mocnych wrażeń dostarczył mi tylko grób Tut-ench-Amona. Ten grób, najgłębiej schowany pod ziemią, został odkryty najpóźniej, bo dopiero przed czterdziestu laty. Swoim niesłychanym bogactwem zadziwił wtedy cały świat.

Angielski archeolog Carter odkrył grób w dokładnie takim samym stanie, w jakim go zamurowano przed trzema tysiącami lat, bezpośrednio po pogrzebie Tut-ench-Amona.

Bezценne skarby, znalezione w kryptach grobowych, Carter usiłował wywieźć do Anglii. Tym razem jednak rząd egipski sprzeciwił się temu stanowczo, nakazał opieczętowanie grobu i postawił przy nim wojskową wartę.

Skarby Tut-ench-Amona były przez dwa lata przedmiotem sporu dyplomatycznego między Egiptem a Wielką Brytanią. Skandal wywołał tyle hałasu na całym świecie, że Egipcjom udało się w końcu skarby faraonów ocalić. Zamiast do British Museum w Londynie, powędrowały one do Muzeum Egipskiego w Kairze.

Ale w krypcie grobowej pozostawiono mumię Tut-ench-Amona. Dzięki temu zobaczyłem w Dolinie Królów przynajmniej jednego faraona.

Tut-ench-Amon leżał w otwartym sarkofagu z czerwonego granitu. Cały był zakuty w złotą blachę, ale staroegipski rzeźbiarz dokładnie wymodelował w złocie twarz, ciało i ubiór zmarłego. W migotliwym świetle lampy mumia robiła przejmujące wrażenie. Złota twarz faraona była pełna spokoju i dostojeństwa. Młodzieniec, którego pochowano w Dolinie Królów przed przeszło trzema tysiącami lat, wyglądał tak samo, jak w dniu swojej śmierci.

Jak wynikało z mego przewodnika, faraon Tut-ench-Amon zmarł w wieku lat dziewiętnastu i nie wslawił się w historii Egiptu żadnymi specjalnymi osiągnięciami poza tym, że po śmierci urządzono mu przewspaniały pogrzeb. A jednak w życiorysie tego władcy udało

mi się odkryć pewien szczegół, który powinien zainteresować wszystkich polskich czytelników.

Bezpośrednim poprzednikiem Tut-ench-Amona na tronie faraonów był jego teść i przybrany ojciec Arnenhotep IV, znany w historii pod przydomkiem Faraona-Heretyka. Otóż ów Arnenhotep IV pewnego dnia zbuntował się przeciwko wszechwładnym kapłanom boga Amona-Ra i postanowił położyć kres ich panowaniu. Zmienił więc religię i imię, a następnie w towarzystwie żony, pięknej królowej Nefretete, oraz następcy tronu, Tut-ench-Amona, wyjechał z wielkim trzaskiem z klerykalnych Teb i przeniósł stolicę państwa do innego miasta.

Jednakże młody Tut-ench-Amon nie był człowiekiem tak silnym, jak teść, i po jego śmierci zupełnie się załamał psychicznie. Wrócił pokornie do Teb i znowu podporządkował się arcykapłanom Amona-Ra. Prawdopodobnie za to właśnie urządzono mu później tak wystawny pogrzeb.

Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że heretykiem Amenhotepem IV zainteresował się wielki pisarz polski Bolesław Prus i wziął go sobie za wzór dla swego Ramzesa XIII - głównego bohatera powieści „Faraon”.

A więc? A więc mogłem od biedy uznać Tut-ench-Amona za zięcia polskiego Faraona.

Po tym odkryciu grobowa krypta stała się od razu jakby weselsza i bardziej przytulna. Jeszcze raz przyjrzałem się bacznie złotej twarzy uśpionego faraona i wydało mi się, że dostrzegłem w niej jakieś swojskie rysy.

Zacząłem się poważnie zastanawiać nad tym, czy w czerwonym sarkofagu nie należałoby pozostawić jakiejś skromnej wiązanki kwiatów od polskich dziennikarzy i literatów. Jakby nie było, powinowactwo dosyć bliskie...

Ale do uczczenia Tut-ench-Amona nie doszło, bo właśnie w chwili, kiedy nad tym rozmyślałem, za moimi plecami rozległ się jakiś gwar i do krypty wkroczyło kilka osób. Zaraz potem zaterkotała mi w uszach zepsuta angielszczyzna przewodników.

Odwróciłem się przestraszony, ale objaśnienia przewodnika nie były na szczęście przeznaczone dla mnie. Okazało się, że do Doliny Królów zawitał jeszcze jeden turysta. Był to ów gruby Hiszpan - ponoć właściciel wielkich dóbr ziemskich w Kastylii, o którym wspominałem już na początku tego rozdziału. Hiszpan, w przeciwieństwie do mnie, bardzo chętnie korzystał z wszelkich udogodnień turystycznych i tym razem towarzyszyło mu aż trzech przewodników. Jeden niósł jego parasol, drugi - hełm tropikalny i lornetkę, trzeci, najstarszy, z małą bródką i złymi oczami - wprowadzał go ochrypłym głosem w sprawy faraonów.

Pierwszą moją myślą było: natychmiast uciekać. Ale pewna rzecz skłoniła mnie do

pozostania. Zauważyłem mianowicie, że przewodnik z bródką - w miarę zbliżania się do mnie - ściszał głos. Najwidoczniej obawiał się, żebym nie korzystał bezpłatnie z jego objaśnień.

Wtedy podkusiło mnie jakieś лихо. „Poczekajcie - pomyślałem sobie - tyle mi krwi napsuli wasi koledzy z Luksoru, to teraz ja zabawię się waszym kosztem”.

Pozostałem więc w krypcie i zacząłem się posuwać krok w krok za świtą Hiszpana. Oni zatrzymali się przy sarkofagu, więc ja o dwa metry w prawo zająłem się studiowaniem malowideł ściennych. Niby to oglądam staroegipski fresk, a jednocześnie wcale nie ukrywam, że nadstawionym uchem łowię pilnie każde słowo przewodnika z bródką

Wśród przewodników zapanowało widoczne zdenerwowanie. Przypuszczam, że z podobnym zuchwalstwem spotkali się po raz pierwszy w czasie swojej kariery. Nie dość, że facet wykręcił się od zapłacenia bakszyszy, ale stara się jeszcze korzystać bezpłatnie z ich wiedzy. A zrobić mi nic nie mogli, bo wykupiłem przecież bilet wejścia i miałem prawo chodzić tam, gdzie mi się podobało.

Przewodnicy, niosący rzeczy Hiszpana, pomrukiwali jakieś obelżywe słowa pod moim adresem, a złe oczy tego z bródką stały się zupełnie wściekłe. Próbował zniżyć swój ochryply głos do ledwie słyszalnego szeptu, ale to nie odpowiadało znowu Hiszpanowi, który kazał mówić mu głośniej.

Ogromnie mi się ta zabawa spodobała i wcale nie było mi żal przewodników. „Męczyli innych, niech więc sami poznają, jak to smakuje” - myślałem z satysfakcją. I poszedłem za Hiszpanem także do innych grobów.

W grobowcu faraona Seti sytuacja osiągnęła takie napięcie, iż nie miałem wątpliwości, że tylko obecność Hiszpana powstrzymywała przewodników od jakiegoś gwałtownego zamachu na całość mojej osoby.

Przewodnik z bródką, widząc, że nie może sobie dać ze mną rady, postanowił zniszczyć mnie jako egiptologa.

W pewnej chwili przerwał wykład o faraonie Setim i - piorunując mnie rozwścieczonym wzrokiem - zaczął wykrzykiwać płomienne oskarżenie przeciwko wszystkim europejskim egiptologom.

Opowiadał, że od siedemdziesięciu lat żyje w Dolinie Królów i dość się napatrzył na łupiestwa tych uczonych panów z Europy. Przyjeżdżali tu, kopali egipską ziemię, wydobywali z niej egipskie skarby, a potem wywozili je za granicę i zbijali na nich ciężkie fortuny.

- Gdzie jest teraz alabastrowy sarkofag faraona Setiego? - krzyczał przewodnik kłując mnie złymi oczami. - Oczywiście, że w British Museum!

Gdzie jest piękne popiersie królowej Nefretete? Oczywiście w muzeum niemieckim!

Gdzie szczątki naszych największych faraonów? W muzeach włoskich. Ale teraz nasz rząd - przewodnik pogroził mi palcem - położył kres tym złodziejstwom! Teraz już żaden z tych panów nie będzie okradał Egipcjan.

Gruby Hiszpan nie orientował się zupełnie w sytuacji, ale zdziwił go gwałtowny atak na naukowców europejskich i przywołał przewodnika dość ostro do porządku.

Mnie wybuch człowieka z bródką również sprawił przykrość. Chociaż nie byłem egiptologiem, poczułem się dość niewyraźnie. Nagle przestała mi się podobać moja dowcipna zabawa i ogarnęła mnie złość na samego siebie.

Odłączyłem się od hiszpańskiego orszaku i wyszedłem z krypty na rozświetloną powierzchnię.

Miałem już dość Doliny Królów i zamierzałem przejść do drugiego punktu programu, do zwiedzania świątyni królowej Haczepsut. Przedtem jednak postanowiłem napić się czegoś zimnego, bo było mi straszliwie gorąco.

Kiedy w dziesięć minut później odpoczywałem w kiosku nad szklanką oranżady, w drzwiach ukazali się trzej przewodnicy od Hiszpana. Ten z bródką był jeszcze ciągle nasrożony, ale dwaj inni nie mieli już w rękach parasola, lornetki i hełmu. Widocznie właściciel dóbr w Kastylii zaspokoił już swoją ciekawość i odjechał.

Przewodnicy od razu mnie zauważyli i zrobili straszne oczy. Zupełnie się tego nie przeląkałem, ale było mi przykro, że tak bardzo ich do siebie zraziłem. Przyszło mi na myśl, że przed odjazdem warto by było ich jakoś ugłaskać.

Chciałem się właśnie dowiedzieć, jak się jedzie do świątyni Haczepsut, żeby móc później zaimponować swoją orientacją kierowcy hotelowego samochodu. Uznałem, że jest to wymarzona okazja do pojednania się z rozgniewanymi przewodnikami.

Wyciągnąłem z portfela dziesięciopiastrowy banknot i podszedłem do przewodnika z bródką.

- Chcę zobaczyć świątynię królowej Haczepsut. Jak mam jechać? - spytałem bez żadnych wstępów, wachlując się niedbale banknotem.

Przewodnikowi w pierwszej chwili dziko błysnęły oczy, ale kiedy dostrzegł banknot, wzrok mu złagodniał.

- Chodź, panie, pokażę - powiedział krótko.

Wyszliśmy przed kiosk. Przewodnik wskazał ręką na jedną z wysokich, skalistych gór, otaczających wąwóz.

- Świątynia Haczepsut tam!

- Jak to? - spytałem z przerażeniem. - Przecież tam się nie dojedzie samochodem.

- Samochodem nie dojedzie - zgodził się człowiek z bródką. - Osłem dojedzie.

Kiedy wracałem do samochodu, dogonił mnie oślarz z burordzawym kłapouchem,

- Chcesz, panie, widzieć świątynię królowej Haczepsut?

- Yhm - mruknąłem nieobowiązująco.

- Siadaj, panie, na mój osioł. Mój osioł bardzo świetny. Najlepszy osioł w całej Dolinie Królów. Ja powiozę.

- Nie mogę - powiedziałem. - Przyjechałem tu samochodem i muszę pomówić z kierowcą.

Oślarz pokiwał ze zrozumieniem głową i poszedł razem ze mną. Kierowca spał w wozie. Minę we śnie miał tak niewinną, że trudno go było posądzić o jakieś oszukańcze machinacje.

Obudziłem go i wskazałem na skalistą górę, mówiąc tylko jedno słowo:

- Haczepsut!

Towarzyszący mi oślarz zagadał coś do kierowcy po arabsku. Kierowca począł gwałtownie gestykulować. Potrząsnął głową, rozkładał bezradnie ręce, dotykał maski samochodu. Ze wszystkich jego gestów wynikało niezbicie, że do świątyni Haczepsut nie da się dojechać samochodem.

- On mówi: „Samochodem na górę nie można” - uśmiechnął się z zadowoleniem oślarz.

- Siadaj, panie, na mój osioł.

I znowu zagadał po arabsku do kierowcy. Ten znowu zaczął gwałtownie gestykulować, po czym kiwnął z rezygnacją głową.

Ogarnął mnie gniew. Jeszcze jedna machlojka! Mieli dać pół funta przewodnikom - nie dali. Mieli dowieźć do świątyni królowej Haczepsut - teraz się wymawiają.

- Siadaj, panie, na mój osioł - kusił oślarz. Jeszcze przed godziną świątynia Haczepsut była dla mnie celem odległym i zupełnie obojętnym. Ale, wiecie, jak to jest, kiedy pojawiają się trudności. Teraz musiałem tam pojechać.

- Ile pan chce za kurs? - spytałem oślarza.

- Pan nie skrzywdzi biedny człowiek. Jeden funt - dobra zapłata.

- Dam pół funta - odpowiedziałem, sadowiąc się na grzbiecie kłapoucha.

Właściciel przez chwilę hałaśliwie lamentował nad tym, jak bardzo został przeze mnie oszukany, ale potem popędził osła wraz ze mną.

Kiedy zaczęliśmy wjeżdżać wąską drożynką na skalistą górę, oślarz dotknął palcem osła i powiedział:

- Jego imię Juliusz Cezar!

Potem dodał:

- On był rzymski cesarz!

Ta druga informacja odnosiła się oczywiście już nie do osła, lecz do sławnej postaci, od której zwierzę przejęło imię.

Trochę głupio mi było jechać tak po prostu na grzbiecie Juliusza Cezara. Uczyłem się przecież w szkole łaciny i nieraz miałem do czynienia z tekstami sławnego zdobywcy Galii. Na szczęście w angielszczyźnie oślarza nazwisko Cezara brzmiało jak „scizor”. Nazwałem więc w myślach osła „Scyzorykiem” i to rozwiało jakoś moje skrupuły.

Tymczasem wążutka drożynką pięła się coraz wyżej wokół góry i zaczynało być niebezpiecznie. Tym bardziej że Juliusz Cezar od czasu do czasu poślizgiwał się na prawe przednie kopyto. Każde takie poślizgnięcie wyrywało ze mnie mimowolny okrzyk.

Kiedy byliśmy już na wysokości dobrych trzech pięt, a skalna ściana stawała się coraz bardziej stroma, zagadnąłem niespokojnie oślarza:

- A czy on przypadkiem nie spadnie?

- On nie spadł jeszcze ani jeden raz - zapewnił mnie dumnie posiadacz wierzchowca.

Odpowiedź ta niezupełnie mnie uspokoiła. Spoglądając w dół, uświadamiałem sobie, że z takiej wysokości można spaść tylko jeden raz, a ten pierwszy raz mógł jeszcze nastąpić.

W chwilę potem, kiedy Juliusz Cezar znowu się potknął, powiedziałem stanowczo do oślarza:

- Ja chyba zejść. Jemu musi być ciężko.

Oślarz zgodził się natychmiast, że osłu jest ciężko, i nie miał nic przeciwko temu, żebym dalszą drogę odbywał pieszo.

Wspinaliśmy się coraz wyżej. Było mi gorąco i dręczył mnie nieokreślony niepokój. Co chwila pytałem oślarza:

- Daleko jeszcze?

- Już, już, panie, jedna minuta!

Potem osłu naprawdę zrobiło się ciężko i musieliśmy go pchać. Z nienawiścią myślałem o faraonicy Haczepsut. Co za nienormalna baba! Żeby budować świątynię na takiej górze!

Na koniec osiągnęliśmy szczyt góry.

- We are in the place¹⁴ - zameldował z zadowoleniem oślarz.

Otarłem pot z czoła i rozejrzałem się. Na szczycie nie było nic! Nic absolutnie.

- Jak to - spytałem osłupiały - a gdzie świątynia? Świątynia królowej Haczepsut?

¹⁴ Jesteśmy na miejscu (angielski).

- Świątynia Haczepsut tam! - oślarz wskazał ręką w dół. W ciemnym wąwozie o kilkadziesiąt metrów poniżej nas biała kolumnada starożytnej świątyni.

- Ale ja chcę na dół. Na dół! - ryknąłem.

- Na dół nie można. Góra stroma. Osioł nie pójdzie. Chciałeś, panie, widzieć świątynię królowa Haczepsut. Świątynia tam. All right, panie. Daj, panie, pół funta!

Spojrzałem jeszcze raz w dół i... zrozumiałem wszystko. Dopiero teraz zauważyłem to, czego nie dostrzegłem przedtem. Tam, w dole, z Doliny Królów do świątyni królowej Haczepsut prowadziła równa, szeroka droga. Właśnie teraz podjeżdżał nią do świątyni czarny samochód hotelu „Savoy”. Mój samochód z moim kierowcą! Ale to nie kierowca mnie oszukał. To przecież ja sam chciałem jechać do świątyni górą, bo zawierzyłem informacji mściwego przewodnika z bródką. Tak, słusznie mnie ostrzegano, przewodnicy z Doliny Królów byli gorsi od luksorskich!

- Daj, panie, pół funta - powtórzył niecierpliwie oślarz.

Cóż miałem robić? Wyjąłem z portfela pół funta i dałem mu. Trudno, za głupotę trzeba płacić.

Spojrzałem z rozpaczą na stromą, kilkudziesięciometrową ścianę skalną, dzielącą mnie od świątyni i samochodu. A więc po to przyjechałem do tej przeklętej Doliny Królów, żeby na starość bawić się w alpinistę. Usiadłem na skalnym zboczu i zacząłem się przygotowywać psychicznie do trudnego zejścia.

Naraz nad moją głową zabrzmiał przeciągły, straszliwy ryk. Była to mieszanina wrzasku marcowych kotów, śmiechu hieny i płaczu dziecka.

- Godzina dwunasta - powiedział wesoło oślarz. - Godzina dwunasta, wszystkie osły ryczą. Nastaw zegarek, panie.

To przekroczyło już moją wytrzymałość nerwową. Nie zważając na nic, począłem zsuwać się w pozycji siedzącej w dół po stromej skale.

W górze nade mną ryczał przeraźliwie Juliusz Cezar, reklamując mój wyczyn alpinistyczny przed mieszkańcami Doliny Królów. W dole zebrali się w komplecie wszyscy przewodnicy i oślarze. Szaleli z radości patrząc, jak czcigodny „profesor egiptologii” i wróg bakszyszu zjeżdża z góry na „odwrotnej stronie medalu”. Takiej frajdy nie było chyba w Dolinie Królów od czasu pogrzebu faraona Tut-ench-Amona.

Jedynie kierowca mego samochodu zląkł się o pasażera i wspiał się aż do połowy góry, żeby mi przyjść z pomocą. Pocziwy chłopiec, którego tak niesłusznie posądzałem, był naprawdę bardzo przestraszony. Klepał mnie po plecach, powtarzał swoje „very good” i chciał mnie koniecznie nakłonić do obejrzenia świątyni królowej Haczepsut. Ale nie dałem się

namówić. Odjechałem, nie obdarzywszy fatalnej świątyni nawet spojrzeniem. To był mój jedyny odwet na Dolinie Królów.

W kilka dni później, po powrocie do Kairu, opowiedziałem całą historię Halilowi.

Student od razu się ze mną zgodził, że to była złośliwa zмова przewodników i oślarza. Przyznał także, że przewodnicy są prawdziwą plagą Górnego Egiptu. Na pociechę powiedział mi, że obecnie władze starają się wszelkimi środkami, jeśli nie zupełnie zlikwidować, to w każdym razie wydatnie osłabić tę plagę. Na koniec jednak dodał:

- Widzi pan, ale tych przewodników także trzeba zrozumieć. To bardzo biedni ludzie, a od dzieciństwa stale mieli do czynienia z bogatymi cudzoziemcami. Drą z obcych bakszysz, bo uważają, że im się to święcie należy. Widzieli przecież nieraz, jak obcy wykopywali z ich rodzinnej ziemi ogromne skarby i wywozili je za granicę...

- Słyszałem coś o tym - mruknąłem niechętnie: alabastrowy sarkofag faraona Setiego, popiersie królowej Nefretete, różne takie rzeczy...

I nie starałem się już dłużej podtrzymywać rozmowy na ten temat, jako że sam nie miałem całkiem czystego sumienia wobec przewodników z Doliny Królów.

Natomiast o drugiej mojej przygodzie mogę opowiedzieć z sumieniem zupełnie czystym. Tam wina była wyłącznie po stronie studenta Halila.

Druga przygoda rozegrała się w odległej o pięć kilometrów od Kairu miejscowości Giza - tam gdzie znajdują się trzy najświetniejsze piramidy egipskie oraz niemniej sławny sfinks.

Przypominacie sobie pewnie, że mój Naczelnny Redaktor, wyprawiając mnie do Egiptu, polecił mi sprawdzić, czy „piramidy stoją na swoich miejscach”. Pewnego niedzielnego przedpołudnia namówiłem więc Halila oraz pana Bieganka z konsulatu na wspólną wycieczkę autobusem do Gizy.

Giza to miejsce zupełnie przedziwne. Niby prawdziwa pustynia, ale pustynia „taka więcej oswojona”, jak by powiedzieli warszawiacy. Pustynia przeznaczona specjalnie dla turystów.

Piramidy były. Owszem - wszystkie trzy, o wiele potężniejsze niż na pocztówkach. Tajemniczy sfinks bez nosa był także. I Halil nam od razu wyjaśnił, że ten nos utracił mu przed stu laty artyleria, która rzeź dłuższy czas używała go jako swojej ćwiczebnej strzelnicy. Była również pustynia - nawet barcie j płowa i bardziej piaszczysta niż w innych okolicach Egiptu.

Ale naprzeciwno tego wszystkiego, zaraz po drugiej stronie szosy, wznosił się ogromny nowoczesny hotel turystyczny „Mena-House”, a między hotelem i piramidami psuły nastrój rozmaite tablice reklamowe, kioski z napojami, porzucone papierosy i skorupy od jajek,

walające się w pustynnym piasku. I oczywiście: rozwydrzony tłum przewodników, oślarzy i agentów turystycznych. Pucybuci i fotografowie. Osły i wielbłądy. Zgiełk i tłok jak na świątecznym jarmarku w Łowiczu.

Krótko mówiąc, osławiona Giza rozczarowała nas. Pan Bieganek określił ją jako „brud, smród i ubóstwo” i oświadczył, że w Finlandii nikt nie umiałby sobie nawet wyobrazić czegoś równie nędznego.

Mnie osobiście z całej Gizy najbardziej zainteresowały wielbłądy¹⁵. Zwierząt tych używali miejscowi fotografowie do urozmaicenia zdjęć pamiątkowych - podobnie jak nasi fotografowie zakopiańscy używają sztucznych białych niedźwiedzi. Ale to nie były jakieś tam sztuczne niedźwiedzie, tylko wielbłądy! Żywe, prawdziwe! I to nie zwyczajne, juczne, jakie widywałem od czasu do czasu na ulicach. Ale wielbłądy „na wysoki połysk”, w strojnych, migotliwych uprzężach, w czerwonych, wyszywanych czaprakach z frędzlami. Dokładnie takie same, na jakich jeździli dzicy, pustynni szejkowie w różnych podróźniczych powieściach.

Zupełnie oszalałem na punkcie tych wielbłądów i od tego właśnie zaczął się mój zatarg z Halilem.

Student chciał nam wszystko dokładnie tłumaczyć: wysokość każdej piramidy, kto, kiedy i dlaczego ją budował. Tymczasem ja ciągle kierowałem rozmowę na wielbłądy. Wreszcie go to zdenerwowało.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego pan się tak uczeplił tych wielbłądów? - powiedział zniecierpliwiony. - Co pan w nich widzi niezwykłego?

- Jak to co? - oburzyłem się. - Wielbłądy występują we wszystkich książkach o Afryce. Wielbłąd to okręt pustyni.

- Kalam fadi!¹⁶ - parsknął Halil. - Jaki tam okręt pustyni. Wielbłąd to po prostu przestarzały

środek lokomocji. Teraz, kiedy mamy samochody pustynne...

Ale tym razem nie poszło mu ze mną tak łatwo. Upatrzyłem sobie jednego dromadera, szczególnie okazale przystrojonego, i nie odrywałem od niego wzroku. W duszy mojej dojrzewała decyzja: postanowiłem sfotografować się na wielbłądzie.

„Cóż to będzie za wspaniała heca - myślałem sobie - kiedy przywiozę do Warszawy takie zdjęcie i pokażę je w redakcji. Koledzy będą niby to dowcipkować, ale zżółkną z zazdrości. I opowiem im oczywiście, że codziennie odbywałem na grzbiecie wielbłąda długie

¹⁵ W Egipcie spotyka się tylko wielbłądy jednogarbne, czyli dromadery. Autor używa jednak

nazwy ogólnej, jako lepiej znanej.

¹⁶ Bzdura! (arabski).

wycieczki pustynne”.

W chwilę później zakomunikowałem swój zamiar Halilowi.

- Nie zrobi pan tego - przestraszył się student. - Takie rzeczy dobre są dla turystów, ale nie dla poważnego dziennikarza.

- Wcale nie uważam - odparowałem chłodno. - Wielbłąd jest jednym z najbardziej typowych elementów Afryki i moi czytelnicy nie darowaliby mi nigdy, gdybym, będąc w Egipcie, nie przejechał się choć raz na wielbłądzie.

- Najzupełniej podzielam pańskie zdanie - poparł mnie pan Bieganek, który zawsze chętnie sprzeciwiał się Halilowi. - Jeżeli miało się już nieszczęście trafić do Egiptu, to absolutnie trzeba jeździć na wielbłądach. W Finlandii były reny...

- Więc pan chce koniecznie przejechać się na wielbłądzie? - spytał student.

- Chcę mieć fotografię. Jak będę miał fotografie, to wszyscy uwierzą, że jeździłem.

- Święta prawda! - basował mi pan Bieganek.

Wobec tak zwartej koalicji Halil nie miał już nic do gadania. Podeszliśmy do mojego wielbłąda i zawarliśmy umowę z fotografem.

W chwilę potem dwaj wielbłądnicy pomogli mi wdrapać się na garb dromadera. Fotograf skrył się pod czarną płachtą i zabrał się do nastawiania swego starożytnego aparatu.

Ja zaś siedziałem na wielbłądzie. Ująłem w ręce wodze i wyprostowałem się dumnie w siodle. Przede mną stał sfinks. Spojrzałem w jego kamienne, tajemnicze oczy i natychmiast zapomniałem o całym jarmarcznym zgłębku turystycznym, który nas otaczał. Pozostała tylko pustynia i my dwaj: sfinks faraonów i ja na wielbłądzie. Czuję się jak najbardziej egzotyczny szeik z najbardziej egzotycznej powieści.

Nagle zaczęło dziać się coś dziwnego i straszego. W staruszka wielbłąda - którego od dwudziestu lat używano wyłącznie do zdjęć fotograficznych - wstąpił szatan.

Najpierw cały świat gwałtownie zakołysał się przede mną, a później równie gwałtownie zaczął podskakiwać. Nastąpił fakt, nie podlegający żadnym wątpliwościom: mój wielbłąd ruszył z miejsca. Ruszył z miejsca lekkim truchcikiem, aby zaraz potem przejść w ciężkiego kłusa. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego te zwierzęta nazywano okrętami pustyni. Tak, to był okręt - okręt podczas straszliwego sztormu.

Pochyliłem się do przodu i uchwyciłem kurczowo obiema rękami za przedni łęk siodła. Od zupełnej kompromitacji uratowało mnie tylko to, że w młodości nieźle jeździłem konno.

Jak długo trwała ta jazda na wielbłądzie, dokładnie nie wiem. Prawdopodobnie zaledwie parę minut, gdyż zaraz nas dogonili wielbłądnicy. „Ale co się najadłem, to się najadłem!” - jak mawia jeden z moich kolegów redakcyjnych. Na domiar złego wielbłąd tak się

rozochocił swoim wyczynem, że w żaden sposób nie chciał już później pozować do zdjęcia i z fotografii trzeba było zrezygnować.

Kiedy ściągnięto mnie wreszcie z pustynnego wierzchowca, od razu mi się nawinął roześmiany pan Bieganek. W takim stanie nie widziałem go jeszcze nigdy: smutny urzędnik szczyrzył zęby od ucha do ucha.

- Co panu tak wesoło? - warknąłem wściekle.

- Bo pan tak sztywnie jeździł. Hi-hi-hi! - chichotał finlandzki zdrajca. - Ale coś pan taki blady? Może panu, niedobrze? Hi-hi-hi!

Chciałem powiedzieć mu coś do słuchu, lecz powstrzymałem się. Ostatecznie: smutnego rozweselić to też dobry uczynek. Niech mu będzie!

Natomiast z Halilem postanowiłem rozprawić się na serio. Skoro tylko rozstaliśmy się z Biegankiem, zapytałem studenta wprost:

- To pan. namówił wielbłądników, żeby podpędzili wielbłąda? Ja sobie takie żarty wypraszam!

- Nie rozumiem - zdziwił się tłumacz. - Chodziło przecież o to, żeby pańscy czytelnicy wiedzieli, że jeździł pan na wielbłądzie. Tak czy nie? No, to pan sobie pojeździł. Teraz może pan im wszystko dokładnie opisać. To lepsze od fotografii.

ROZDZIAŁ V

Zmęczenie Egiptem i tęsknota do Pacanowa - Gdzie to się ludzie nie spotykają - Wyjazd nad Kanał Sueski - Odnalezienie zagubionego wątku - Ważna decyzja

Po czterech tygodniach gorączkowych wędrówek wzdłuż i wszerz Egiptu przytrafiło mi się to, co przytrafia się często sportowcom, nieumiejętnie gospodarującym swymi siłami. Po prostu „spuchłem”.

Nadchodziło gorące lato egipskie i upał w Kairze stawał się trudny do zniesienia. W pokoju hotelowym było potwornie duszno. Mimo szczelnie zamkniętych okien przedostawały się do wnętrza moskity i noce zamieniały mi w piekło. Pisanie reportaży szło coraz ciężiej. Zbyt dużo wrażeń zebrałem wędrując po Dolnym i Górnym Egipcie. Wszystko poplątało mi się w głowie i zamieniło w jakiś huczący, trudny do opanowania zamęt.

Na domiar złego mój przewodnik i tłumacz Halil wyjechał na urlop do rodziców na wieś i pozostałem w Kairze zupełnie sam. Pana Bieganka z konsulatu nie można było w ogóle brać pod uwagę jako towarzysza spacerów. Nieszczęsny urzędnik cały wolny od pracy czas spędzał w domu, zajęty lekturą książek o Dalekiej Północy.

Krótko mówiąc: zaczynało mi się niedobrze dziać w Egipcie i coraz częściej ogarniała mnie tęsknota za krajem. Szczególnie wieczorami.

Zdarzało się nieraz, że siedzę wieczorem w dusznym pokoju hotelowym, a przede mną leży pusty, nie zapisany arkusz papieru. Gorąco jak diabli! W pokoju bzykają moskity. Za oknem wydiera się muezin. Tymczasem ja przemierzam myślami dawne szlaki moich reportaży krajowych: Lublin, Zamość, Gubin, Pińczów, Pacanów...

Ot, choćby taki Pacanów! Tyle się nawybrzydzałem na to miasteczko. Że małe, że odbite od świata, że kozy w nim kują... A teraz serce mi się do niego wyrывa. Z rozrzewnieniem wspominam mały, ubożuchny rynek pacanowski. Ach, jak tam było przyjemnie! Niebo zaciągnięte szarymi chmurami. I deszcz sobie popada od czasu do czasu. I wszyscy ludzie mówią po polsku. I „manka” robią. I do gospody można wstąpić na bigos albo na porcję smażonej kiełbasy... Ech, „nie razdrażaj” - jak mówią Rosjanie.

A tu co? Żar jak w piecu, niebo bez jednej chmurki, moskity, mueziny, galabije i wielbłądy. Tak, nawet wielbłądy przestały mnie już bawić, szczególnie po tym wypadku pod piramidami.

Pod wpływem takich wieczornych rozmyślań zacząłem coraz częściej napomykać w listach do Warszawy, że źle znoszę afrykański klimat, że zdrowie mi nie dopisuje i że chyba

skrócę swój pobyt w Egipcie.

Ale wiecie, jak to jest w zawodzie reporterskim. Człowiek sobie robi plany, postanawia różne rzeczy, a tu nagle coś się zdarza i od razu wszystko się zmienia.

Pewnego dnia wyszedłem jak zwykle rano z hotelu. Kupiłem gazetę i papierosy w kiosku przy ulicy Solimana-paszy, po czym przystanąłem na chwilę, żeby ustalić sobie harmonogram dnia. „Gdzie by tu dzisiaj pójść? - zastanawiałem się. - Czy do Muzeum Egipskiego, żeby obejrzyć jeszcze raz trzy złote trumny faraona Tut-ench-Amona? Czy do zoo - podrażnić się trochę z małpami? A może do Zarządu Dróg Wodnych? Tam z pewnością dowiem się jeszcze czegoś o tamach asuańskich”.

Myślałem, kombinowałem, ale nic nie mogłem wykombinować, bo było mi okropnie gorąco i w ogóle miałem już dość Kairu.

Naraz drgnąłem jak rażony prądem. Ktoś głośno, wyraźnie zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się gwałtownie i osłupiałem. Z obcego, różnobarwnego tłumu przechodniów kairskich wychyliła się twarz mojego przyjaciela i kolegi z lat szkolnych, Pawła. Pawła, którego widziałem po raz ostatni na kilka dni przed wybuchem wojny.

Przetarłem oczy. A może to fatamorgana? Wprawdzie w miastach takie rzeczy dotychczas się nie zdarzały, ale mniej by mnie w Kairze zdziwił pustynny oman niż widok szkolnego kolegi, z którym ładnych parę lat przesiedziałem w jednej ławce.

A jednak to był Paweł! Ponad wszelkie wątpliwości! Taki sam, jak przed laty, zupełnie niezmieniony. Białoróżowy, puciołowaty, tryskający zdrowiem i energią. Przepychał się do mnie wśród tłumu, machając ręką i wołając na odległość:

- No, popatrz, chłopie kochany, gdzie to się ludzie nie spotykają!

Rzuciliśmy się sobie w objęcia na samym środku gwarnej i zatłoczonej ulicy Solimana-paszy. Zaraz zebrał się wkoło nas tłumek ludzi w galabijach i ktoś powiedział głośno, że dwóch Amerykanów upiło się „whisky and soda”. Potem podszedł do nas policjant w białym kasku i stanowczo poprosił, żeby nie robić publicznego zamieszania.

Więc Paweł zaciągnął mnie do małej „kafejki” i zamówił dwie porcje wspaniałego egipskiego arbuza. Dopiero tam, delektując się soczystym orzeźwiającym owocem, zaczęliśmy się wzajemnie zarzucać rozmaitymi pytaniami.

Okazało się, że mój dawny kolega szkolny jest jakąś szyszką w Centrali Handlu Zagranicznego i jeździ po całej Afryce, żeby wynajdować nowe rynki zbytu dla naszych wyrobów przemysłowych.

- A ty jesteś reporterem - klepnął mnie Paweł po ramieniu. - Wiem, wiem, czytałem nawet jakieś twoje „kawalki” w gazetach. I teraz podróżujesz po Egipcie? Ho, ho, ho.

Bardzo mi się to „ho, ho, ho” nie spodobało. Wprawdzie w szkole Paweł zawsze uczył się lepiej ode mnie, ale był za to niemożliwie ważny. I taki widocznie pozostał.

Nie omyliłem się. Po zjedzeniu arbuza Paweł otarł usta i natychmiast zabrał się do przepytывania mnie z Egiptu - zupełnie w taki sam sposób, jak w szkole przed klasówką z matematyki.

- Plantacje bawełny widziałeś?

- Widziałem.

- Muzeum Egipskie zwiedzałeś?

- Zwiedzałem.

- W Dolinie Królów byłeś?

- Uhm - burknąłem niewyraźnie. W uszach zabrzmiał mi przeciągły ryk Juliusza Cezara.

- A na wielbłądzie jeździłeś?

- Jeździłem - jęknąłem. - Pasjami lubię jeździć na wielbłądzie.

- Ho, ho, ho! - powtórzył mój przyjaciel. - Widzę, że nie marnowałeś tu czasu. - Był wyraźnie

niezadowolony z tego, że niczym nie mógł mi zaimponować. Ze zdenerwowania zamówił jeszcze dwie porcje arbuza.

Wessałem się właśnie w soczysty, czerwony miąższ, kiedy dotarło do mnie nowe pytanie:

- A nad Kanałem Sueskim byłeś?

Omaliem nie udławiłem się arbuzem. Zupełnie nie rozumiem, jak to się mogło stać, że w ciągu czterech tygodni nie przyszło mi na myśl, aby tam pojechać. Począłem bąkać zawstydzony:

- Wiesz, że nie byłem. Jakoś tak się złożyło...

- No, oczywiście! - powiedział mój kolega z widoczną satysfakcją. - Cały świat mówi o Kanale Sueskim. Z powodu tego Kanału o mało nie doszło do wojny. Egipcjanie przepędzili stamtąd Anglików, rozwiązali Kompanię Sueską... Ale pana reportera to wszystko nie interesuje. On woli sobie jeździć na wielbłądzie!

- Słuchaj no, Paweł! - przerwałem mu ze złością. - Ty, zdaje się, zapominasz, że nie jesteś moim redaktorem naczelnym!

- Twoje szczęście! - uciął sucho ten bezczelny typ.

Ale zaraz się udobruchał i swoim zwyczajem walnął mnie w ramię. Oznaczało to u niego serdeczność i chęć pojednania.

- Spokojna głowa - uśmiechnął się. - Dobrze, żeśmy się spotkali. Mam do załatwienia pewną sprawę w Port Saidzie i jadę tam właśnie jutro autem naszego ataszatu handlowego. Pojedziesz ze mną. Bez żadnej dyskusji, wniosek przyjęty przez aklamację. Jutro o ósmej rano zajeżdżam po ciebie przed hotel.

Tak oto - nieoczekiwanie dla samego siebie - pojechałem z moim kolegą szkolnym Pawłem do Port Saidu, największego miasta nad Kanałem Sueskim.

Po niespełna trzech godzinach jazdy - w Ismailii - ujrzałem po raz pierwszy Kanał. Przyznaję ze wstydem, że wrażenie zrobił na mnie znacznie mniejsze, niż się spodziewałem.

Najsławniejszy szlak komunikacyjny świata, łączący z sobą dwa morza i dwa kontynenty, zaprezentował mi się jako niezbyt szeroki pas turkusowych wód, ujętych w dwie ściany gładkiego, szarego granitu, Z obu stron Kanału leżała płowa, piaszczysta pustynia.

Wszystko razem wyglądało nad wyraz skromnie, ale Paweł oświadczył, że skromność jest cechą każdej prawdziwej wielkości. Zapisałem sobie to powiedzenie, chociaż zdawało mi się, że czytałem je już w jakiejś książce. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mój kolega także uważa się za skromnego.

Kiedy wjeżdżaliśmy do Port Saidu, Paweł uśmiechnął się do jakichś swoich myśli i znowu walnął mnie w ramię. Cały już byłem obolały od jego serdeczności.

- Słuchaj no, stary, Port Said... Kanał Sueski... Czy to ci czegoś nie przypomina?

Zastanowiłem się. No cóż: w ostatnich dwóch latach dużo czytało się w gazetach na ten temat... Ale chyba Paweł nie zamierza mi teraz urządzać egzaminu z mojej wiedzy politycznej...

Wzruszyłem obolałymi ramionami.

- Czy ja wiem? Jakoś nic specjalnego nie przychodzi mi na myśl.

Paweł pokręcił tylko głową i westchnął w jakimś dziwnym rozmarzeniu;

- Nic specjalnego nie przychodzi ci na myśl? Ach, ty... wielbłądzie!

Ale w żaden sposób nie chciał mi powiedzieć, o co mu właściwie szło.

Tymczasem nasz samochód wjechał na pięknie zadrzewiony bulwar nadbrzeżny i po chwili zatrzymał się przed okazałym, białym pałacem o srebrzystej kopule. Była to siedziba Zarządu Kanału Sueskiego.

Paweł zaraz poszedł do biura Zarządu załatwiać swoje sprawy, a mnie kazał zaczekać na bulwarze.

Wrócił po piętnastu minutach w towarzystwie jakiegoś Egipcjanina w wojskowym mundurze.

- No, wszystko załatwione. A to jest kapitan Mahmoud, pracownik Zarządu Kanału.

Przewiezie nas motorówką po porcie.

Kiedy wsiadaliśmy do motorówki, mój przyjaciel znowu uśmiechnął się zagadkowo:

- A więc jesteśmy na Kanale Sueskim, a tam dalej za drogą jest jezioro Menzaleh. Słuchaj... czy to naprawdę nie nasuwa ci żadnych wspomnień?

Oszalał ten Paweł czy co? A cóż ja mogę mieć za wspomnienia o egipskim jeziorze Menzaleh? Pierwszy raz w życiu słyszę tę nazwę.

Ruch w porcie był ogromny. Statki szykowały się właśnie do odpłynięcia. Przeciągły ryk syreny wzywał ostatnich opieszających do przyłączenia się do konwoju. Przy wąskim wyjściu z portu czekał już statek strażniczy, aby przeprowadzić konwój w kierunku Morza Czerwonego.

Obok nas przepływały wszystkie bandery świata. W bogactwie flag i nazw nie mogłem się rozeznąć. Przeważnie były to ogromne tankowce, płynące po naftę do Zatoki Perskiej.

Paweł - dobrze orientujący się w sprawach gospodarczych - tłumaczył mi, na czym polegało znaczenie Kanału Sueskiego. Przez wąską bramę Kanału dostarczano rocznie z Azji do Europy około stu milionów ton ropy. W wypadku zamknięcia Kanału olbrzymia ilość samochodów i samolotów we wszystkich krajach europejskich znalazłaby się bez paliwa.

Nasza motorówka pruła wody Kanału, ciągnąc za sobą biały, pienisty tren. Odślaniały się przed nami tajemnice najdziwniejszego portu świata. Dopiero teraz okazało się, że brzydki, zaniedbany Port Said nie był jedynym miastem u północnego wylotu Kanału Sueskiego. Na wschodnim wybrzeżu portu rozciągało się drugie miasto: Port Fuad. Była to piękna dzielnica willowa, w której mieszkali do niedawna wyżsi urzędnicy rozwiązanej przez Egipcjan Kompanii Sueskiej. Mijaliśmy gustowne i zaciszne białe wille w ogrodach, doskonale urządzone plaże i pływalnie, pałacyki klubów towarzyskich.

Paweł znowu powrócił do swoich zagadek.

- To willowa dzielnica Port Saidu - powiedział. Kiedyś mieszkali tam nasi dobrzy, bardzo dobrzy znajomi. Ty, oczywiście, nie wiesz, kogo mam na myśli?

Nic mu nie odpowiedziałem, tylko obrzuciłem go wymownym spojrzeniem i stuknąłem się palcem w czoło. Nigdy przecież nie miałem żadnych znajomych w Port Saidzie.

Tymczasem kapitan Mahmoud z Zarządu opowiadał o ciężkich dniach, jakie przeżywał Port Said i cały Egipt w roku 1956, po rozwiązaniu przez rząd egipski angielsko-francuskiej Kompanii Sueskiej i po upaństwowieniu Kanału. Zawróciliśmy motorówką w stronę miasta i kapitan pokazał nam całą dzielnicę Port Saidu, zbombardowaną w drodze odwetu przez lotnictwo brytyjskie.

- Ale i tak nic im nie pomogło - powiedział. - Kanał upaństwowiliśmy i obecnie

funkcjonuje wcale nie gorzej niż pod zarządem Kompanii Sueskiej.

Słuchałem kapitana Mahmouda bez specjalnego zainteresowania. Prawie wszystko, co mówił, było mi doskonale znane z komunikatów prasowych. Poza tym w słuchaniu przeszkadzało mi słońce, które prażyło coraz niemiłosierniej. Oczy kleiły mi się ze zmęczenia i z gorąca. Z coraz większym trudem rozróżniałem bandery mijanych statków. Wszystko rozplywało się w jakiejś świetlistej, tęczowej mgle.

Naraz wyrwało mnie z drzemki potężne uderzenie w ramię.

- Człowieku, nie śpij! - wrzasnął rozgniewany Paweł. - Jesteś w Port Saidzie, na Kanale Sueskim! Czy ty naprawdę nie pamiętasz? Przecież tu rozpoczęły się przygody Stasia Tarkowskiego i Nel Rawlison!

Oprzytomniałem w jednej sekundzie. Jak mogłem o tym zapomnieć! Paweł miał rację, że nazwał mnie wielbłądem. Przecież wyjeżdżając z Warszawy przysięgałem sobie święcie, że będę podróżował śladami Stasia i Nel. Kupiłem nawet i zabrałem ze sobą do Egiptu „W pustyni i w puszczy”. Ale książka leżała nie tknięta przez cztery tygodnie w mojej walizie i trzeba było dopiero spotkania z dawno nie widzianym kolegą szkolnym, żeby wpaść na pierwszy właściwy trop... Tak, byłem wielbłądem albo czymś jeszcze znacznie gorszym.

Z nowym zainteresowaniem rozejrzałem się po otoczeniu.

Nigdy nie słyszałem o jeziorze Menzaleh? Cóż za brak pamięci! Przecież właśnie tam - na wysokim wale między Kanalem a jeziorem Menzaleh - spacerowali mali bohaterowie „W pustyni i w puszczy” przed porwaniem ich przez mahdystów!

Nie miałem znajomych w willowej dzielnicy Port Saidu?

Jak to! Przecież tam mieszkali: ojciec Stasia, inżynier Tarkowski, i ojciec Nel, pan Rawlison, dyrektor Kompanii Sueskiej.

Pan Rawlison - dyrektor Kompanii Sueskiej! Przypomniało mi się to, co przed chwilą opowiadał kapitan Mahmoud. Historyczne wypadki z roku 1956 nabrały dla mnie nowego, bardziej osobistego charakteru.

Bo przecież dyrektor Kompanii Sueskiej z roku 1956 mógł być takim samym sympatycznym, rozsądnym dżentelmenem angielskim jak pan Rawlison z „W pustyni i w puszczy”. Kto wie: może nawet miał taką samą małą, śliczną córeczkę imieniem Nel.

Ale wtedy - w roku 1956 - nie to było najważniejsze. Najważniejsze było to, że Kanał Sueski znajdował się na terytorium Egiptu, lecz większość ogromnych dochodów z żeglugi na Kanale wpływała do kas angielsko-francuskiej Kompanii Sueskiej.

Egiptojanom to się sprzykrzyło. Powiedzieli więc dyrektorowi Kompanii Sueskiej: „Jest pan bardzo sympatycznym, angielskim dżentelmenem i ma pan bardzo miłą córeczkę, ale my

chcemy mieć nasz Kanał i chcemy czerpać z niego zyski. Dlatego rozwiążemy Kompanię Sueską, akcjonariuszom wypłacimy odszkodowanie, a Kanał Sueski upaństwowimy”.

Pan Rawlison z roku 1956 tak samo wierzył w niezwalczoną potęgę Anglii, jak jego poprzednik z książki Sienkiewicza. Odrzekł więc: „Nic podobnego nie może się stać. Anglia nie pozwoli nigdy na rozwiązanie Kompanii Sueskiej i na upaństwowienie Kanału”.

Ale uparci Egipcjanie zagraniczną Kompanię zlikwidowali, a Kanał upaństwowili.

Wtedy przyleciały samoloty angielskie i zaczęły bombardować Port Said, żeby zmusić rząd egipski do oddania Kanału Kompanii.

Świat w roku 1956 był jednak inny niż wtedy, kiedy Sienkiewicz pisał swoją powieść. Istniała Organizacja Narodów Zjednoczonych, istniało wiele państw zwalczających kolonializm. Pod ich naciskiem Anglia musiała wycofać się z wojny o Kanał.

Dla pana Rawlisona z roku 1956 - który ciągle jeszcze wierzył we wszechmoc Imperium Brytyjskiego - było to z pewnością ciężkim ciosem. Ale nadziei nie tracił. Powiedział Egipcjanom: „Chcecie, to rozwiązujcie Kompanię Sueską. Bez nas i tak nie dacie sobie rady z Kanałem. Odwołamy wszystkich naszych pilotów i w ciągu kilku dni żegluga na Kanale ulegnie zablokowaniu”.

Wówczas Egipt zwrócił się z apelem do innych narodów: „Ratujcie żeglugę na Kanale Sueskim! Przyślijcie nam na pomoc swoich pilotów!”

W wyniku tego apelu w Port Saldzie pojawili się następcy inżyniera Tarkowskiego - polscy piloci morscy, którzy razem z wieloma pilotami innych narodowości uruchomili normalną żeglugę na Kanale.

„Osoby pozostały prawie takie same, jak w książce Sienkiewicza - myślałem sobie. - Tylko historia trochę pozmieniała im role”.

Naraz chwyciłem Pawła za rękę:

- Paweł, patrz!

Na końcu białego, wybiegającego daleko w morze, mola dostrzegłem dwie dziecinne sylwetki: czternastoletniego chłopca i ośmioletnią dziewczynkę.

- Co tam takiego zobaczyłeś? - zdziwił się mój przyjaciel.

- Staś i Nel - wyszeptalem.

- Słońce ci uderzyło na mózg, mój kochany - roześmiał się Paweł. - Przecież to małe Egipczaکی. Ryby łowią.

Naturalnie, że to nie byli bohaterowie „W pustyni i w puszczy”. Niemniej wrażenie pozostało. Przez chwilę widziałem Stasia Tarkowskiego i Nel Rawlison. I od razu przestał mnie interesować Kanał Sueski i Port Said. Nie słuchałem już tego, co mówił kapitan Mahmoud.

Zobojętniały mi statki o kolorowych banderach, nafta, wszystko...

Przenieśliśmy się z Pawłem znowu w czasy szkolne. Przypomniała nam się sfatygowana mapa Afryki z Atlasu Romera, na której kreśliliśmy pracowicie szlak wędrówek Stasia i Nel. Ileśmy się wtedy nagadali na ten temat! Kiedyś próbowaliśmy uciekać do Afryki. Ale zaraz za miastem złapał nas ulewny deszcz, więc kompletnie przemoczeni musieliśmy wrócić do domów... Wspominaliśmy z rozrzewnieniem, jak to się czytywało pod ławką „W pustyni i w puszczy”... I jak przez wiele miesięcy porozumiewaliśmy się z sobą tylko mową Kalego („Kali być wielki świat”)... I jak władczygo Pawła nazywano w klasie „Bwana Kubwa”...Kiedy skończyły się te wspomnienia, westchnąłem z głębi serca i powiedziałem z żalem:

- Cóż Egipt!... Egipt to nie ta Afryka. Staś i Nel przecież wędrowali po Sudanie...

A Paweł na to, jakby nigdy nic:

- Ja właśnie za dziesięć dni wybieram się do Sudanu. Chcemy na rynek sudański upchnąć trochę polskich towarów.

We mnie jakby piorun trząsł. Przez dłuższą chwilę nie mogłem w ogóle wydobyć z siebie głosu. Wreszcie wyjąkałem:

- Ty... ty naprawdę jedziesz do Sudanu?

- No, oczywiście, że jadę. A cóż w tym takiego dziwnego?

Myślałem, że go zamorduję. Aie nic nie powiedziałem. Zamurowało mnie kompletnie. Taki szczęściarz, jedzie do Sudanu!

Nie odezwałem się już ani słowem, aż do wyjazdu z Port Saidu. Działo się ze mną coś dziwnego. W głowie kłębiły mi się niespokojne, zuchwałe myśli. Czułem się jak człowiek, który zamierza skoczyć z czwartego piętra.

Kiedy dojeżdżaliśmy już do Kairu, trąciłem Pawła,

- Słuchaj, Paweł, a gdybym tak ja... Gdybym zatelegrafował do mojej redakcji... Może oni też zgodzą się, żebym pojechał do Sudanu?

Paweł tak mnie rąbnął w ramię, że aż jęknąłem.

- No, pewnie, chłopie, telegrafuj! Nie byłbyś reporterem, gdybyś tego nie zrobił! Być w Afryce i nie skorzystać z takiej okazji!

ROZDZIAŁ VI

Wymiana telegramów z redakcją - Starania o wizę - Bierny opór pana Bieganka - Wyjazd Pawła - Jak wykladałem literaturę polską sekretarzowi ambasady sudańskiej - Wyjazd do Sudanu - Spotkanie z Gebhrem

Zaraz po powrocie do Kairu zabrałem się do wprowadzenia w czyn śmiałych zamysłów. Przede wszystkim wysłałem telegram z opłaconą odpowiedzią do warszawskiej redakcji. Znając poczucie humoru Naczelnego Redaktora, starałem się nadać mojej poważnej prośbie ton żartobliwy. Depesza brzmiała tak:

Piramidy stoją na swoich miejscach. Stop. Nil płynie z południa na północ. Stop. Krokodyli nie ma. Stop. Egipt całkowicie opisany. Stop. Proszę o rozszerzenie delegacji na Sudan.

Po trzech dniach otrzymałem odpowiedź:

Zgadza się na Sudan w granicach przyznanych dewiz. Stop. Uważajcie na krokodyle, tam są na pewno. Stop. Czekamy na interesujące reportaże.

Wymachując radośnie depeszą, pobiegłem natychmiast do Pawła. Ale Paweł z miejsca mnie zgasił.

- Zgoda redakcji to jeszcze nie wszystko - powiedział - trudniej będzie z wizą wjazdową do Sudanu. Oni znacznie chętniej wpuszczają do siebie zagranicznych handlowców niż zagranicznych dziennikarzy i literatów. Sudan niedawno uzyskał niepodległość i dopiero się urządza. Poza tym mieli jakieś kłopoty z Murzynami z Południa. Dlatego nie lubią ciekawskich, wtykających nosy w nie swoje sprawy.

- Więc co mam robić? - spytałem przygnębiony.

Mój kolega przez chwilę się zastanawiał.

- Najlepiej, jeżeli o wizę będziesz się starał nie osobiście, lecz za pośrednictwem naszego konsulatu. To zrobi na Sudańczykach poważniejsze wrażenie. Masz chyba jakieś swoje chody w konsulacie? No, a przede wszystkim, chłopie, głowa do góry! Wszystko będzie dobrze!

Dla dodania mi otuchy Paweł chciał klepnąć mnie w ramię, lecz szybkim unikiem wykręciłem się od tej czułości.

- Oczywiście, że mam chody w konsulacie - rzekłem już raźniej. - Znam tam jednego takiego referenta. Typ trochę dziwny, trudno mu zaaklimatyzować się w Afryce, ale z pewnością mi pomoże.

I zaraz poszedłem do konsulatu, do pana Bieganka. Zostałem go w pokoju samego, lecz tak był zajęty, że nie dostrzegł nawet mego wejścia. Całą jego uwagę pochłaniało osobliwe polowanie.

W ręce trzymał zdjęty z nogi sandał i uganiał się po całym pokoju, usiłując zakatrupić małą jaszczurkę, uciekającą przed nim w popłochu po ścianach.

- Co pan wyrabia! - krzyknąłem od progu. - Jaszczurkę chce pan zabić? Przecież to nasz najcenniejszy sprzymierzeniec. Czy pan wie, że jaszczurki pożerają moskity?

- Pożerają moskity? - pan Bieganeł spojrział na mnie błędnie i sandał wypadł mu z ręki.

- No i widzi pan, obciążylbym sumienie niepotrzebnym grzechem. Ach, ta Afryka, ta Afryka! Tu człowiek nigdy nie wie, kto wróg, a kto przyjaciel!

Podniósł z podłogi sandał i włożył go na nogę. Po załatwieniu tej czynności zaczął zauważyć fakt mego przybycia.

- A cóż to szanownego redaktora sprowadza w nasze skromne progi? Może znowu chce mnie pan zabrać na jakąś przejażdżkę wielbłądem?

Pominałem milczeniem tę małoduszną złośliwość i wyłożyłem urzędnikowi cel mej wizyty. Pan Bieganeł podskoczył na krześle.

- Co pan powiedział? - jęknął. - Nie, to nie możliwe, musiałem się przesłyszeć. Pan na serio chce jechać do Sudanu?

- Oczywiście, że chcę jechać do Sudanu - wypiąłem dumnie pierś. - Od dawna już marzę o poznaniu prawdziwej Afryki. Egipt to nie jest prawdziwa Afryka.

- Egipt to nie jest prawdziwa Afryka - powtórzył ze zgrozą pan Bieganeł i skrzywił się płaczliwie. - Zależy jak dla kogo. Dla mnie aż zanadto prawdziwa! A czy pan wie, redaktorze, jak w tym Sudanie jest gorąco? To już przekracza wszelkie ludzkie pojęcie! Nie, Ja do pańskiego szaleństwa ręki nie przyłożę.

- Jak pan uważa - odparłem chłodno - sądziłem, że będzie pan mógł mi pomóc w tej sprawie. Chodzi przecież tylko o skierowanie wniosku i o zwykły telefon do ambasady sudańskiej. Ale jeżeli pan nie może, jeżeli to nie leży w sferze pańskich możliwości, to oczywiście zwrócę się z oficjalną prośbą o poparcie do kierownika konsulatu.

Urażona ambicja urzędnicza pana Bieganka stanęła dęba.

- Jak to, nie mogę? Jak to, nie leży w sferze moich możliwości? - oburzył się referent. - Właśnie, że mogę! Właśnie, że leży w sferze! Panie, nie takie rzeczy się załatwiało. Jak byłem w Finlandii, to wysyłałem ludzi do Laponii, ba, nawet na biegun północny... A pan mi tu Sudanem chce zaimponować! Zaraz wypełni się potrzebny druczek.

Pan Bieganeł wstał, wyszukał na półce odpowiedni blankiet urzędowy, potem znowu

usiadł przy biurku, nałożył okulary i z nerwowym pośpiechem zabrał się do wypełniania kolejnych rubryk.

Z pierwszymi rubrykami nie było żadnego kłopotu. Imię i nazwisko, narodowość, miejsce zamieszkania, zawód i tak dalej. Zatrzymaliśmy się dopiero przy rubryce: „cel podróży”. Nad tą rubryką pióro pana Bieganka zawisło bezradnie w powietrzu.

- No i mamy pierwszą trudność - powiedział - diabli wiedzą, co tu pisać. Jak załatwialiśmy wizy dla naszych handlowców, to pisało się po prostu: „cel podróży - nawiązanie stosunków z handlowcami sudańskimi”. Wiadomo: handlowiec, żeby handlować, pojedzie wszędzie, choćby nawet do piekła. Ale pan: dziennikarz i literat, po co pan pcha się do piekła - tego wytłumaczyć nie potrafię.

Odłożył pióro i westchnął:

- Nie, tego nie można załatwić tak na chybcika. Trzeba wymyślić jakiś cel podróży poważny i przekonujący dla Sudańczyków, żeby nie robili panu trudności. Najlepiej niech pan teraz podpisze wniosek „in blanco”, a później ja już sam wykombinuję taki cel podróży, że im aż w pięty pójdzie. Panie, nie takie rzeczy Bieganek załatwiał.

Żegnając się ze mną, urzędnik jeszcze raz odwołał się do mego rozsądku i próbował mnie skłonić do zmiany „samobójczej” decyzji.

- Ostrzegam pana jak brata - mówił ściskając mi rękę. - Niech pan się nie pcha w nieszczęście. Czy pan wie, dokąd pan chce jechać? Sudan to jest zupełna dzicz! Dżungla: lwy, krokodyle, węże! Czarna ospa, dżuma i żółta febra!

- Jeżeli chodzi o ospę, dżumę i żółtą febrę, to przeszedłem już wszystkie szczepienia ochronne - uspokoiłem go z uśmiechem. - A lwy, krokodyle, węże'? Ależ ja o tym właśnie marzę!

- Marzy pan o tym?!!! - pan Bleganek gwałtownie puścił moją rękę i cały zeszywniał. - Marzy pan o lwach, krokodylach i węzach?! No, to rzeczywiście nie mamy co dłużej rozmawiać.

Po wizycie w konsulacie nastąpiły męczące dni wyczekiwania na wizę.

Zaczęła mi wtedy dokuczać samotność. Mój przyjaciel Paweł zajęty był ciągle swymi sprawami handlowymi i pokazywał się u mnie nader rzadko. Z Halilem straciłem wszelki kontakt i nie wiedziałem nawet, czy powrócił już z urlopu.

Od chwili, gdy zdecydowałem się na wyjazd do Sudanu, trawiła mnie „gorączka podróżna”, Egipt przestał mnie zupełnie interesować. Niczego już nie zwiedzałem i popadłem w karygodną beczynność. Do późna wylegiwałem się w łóżku, a wieczorami chodziłem do kina na filmy kowbojskie albo całymi godzinami włączyłem się bez celu po ulicach.

„Nie, to nie jest prawdziwa Afryka - myślałem sobie,, mijając wspaniałe sklepy bądź przepychając się przez tłum wyelegantowanych przechodniów w kairskim śródmieściu. - To nie jest żadna Afryka! Człowiek musi tu ciągle uważać, żeby nie wpaść pod samochód! Na każdym rogu kino szerokoekranowe albo luksusowa kawiarnia! Ludzie ubrani jak u nas! Wszędzie głośniki radiowe, gazety, polityka, »totolotek«! Jest wprawdzie trochę galabii, czarczafów i wielbłądów, jest cholerny upał - ale na prawdziwą Afrykę to jeszcze za mało!”

„Prawdziwej” Afryki szukałem gdzie indziej. Nocą, w pokoju hotelowym, nie pisywałem już reportaży, lecz czytałem namiętnie „W pustyni i w puszczy”. Staś Tarkowski i Nel Rawlison, których zdradzałem tak haniebnie przez cztery tygodnie, teraz byli moimi nieodłącznymi towarzyszami. Znowu - jak za lat szkolnych - dzieliłem ich losy i wędrowałem z nimi przez dżungle i stepy Sudanu. Zadomowione w moim pokoju moskity i śpiew muezina za oknem dodawały tym wędrowkom przedziwnego smaku, przybliżając je do rzeczywistości.

Po paru dniach znowu poszedłem do konsulatu, aby dowiedzieć się, czy nie ma jakichś wiadomości o wizie. Nie było żadnych.

Pan Bieganek przyjął mnie niezbyt serdecznie. Narzekał, że jest zawałony pracą, i śpieszył się na jakąś ważną konferencję. Na moje nalegania odparł z godnością, że uczynił wszystko, co do niego należało. Papiery odesłał do ambasady sudańskiej i poparł wniosek osobistym telefonem. Dalszy bieg sprawy zależy tylko od Sudańczyków.

Ale kiedy już wychodziłem, referent zawrócił mnie od drzwi.

- Chwileczkę, redaktorze, mam tu jeszcze coś dla pana.

- Co takiego - zamarłem w oczekiwaniu.

- E, nic wielkiego, takie sobie głupstewko - silił się na lekceważący ton pan Bieganek. - Przeczytałem właśnie w gazecie, że w południowym Sudanie lew napadł na jednego niemieckiego podróżnika.

- Więc tam naprawdę są lwy?! – wykrzyknąłem z radością.

Pan Bieganek najpierw spiorunował mnie wzrokiem, a potem wykonał ręką ruch, jakby się oganiał od szczególnie dokuczliwego komara.

- Muszę już iść na konferencję - oznajmił lodowato.

W ciągu następnych dni chodziłem do konsulatu jeszcze kilka razy, ale moja sprawa ani rusz nie chciała posunąć się naprzód.

Pan Bieganek najwyraźniej stosował bierny opór. Albo chował się przede mną i kazał mówić woźnemu, że go nie ma, albo przyjmował mnie, lecz zamiast rozmawiać o wizie, opowiadał mi różne przerażające historie na temat Sudanu. Z jego opowieści wynikało niezbicie, że kraj, do którego się wybieram, był siedliskiem wszelkich możliwych

niebezpieczeństw, najstraszliwszych chorób i dość częstych, klęsk żywiołowych.

W czasie kolejnych wizyt w konsulacie dowiedziałem się o Sudanie następujących rzeczy:

że w miastach sudańskich spotyka się na każdym kroku trędowatych

że lamparty podchodzą nocami pod okna hotelowe

że kilkunastu Europejczyków zmarło tam ostatnio wskutek udaru słonecznego

że pewien niemiecki podróżny (dla Niemców Sudan był widać szczególnie groźny) znalazł w swym łóżku „zieloną mambę” - straszliwie jadowitego węża, którego ukąszenie powoduje śmierć w ciągu kilku sekund.

A mojej wizy sudańskiej jak nie było, tak nie było.

Pewnego wieczora wpadł do mnie do hotelu Paweł. Nie widziałem go już od tygodnia, bo załatwiał jakieś sprawy w Aleksandrii. Był podniecony i w świetnym humorze.

- No, chłopie, jutro odlatuję do Sudanu! A jak tam z twoją wizą?

Ogarnęła mnie wściekłość. Przecież to on wplątał mnie w tę całą hecę z Biegankiem, a teraz jeszcze śmie pytać, jak z moją wizą.

- To wszystko przez ciebie - wybuchnąłem. - Kazałeś mi starać się o wizę przez „chody” w konsulacie, a teraz przez te „chody” w ogóle nie pojedę do Sudanu!

- Każdy ma takie „chody”, jakie sobie wyrobił - stwierdził filozoficznie Paweł. - Ale nie denerwuj się, stary. Nie poszło tak, to pójdzie inaczej. Nawalił ten twój Bieganek, to pofatyguj się sam do ambasady sudańskiej. Może nie będą robić specjalnych trudności. Ja w każdym razie czekam na ciebie w Chartumie.

On czeka na mnie w Chartumie! Nie, ta bezczelność przekracza już wszelkie granice.

- W czas się wybrałeś z twoją radą - zawarczałem. - Ty lecisz do Chartumu, a mnie wysyłasz do ambasady sudańskiej. Nie ma to jak dobre rady dawnych kolegów szkolnych!

Ale cóż było robić? Nazajutrz odprowadziłem Pawła na lotnisko i z rozdartym sercem przyglądałem się jego odlotowi. Dzień później - po bezsennie spędzonej nocy - z samego rana udałem się do ambasady sudańskiej, aby wszcząć osobiste starania o wizę.

Ambasada sudańska mieściła się w niedużym pałacyku, położonym w centralnym punkcie kairskiego śródmieścia. Kair w tym miejscu był najmniej afrykański i zupełnie przypominał wielkie stolice Europy.

Ale natychmiast po przekroczeniu progu ambasady znalazłem się w samym sercu Afryki - tej Afryki, którą znałem z powieści podróżniczych.

Milczący woźny o bardzo ciemnej twarzy, odziany w bogato szamerowaną liberię, wprowadził mnie do poczekalni, wypełnionej ludźmi.

Rozejrzałem się wkoło i ogarnęło mnie wzruszenie. Wszystko, czego daremnie szukałem w Egipcie, odnalazłem nagle w poczekalni ambasady sudańskiej w Kairze. Wnętrze tej poczekalni przypominało żywo barwne ilustracje z książek o Afryce, wydawanych w końcu ubiegłego stulecia.

W długiej kolejce po wizy i paszporty tłoczyli się obok siebie oliwkowi, otyli kupcy lewantyńscy w okrągłych, czerwonych fezach, europejscy myśliwi, wybierający się na polowanie na grubego zwierza, oraz posepni, dumni szejkowie pustynni w białych, długich burnusach i wzorzystych pasach, za którymi zatknięte mieli zakrzywione kindżały.

Czekających było bardzo wielu, więc początkowo próbowałem - zgodnie z warszawskim zwyczajem - załatwić swoją sprawę poza kolejką. Ale europejscy myśliwi zaczęli zaraz groźnie potrząsać swoją bronią, oliwkowe twarze kupców lewantyńskich pokryły się potem ze zdenerwowania, a posepni szejkowie pustynni, trzymając ręce na kindżałach, dziko błysnęli oczami. Nie chcąc więc doprowadzić do awantury, szybko zrezygnowałem z niewczesnego zamiaru. Zająłem potulnie swoje miejsce w kolejce i dla skrócenia czasu oczekiwania zagłębiłem się w lekturę pierwszego tomu „W pustyni i w puszczy”, który na wszelki wypadek zabrałem z sobą.

Po godzinie czekania dopuszczono mnie wreszcie do sekretarza ambasady. Był to wysoki, starszy pan, odziany w elegancki, czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i popielaty krawat. Ponieważ miał ciemną, prawie czarną twarz, siwe włosy i dobrotliwy uśmiech - wydał mi się podobny do Wuja Toma, i od razu poczułem do niego sympatię.

Sekretarz ambasady powitał mnie uprzejmie w wybornej angielszczyźnie, wyrażając zadowolenie, że podróżny z dalekiej „Bolandy” zamierza odwiedzić jego kraj. Dodał także, że w Sudanie bawi obecnie kilku polskich handlowców, o czym wiedziałem równie dobrze, jak on.

Kiedy jednak przeszedłem do szczegółów i napomknąłem, że moje podanie o wizę, skierowane przez konsulat, leży już w ambasadzie od dziesięciu dni - zachowanie sekretarza uległo raptownej zmianie. Dobrotliwy uśmiech zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca zakłopotaniu.

Wyłowił ze stosu papierów, zalegających biurko, moje podanie, odczytał je jeszcze raz, po czym bezradnie rozłożył ręce.

- Niestety, sir - powiedział. - Sprawa nie jest tak prosta, jak myślałem. Ze względu na szczególny cel pańskiej podróży, będziemy się musieli nad tym dłużej zastanowić. Bardzo mi przykro, lecz na razie wydać panu wizy nie mogę.

Szczególny cel podróży? Ciekawe, co ten nieszczęsny Bieganek tam napisał?

Poprosiłem sekretarza, aby pozwolił mi zerknąć na podanie. Spojrzałem na odpowiednią rubrykę i aż mnie zamroczyło. W rubryce „cel podróży” stało jak byk: „dla nawiązania stosunków z literatami sudańskimi”.

Pan Bieganek specjalnie się nie wyteżył. We wnioskach handlowców pisał: „dla nawiązania stosunków z handlowcami sudańskimi”. Więc w moim - ponieważ byłem dziennikarzem i literatem - napisał: „dla nawiązania stosunków z literatami”. Dotrzymał słowa: wykombinował coś takiego, że aż w pięty poszło. Tylko nie Sudańczykom, a mnie.

- Rzecz w tym - powiedział uprzejmie sekretarz - że jesteśmy społeczeństwem bardzo młodym, które dopiero niedawno uwolniło się od jarzma okupacji. Poza twórczością ludową, żadnej literatury w Sudanie jeszcze nie ma. Praktycznie więc rzecz biorąc musiałby pan czekać na wizę tak długo, póki nie narodzi się prawdziwa literatura sudańska. Ma my nadzieję, że nastąpi to w ciągu najbliższych lat.

- Ależ, panie sekretarzu, to tylko zabawne nieporozumienie - jęknąłem z rozpaczą. - Przysięgam, że zupełnie mi nie zależy na stosunkach z literatami sudańskimi i nie mam najmniejszego zamiaru czekać na powstanie literatury sudańskiej. Chodzi mi przede wszystkim o literaturę polską.

- Oh, I see!¹⁷ - zdziwił się sekretarz.

Nasza rozmowa przekroczyła już normę czasu, przewidzianą dla interesantów, i spoza nie domkniętych drzwi dobiegały niepokojące odgłosy, wśród których rozróżniłem wyraźnie szczęk broni niecierpliwych myśliwych, sapanie zdenerwowanych kupców i zgrzytanie zębów pustynnych szejków.

Ale było mi już wszystko jedno. Musiałem wyjechać do Sudanu. Za wszelką cenę.

- Bo, widzi pan, panie sekretarzu - zabrałem się do dłuższego opowiadania - w literaturze polskiej mamy taką sławną powieść dla młodzieży, której akcja rozgrywa się w Sudanie. I w tej powieści występuje wasz sławny Mahdi. I wszyscy uczniowie naszych szkół znają waszego Mahdiego i... i bardzo go kochają (że też sufit ambasady sudańskiej nie zwałił mi się na głowę za to potworne kłamstwo!).

- Oh, that's very, very interesting!¹⁸ - cieszył się sekretarz i poprosił, żeby opowiedzieć mu pokrótce treść tej książki.

Obejrzałem się z niepokojem na drzwi, za którymi tumult stawał się coraz gwałtowniejszy, i zabrałem się do streszczenia Sudańczykowi „W pustyni i w puszczy”,

¹⁷ Tu w znaczeniu: Ach, tak! (angielski).

¹⁸ To jest bardzo, bardzo interesujące! (angielski).

omijając oczywiście te miejsca, które mogły zaszkodzić moim staraniom o wizę.

Sekretarz ambasady wysłuchał z największą uwagą historii Stasia i Nel. Kiedy skończyłem, zatarł ręce i znowu stał się zupełnie podobny do zakłopotanego Wujka Toma. Prawdopodobnie po raz pierwszy w jego praktyce dyplomatycznej zdarzył mu się klient w taki sposób uzasadniający prośbę o wizę.

- No cóż, na razie niczego nie mogę panu obiecać. Ale zadzwonię jeszcze raz do Chartumu i postaram się wpłynąć na zmianę decyzji centrali. Gdyby były jakieś nowiny, prześlemy je natychmiast do waszego konsulatu w Kairze.

Podziękowałem serdecznie dobremu Wujowi Tomowi i opuściłem jego gabinet z nową nadzieją w sercu. Byłem rad z siebie i przechodząc przez poczekalnię, wytrzymałem bez zmrużenia oka straszliwe spojrzenia rozdrażnionych myśliwych, kupców i szejków.

W trzy godziny później zatelefonował do mnie do hotelu pan Bieganek.

- Czy trwa pan nadal przy swoim szaleńczym zamiarze wyjazdu do Sudanu?

- Oczywiście, że trwam!

- Wobec tego ja umyвам ręce. Proszę tylko pamiętać, że Bieganek pana ostrzegwał.

- A dajże mi pan spokój ze swoimi kazaniami! Nie mam czasu na takie rozmowy! – krzyknąłem rozzłoszczony i chciałem odłożyć słuchawkę.

- Zaraz, zaraz, niech pan nie będzie taki nerwowy - przestraszył się pan Bieganek. -
Dzwonię

z dobrą nowiną. Załatwiłem panu wreszcie tę wizę sudańską. Namęczyłem się jak sto diabłów, ale w końcu od nich wydebiłem. Był właśnie telefon z ambasady. Niech pan zaraz leci do sklepu i kupuje hełm tropikalny. Bieganek panu dobrze radzi.

A więc dostałem upragnioną wizę sudańską! Tak mnie uszczęśliwiła ta wiadomość, że nie powiedziałem nawet referentowi, że to nie on, lecz Staś i Nel dopomogli mi w załatwieniu sprawy. A niech mu tam będzie! Grunt, że mogę jechać do Sudanu!

Zaczynał się nowy okres mojej podróży - tym razem naprawdę śladami Stasia i Nel. Ogarnęło mnie takie podniecenie, że rzeczywiście poszedłem do sklepu i kupiłem sobie korkowy hełm tropikalny. Jechałem przecież do prawdziwej Afryki. Że też dopiero Bieganek musiał mi przypomnieć o tym ważnym sprawunku!

Historyczny moment wyjazdu nastąpił w dwa dni później. Na lotnisko kairskie odwiózł mnie - jakżeby inaczej - pan Bieganek we własnej osobie.

Wielbiciel Finlandii od chwili, kiedy uwierzył, że wizę dostałem tylko dzięki jego staraniom,, przybrał wobec mnie ton opiekuńczy i protekcyjny. Na lotnisku udzielił mi wielu bezcennych rad, które miały mnie uchronić przed najważniejszymi niebezpieczeństwami

Sudanu.

Między innymi pan Bieganek zalecił mi, abym:

- 1) nie podawał ręki żadnemu Sudańczykowi (ze względu na możliwość zarażenia się trędem)
- 2) nie zdejmował ani na chwilę z głowy korkowego hełmu (ze względu na słońce)
- 3) nie podchodził za blisko do Nilu (ze względu na krokodyle)
- 4) przeszukiwał pościel przed położeniem się do łóżka (ze względu na mamby: zielone i czarne)
- 5) zamykał na noc okna (ze względu na lamparty).

Referent przypilnował, żebym te wszystkie rady zapisał w swoim notatniku. Kiedy to uczyniłem, niespodziewanie się rozczulił.

- Wie pan co, redaktorze? Z pana jest morowy chłop. Dla takich ludzi, jak pan, warto się potrudzić. Chciał mi widocznie dać do zrozumienia, że nie żałuje ogromnego trudu, jaki włożył w zdobycie dla mnie wizy sudańskiej.

Potem pan Bieganek przyjrzał mi się badawczo i długo mnie sondował wzrokiem, wążąc w myślach jakąś decyzję. Wreszcie rzekł:

- Powiem panu w zaufaniu jedną rzecz. Pan mi na pewno nie podpuści świni.

Zdziwiłem się bardzo, gdyż nigdy nie przypuszczałem, że pan Bieganek mógł mieć jakieś tajemnice.

Tymczasem mój dobroczyńca odciągnął mnie w najbardziej odludny kąt dworca lotniczego, rozejrzał się niespokojnie wokoło, po czym konspiracyjnie szepnął:

- Redaktorze, wie pan, co ja zrobiłem?

Zamieniłem się cały w słuch. W gwarnej hali dworca zapachniało nagle zbrodnią.

- Jeden kolega z centrali napisał, że zwalnia się miejsce w naszym konsulacie w Oslo. Więc ja złożyłem podanie o przeniesienie do Oslo. Rozumie pan, że, Norwegia to nie Finlandia, ale klimat podobny i ceny także możliwe, już się dowiadywałem. Jak pan myśli: uwzględnią mi to podanie?

- Z całą pewnością - powiedziałem stanowczo.

- Redaktorze kochany - pan Bieganek wzniosł oczy ku górze i jego umęczona twarz przybrała wyraz uduchowienia. - Redaktorze kochany, jeżeli przeniosą mnie do Oslo, to pan będzie musiał do mnie przyjechać na reportaż. Ja już tam pana urządzę.

Niestety, nie zdążyłem się dowiedzieć, w jaki sposób pan Bieganek zamierzał mnie urządzić w Norwegii. Bo właśnie w tej chwili pasażerów, udających się do Sudanu, wezwano do samolotu.

W dziesięć minut później nie pamiętałem już ani o panu Bieganku, ani o jego podaniu w sprawie przeniesienia do Oslo. Leciałem do Sudanu! Nad moją głową wisiał korkowy kask tropikalny. Na kolanach rozłożyłem otwarty pierwszy tom „W pustyni i w puszczy”. Myślałem o tym samym, o czym myślał Sudańczyk Idris, uciekając z porwanymi dziećmi przed pościgiem: „Byle minąć Asuan! Byle minąć Asuan!” Bo przecież niedaleko za Asuanem zaczynał się już Sudan!

Było już dobrze po północy, kiedy wytrysnęła pod nami świetlista smuga Zapory Asuańskiej. Gorączkowo przerzuciłem kilka kartek „W pustyni i w puszczy” i przeczytałem:

We dnie chronili się w ukrytych i trudno dostępnych miejscach wśród skał i rozpadlin, a nocami pędzili bez wytchnienia, póki nie minęli Pierwszej Katarakty. Aż na koniec, gdy Beduini z położenia i postaci khorów¹⁹ rozpoznali, że Asuan został już za nimi, wielki ciężar spadł z piersi Idrysa.

Spojrzałem w dół. Samolot leciał nisko nad pustynią. W świetle księżyca błyszcząły srebrem sfalowane piaski. Na jasnym tle poruszał się czarny punkcik. To pewnie pustynny szakal wyruszył na nocne łowy. Rozróżniałem wyraźnie ciemne rozpadliny kamienistych khorów. Nad jednym z nich rozłożyła się na nocny spoczynek gromadka ludzi i wielbłądów. Karawana podróżna. Taka sama, jak tamta, w której byli Staś i Nel.

W jakiś niezrozumiały sposób znalazłem się nagle wśród nich. Tak, to byli O N I! Przed moimi oczami rozgrywała się jeszcze raz scena, którą tak dobrze pamiętałem z książki.

Mała Nel śpi już, Chamis syn Chadigiego uklada się do spoczynku. Okrutny Gebhr zdejmuje uprząż z wielbłądów. Idris powraca od kamienia, na którym ustawił pustą gurdcę²⁰. Z karabinem gotowym do strzału stoi Staś Tarkowski. Ale strzał nie padnie. Zza skalistej ściany wysypuje się gromada jeźdźców na koniach i wielbłądach. Jeźdźcy coś krzyczą, wymachują strzelbami. Przerażony Idris przypada do kolan Stasia.

„Panie, ja byłem dla małej bint²¹ dobry, pamiętaj o tym!”

Ale Beduin Abu Anga zeskakuje z wielbłąda i woła tryumfalnie:

„Chartum wzięte! Gordon zabity! Mahdi zwycięzca!”

Idris podnosi opuszczoną głowę. Gebhr uśmiecha się. Ach, jaki złowieszczy jest ten śmiech!

Szarpnięto mnie mocno za ramię. Spojrzałem prosto w twarz Gebhra. Miałem ją tuż nad sobą. Białe zęby wyszczerzone w okrutnym uśmiechu. Rytualne nacięcia na czarnych

¹⁹ Wąwóz skalny, najczęściej łożysko wyschniętego potoku.

²⁰ Skórzane naczynie na wodę.

²¹ Dziewczynka.

policzkach. Tylko zaraz... Dlaczego Gebhr ma na głowie granatową czapkę ze srebrnym napisem „Sudan-Air Ways”?

A uśmiechnięty Gebhr w czapce „Sudan-Air Ways” powiedział z lekkim zniecierpliwieniem:

- Proszę się wreszcie obudzić, sir! Jesteśmy już nad Chartumem!

ROZDZIAŁ VII

Pierwsze zetknięcie z Sudanem - Paweł dotrzymał słowa - Czy zamierza pan polować na grubego zwierza? - Jeździec na wielbłądzie - Chartumski „Grand-Hotel” - Walka z wentylatorem - Suchy toast na cześć bohaterów „W pustyni i w puszczy”

Na lotnisku Chartumskim wylądowaliśmy o trzeciej nad ranem. Taki byłem spragniony Sudanu, że - nie zważając na nikogo - natychmiast zacząłem się przepychać w stronę wyjścia. O mały włos nie doszło do wielkiej awantury z jakimś nerwowym kupcem greckim, któremu w pośpiechu nadepnałem na odcisk.

Ale kiedy stanąłem już w otwartych drzwiach samolotu, odrzuciło mnie do tyłu. O rany, co za upał! Pan Bieganek wcale nie przesadzał - upał sudański przekraczał wszelkie pojęcie!

W Egipcie oswoiłem się jako tako z klimatem afrykańskim, lecz tam przynajmniej wieczorami robiło się trochę chłodniej. Natomiast tu - o trzeciej w nocy - człowiek czuł się jak we wnętrzu dobrze nagrzanego pieca. W jednej chwili wyschły mi wargi, język i gardło, a całe ciało pokryło się kroplistym potem.

Wielkie pustynne lotnisko Chartumu zaskoczyło mnie jakąś niezwykłą ciszą i spokojem. Ludzi było mnóstwo - Arabów, Murzynów, Europejczyków - lecz wszyscy poruszali się leniwie, bez pośpiechu, prawie bezgłośnie. Wydawało mi się, że patrzę na niemy film, wyświetlany w zwolnionym tempie. Co za kontrast z lotniskiem kairskim, które opuściłem przed czterema godzinami! Tam aż huczało od wszelkich hałasów Wschodu i Zachodu. Tu panowała wielka cisza tropikalnego Południa - cisza, od której dzwoniło w uszach.

Ale kiedy zbliżyłem się do hali dworca, sudańską ciszę przerwał głośny, polski okrzyk:
- Jak się masz, stary! Pozdrawiam cię w krainie Stasia i Nel!

Od razu otoczyła mnie swojska atmosfera. Mój przyjaciel Paweł dotrzymał słowa: czekał na mnie w Chartumie. Więcej, był na tyle uprzejmy, że nocą fatygował się na lotnisko.

Przywitaliśmy się nad wyraz serdecznie, lecz Paweł był jakiś zgaszony, nawet mnie nie klepnął w ramię. Wyraźnie schudł przez tych parę dni, a jego pyzate policzki były o wiele bledsze niż w Egipcie.

Przypomniało mi się zaraz to, co pan Bieganek opowiadał o różnych chorobach sudańskich, i zaniepokoiłem się.

- Zmarniałeś jakoś, Bwana Kubwa. Myślałem, że w tym Sudanie opalisz się na Murzyna, a ty zrobiłeś się biały jak kwiat bawełny!

- Opalić się w Sudanie? - Paweł parsknął szyderczo i tylko ręką machnął. - W Sudanie nie można się opalać. Sam się przekonasz. W Sudanie ucieka się przed słońcem!

A więc ze słońcem pan Bieganek także miał rację! Ciekawe, czy i jego pozostałe groźby się sprawdzą? Wzdrygnąłem się na wspomnienie zielonych mamb i lampartów. Na wszelki wypadek postanowiłem przed spaniem gruntownie przeszukać pościel i szczerze pozamykać okna.

Tymczasem Paweł zajął się z kolei moją skromną osobą. Jego oskarżycielski palec skierował się od razu w stronę tropikalnego hełmu, który przytroczyłem do paska, nie mając jeszcze odwagi włożyć go na głowę. A to co znowu za maskarada?

- Maskarada? - obruszyłem się. - Przecież jesteśmy w strefie podzwrotnikowej. Sam mówiłeś, że trzeba się chronić od słońca.

- Słońce słońcem, ale Sudan dopiero przed dwoma laty wyzwolił się spod panowania Anglików i bardzo tu nie lubią rzeczy przypominających dawnych kolonizatorów. Nie radzę ci pokazywać się w tym hełmie na ulicy, bo możesz mieć grube nieprzyjemności.

No i proszę, ładnie mnie ten Bieganek urządził! Diabło mi było żal niepotrzebnie wydanych pieniędzy i szykownego hełmu, ale dla pewności zaraz go zasłoniłem trzymanym na ręku pledem.

Po paruminutowym czekaniu dopuszczono nas do długiego kontuaru, przy którym sudańscy celnicy przeprowadzali odprawę celną bagażu.

Młody, prawie czarny oficer w koszuli z wysoko zakasnymi rękawami przejrzał pobieżnie moje walizki, po czym zapytał najobojętniej w świecie:

- Czy wiezie pan z sobą broń na grubego zwierza?

Spojrzałem na Pawła i wypiąłem dumnie pierś. Mój kolega silił się oczywiście na ironiczne miny, lecz nie zdołał mi popsuć przyjemności. Pytanie oficera dowodziło niezbitcie, że zrobiłem na nim wrażenie człowieka polującego na słonie, lwy i tygrysy.

Chciałem nawiązać z celnikiem dłuższą rozmowę na ten temat, lecz Paweł z zazdrości nie dopuścił do tego. Powiedział, że nie zamierza spędzać reszty nocy na lotnisku, i niemal siłą odciągnął mnie do wyjścia.

Przed dworcem czekało kilka wielkich, staroświeckich taksówek. Skinęliśmy na jedną z nich i biało ubrany kierowca bez słowa otworzył nam drzwiczki.

Taksówka nie miała licznika, więc Paweł zaczął z góry targować się o kurs. Przy okazji dowiedziałem się, że w Sudanie były w obiegu zarówno egipskie funty, jak angielskie szylingi i dwuszylingowe floriny. Pozostało to jeszcze z czasów kolonialnych, kiedy Sudan stanowił tak zwane „kondominium anglo-egipskie”.

Za pięć florinów, czyli za pół funta, szofer zgodził się zawieźć nas do „Grand-Hotelu”. Rozsiadłem się wygodnie w starożytnej landarze i rozpocząłem pierwszą wędrówkę przez kraj moich uczniowskich marzeń.

Taksówka jechała powoli, ponieważ - jak zauważyłem już na lotnisku - w Sudanie wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Ale dla mnie ta jazda i tak była o wiele za szybka. Tyle rzeczy po drodze przyciągało moją uwagę, że co chwila błagałem o zatrzymanie samochodu, lecz Paweł nawet słyszeć o tym nie chciał.

- Na reportaż będziesz miał jeszcze dosyć czasu - twardo odpierał moje prośby. - Teraz trzeba się jeszcze wyspać, po południu mam ważną konferencję z tutejszymi kupcami.

Nie było rady: musiałem się witać z Chartumem przez okno samochodu.

Stolica Sudanu nie przypominała w niczym Kairu. Miasto rozkładało się szeroko na brzegu Nilu, lecz zabudowę miało niezbyt okazałą. Trochę gmachów reprezentacyjnych - szkoły, banki, szpitale. Poza tym luźno rozrzucone parterowe lub jednopiętrowe domki o płaskich dachach - typowe bungalowy afrykańskie. Między domami szerokie, asfaltowe ulice, pozbawione chodników, oraz ogromne piaszczyste place bez żadnej zabudowy. Na jednym z tych placów dostrzegłem ze zdumieniem stadko długonogich flamingów i dwa najprawdziwsze pelikany.

Przechadzały się spokojnie i poważnie jak kury na wiejskim podwórku.

Na ulicach - mimo bardzo wczesnej pory - kręciło się już dość dużo ludzi. Mijaliśmy wysokich, szczupłych Murzynów z Południa i niewiele od nich jaśniejszych Arabów sudańskich. Ci wcześnie przechodnie musieli należeć do najuboższej i najciężej pracującej ludności Chartumu, gdyż większość z nich dźwigała na głowach różne wory, kosze i dzbany.

Kobiety nie zauważyłem ani jednej. Nie widać było także europejskich ubrań ani długich galabii. Prawie wszyscy nosili krótkie, luźne tuniki, sięgające zaledwie do kolan, z tym że Arabowie mieli na głowie białe turbany, a Murzyni małe, barwne mycki.

Paweł - który w ciągu kilku dni zdążył się już nałykać sudańskiej mądrości - nie omieszkał mnie pouczyć, że krótkie „dżiby” stanowią powszechny strój Sudańczyków, gdyż lepiej odpowiadają tutejszemu klimatowi niż długie galabije. Po czym dorzucił:

- Wojownicy Mahdiego także nosili dżiby. Zobaczysz w muzeum omdurmańskim.

Jego przemądrzały ton był denerwujący jak zwykle, lecz wzmianka o wojownikach Mahdiego natychmiast mnie ułagodziła.

Naraz drgnąłem.

- Paweł, co to?

W prześwicie między domami zobaczyłem pomnik jeźdźca na wielbłądzie.

- To? - wycodził niedbale Paweł. - To jest pomnik generała Gordona. Wiesz, tego z „W pustyni i w puszczy”.

Chwyliłem go za ramię.

- Paweł, zatrzymajmy się na minutę! Proszę cię!. Ja muszę zobaczyć Gordona!

- Mowij nie ma! Później. Teraz spać, spać.

Do rozmowy wmieszał się kierowca taksówki. Był to Arab w średnim wieku o okrągłej, sympatycznej twarzy.

- Chcecie oglądać Gordona, to śpieszcie się - powiedział wesoło - bo pomnika wkrótce nie będzie. Nie ma w Sudanie obcych gubernatorów, nie trzeba ich pomników.

- Bwana Kubwa, słyszysz? - jęknąłem błagalnie.

Ale Paweł był nieustępliwy.

- Spokojna głowa - palnął mnie swoim zwyczajem w ramię - jeszcze zdążysz. Do popołudnia pomnika na pewno nie zburzą.

Nie zatrzymaliśmy się przy Gordonie. Obraziłem się za to na Pawła śmiertelnie i przez resztę drogi nie odezwałem się już do niego ani słowem.

„Grand-Hotel” - jedyny europejski hotel w Chartumie - stał nad samym Nilem, przy końcu gęsto zadrzewionego bulwaru nadbrzeżnego.

Gospodarstwo hotelowe składało się z jednopiętrowej willi, szeroko rozsiadłej nad rzeką, oraz ze starego parowca nilowego na stałe przycumowanego do brzegu. Na parowcu nocowali ci goście, dla których nie było miejsca w hotelu.

Widok statku obudził we mnie tak silną pokusę, że nie potrafiłem już dłużej utrzymać się w roli obrażonego.

- Słuchaj no - trąciłem pojednawczo Pawła - ja muszę nocować na tym parowcu, rozumiesz?

Ale Paweł wzruszył tylko ramionami.

- Nie wygłupiaj się, chłopie. Szczury nie dałyby ci spać. Mieszkasz razem ze mną, na pierwszym piętrze.

Nie darmo mego kolegę nazwano w szkole Bwana Kubwą,

Hall „Grand-Hotelu” był pusty i senny. W urządzeniu jego nie znalazłem niczego nadzwyczajnego: ot, taki sobie zwykły hall hotelowy. Uśmiechnięty portier, w czarnym garniturze i olśniewająco białej koszuli, wręczył Pawłowi klucz od pokoju i polecił posługaczowi odnieść moje walizy na pierwsze piętro.

Ale na pierwszym piętrze było dużo dziwnych, rzeczy. Przede wszystkim przeciągi. Naokoło stał gęsty, nieruchomy żar, a tu chłodne, ostre przewiewy cięły ze wszystkich stron jak

nożami. Taki był jakiś dziwny rozkład korytarzy.

- Bo, widzisz, kiedy ten hotel budowano, nie znali jeszcze urządzeń klimatyzacyjnych – wymądrzał się profesorskim tonem Paweł - więc chłodzili przeciągiem. Też niezły sposób.

Teraz ja wzruszyłem ramionami. Rzeczywiście, świetny sposób, ale na złapanie kataru.

I żeby kataru nie złapać, przemykałem się chyłkiem pod ścianami, starannie unikając dobrodziejstw „powietrznej klimatyzacji”.

Naraz potknąłem się o czyjeś czarne nogi i omal nie upadłem. Całą szerokość korytarza tarasowało kilku śpiących Murzynów w białych dżibach. Ten, którego potrąciłem, nawet nie drgnął.

- Tutejsi posługacze twardo śpią - informował Paweł. - Ale widzisz: w Sudanie jest strasznie gorąco.

- Niemożliwe! - zgrzytnąłem. - Chyba żartujesz!

Ledwie już trzymałem się na nogach, ostatni pot wyciekał ze mnie strumieniami, a ten mnie łaskawie uświadamiał, że w Sudanie jest gorąco!

Dobrnęliśmy wreszcie do pokoju. Pokoik był niewielki, urządzone z istic pustynną skromnością. Dwa żelazne łóżka, dwa nocne stoliki, stół, krzesła, na suficie olbrzymi wentylator. Wszystko.

Paweł przekręcił wyłącznik nad swoim łóżkiem i wentylator zaczął się majestatycznie obracać.

Uwagę moją przyciągnęły wielkie termosy, stojące na nocnych stolikach.

- Ciekawe, na co te termosy. Przy takim upale...

- Ech, ty reporterze! Właśnie na upał. Jest w nich woda z lodem. Zapewniam cię, że przez noc wypijesz dwa albo trzy takie termosy.

Paweł nie zdążył skończyć, a mój termos już był otwarty. Ale w ostatniej chwili zawahałem się.

- Woda z lodem, a ja taki zgrzany. Może lepiej nie pić?

- Nic ci nie będzie! Pij, tu można ociekać potem, a jednocześnie spokojnie opychać się lodami. Taki już osobliwy klimat.

Przed położeniem się do łóżka długo i sumiennie badałem jego zawartość. Niewiele tego było: nadmuchiwany materac campingowy, cieniutki kocyk i spartańska poduszeczka. Zajrzałem nawet pod łóżko.

- Czego ty tak szukasz? - zainteresował się Paweł. - Może jaszczurek się boisz?

- Ee... nic. Coś mi tam spadło - odburknąłem ze złością.

Położyliśmy się do łóżek i zgasiliśmy światło. W pokoju, mimo szczelnie zamkniętych

okiennic, już szarzało. Nie było czym oddychać, Łapałem powietrze jak ryba. Wentylator chłodził tylko najbliższe sąsiedztwo sufitu.

- Paweł, dlaczego ten wentylator tak wolno się obraca?

- Prawda, trzeba przekręcić na drugi bieg - mruknął sennie Paweł i po raz drugi przekręcił wyłącznik.

Wentylator wyraźnie się ożywił. Ale zasadnicza sytuacja nie uległa zmianie, od strefy wietrznej dzieliło nas jeszcze dobre pół metra. Tymczasem coś złego zaczynało się dziać w moim materacu. Upodabniał się coraz bardziej do rozpalonej patelni.

- Paweł! - jęknąłem. - Co z tym materacem?

- To przez tego drania, żeby go... - dobiegło mnie senne przekleństwo.

- Przez jakiego drania?

- Słuchaj, ja muszę spać, ja mam konferencję. Przez tego, co kupił dla hotelu dmuchane materace. To dobre na jeziora augustowskie, ale nie na Sudan. Zmusz się do spania.

Zamilkłem na kwadrans. Ale nie mogłem zmusić się do spania. Smażyłem się na patelni, nie miałem czym oddychać, w termosie nie było już ani kropli wody. Zęby przynajmniej ten wentylator chciał powiać o pół metra niżej.

- Paweł!... Paweł!... Czy ten wentylator ma jeszcze, jeden bieg?

- O Boże, po coś ty przyjechał do Sudanu! - mamrotał rozbudzony Paweł. - Ma jeszcze trzeci bieg, ale nie radzę ci. Zresztą, jak chcesz! - I Paweł znowu przekręcił wyłącznik.

Wtedy wentylator nagle oszalał. W pokoju wybuchnęła burza. Porywisty wiatr zaczął szarpać moim wątlutkim kocem. Wydawało się, że za chwilę cały pokój wyleci w powietrze. Nie, tego również nie można było wytrzymać.

- Paweł, ten wentylator jest chyba atomowy!... Paweł, przełącz z powrotem na drugi bieg!... Paweł!...

Jedyną odpowiedzią było potężne chrapanie. Mój przyjaciel zasnął na dobre. Nie mogłem już liczyć na jego pomoc.

Przedarłem się przez zaporę wiatru do łóżka Pawła i z największą ostrożnością przełączyłem diabelskie urządzenie na drugi bieg. Potem postanowiłem odświeżyć zawartość termosu i poszedłem budzić w korytarzu służących.

Rzeczywiście spali twardo. Ale po dziesięciominutowej szarpaninie udało mi się jednego z nich dobudzić. Czarny chłopiec bez słowa wyjął mi termos z ręki i przepadł z nim na pół godziny w krętaninie korytarzy.

Czekałem na niego na otwartym krużganku. Rozpościerał się stąd wspaniały widok na Nil. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz było już zupełnie jasno. Na drugim brzegu Nilu wyciągała

się aż po horyzont szara, naga pustynia. Uświadomiłem sobie z całą ostrością, że naprawdę jestem w Sudanie i ogarnęła mnie radość. Miałem przed oczami pustynię, którą tyle razy oglądałem w uczniowskich marzeniach, pustynię, przez którą wędrowałem razem ze Stasiem i Nel, pustynię, na której konałem z pragnienia i doznawałem bohaterskich przygód. Zrobiło mi się wstyd tych wszystkich nocnych awantur z powodu termosu i wentylatora. Postanowiłem zrehabilitować się wobec bohaterów „W pustyni i w puszczy”.

Odebrałem z rąk czarnego służącego napełniony termos i odstawiłem go nietknięty na nocny stolik. „Nie wypiję do rana ani kropli wody” - powiedziałem sobie..

Obudził mnie Paweł hałaśliwym odsuwaniem okiennic. Do pokoju wtargnęło oślepiające, białe światło sudańskiego słońca.

- O Boże! - stęknął rozpaczliwie Paweł. - Skonam, jeśli się czegoś nie napiję!

- Proszę bardzo - podsunąłem mu grzecznie termos.

Bwana Kubwa zważył go niedowierzająco w rękę i zajrzał do środka.

- Ho, ho, ho - mruknął tylko. - Ho, ho, ho!

Przynajmniej raz ja jemu zaimponowałem.

ROZDZIAŁ VIII

Pierwszy dzień w Chartumie - Magiczne słowo „bokra” - Restauracja „Grand-Hotelu” - Dobre rady przyjaciół - Jak pan się poci? - Bez soli trudno żyć - Wyprawa do miasta - Aleja historycznych wspomnień - Jak to było z tym Gordonem?

Mój pierwszy dzień w Chartumie zaczął się od spraw gospodarskich. Kiedy zwlekliśmy się wreszcie z Pawłem z naszych „dmuchanych” materaców i doprowadziliśmy się jako tako do porządku - przypomniałem sobie, że trzeba oddać do prania gruntownie przepoconą bieliznę.

Paweł wyszedł na korytarz poszukać służącego i po chwili wrócił z wysokim, chudym Sudańczykiem w imponującym turbanie.

Oddałem służącemu bieliznę, tłumacząc długo i przekonywająco, że bardzo mi zależy na jej szybkim wypraniu.

Sudańczyk wysłuchał mnie z uwagą, po czym skinął głową.

- Bokra!

Spojrzałem pytająco na Pawła. Mój wszechwiedzący przyjaciel wyjaśnił:

- Bokra znaczy po arabsku jutro.

Termin ten najzupełniej mi odpowiadał. Służący zabrał zawiniątko z bielizną i odszedł. Po jego wyjściu Paweł uśmiechnął się tajemniczo.

- Bokra znaczy jutro, ale... w Sudanie jest trochę inaczej... Zresztą sam się przekonasz.

Przekonałem się. Przez cały następny dzień daremnie czekałem na zwrot mojej bielizny. Wieczorem poszedłem szukać służącego między śpiącymi. Ponieważ jednak wszyscy posługacze hotelowi nosili takie same dżiby i turbany, a twarze ich dla nie przyzwyczajonego oka były zupełnie do siebie podobne - więc najpierw obudziłem trzech niewinnych, zanim na koniec dobrałem się do winowajcy.

Chudy Sudańczyk przyjął moje wyrzuty z miną wyrażającą najgłębszą skruchę. Poglądził mnie nawet pieszczotliwie po ramieniu na znak przeprosin i odmówił przyjęcia dodatkowego napiwku. Jego drugie „bokra” zabrzmiało uroczyście jak przysięga.

- Bokra? - upewniłem się jeszcze raz, spoglądając mu prosto w oczy.

- Bokra! - potwierdził z niezłomnym przekonaniem.

Ale nazajutrz znowu oczekiwałem go na próżno i wieczorem powtórzyła się szopka z szukaniem i budzeniem. Po przebudzeniu chudy Sudańczyk wykazał jeszcze więcej skruchy i pieszczotliwości niż poprzedniego dnia. Przy trzecim „bokra” jego oczy wyrażały tę samą płomienną wiarę, z jaką niegdyś derwisze sudańscy patrzyli na swego Mahdiego.

Niestety, hotelowy derwisz i tym razem skrewił. Bieliznę otrzymałem z powrotem dopiero na piąty dzień. Okazało się, że w najsuchszym kraju na świecie - gdzie wszystko wysycha dosłownie w mgnieniu oka - pranie marnej koszuliny trwać musi trzy do czterech dni. I żadna perswazja, żaden najwyższy nawet napiwek nie potrafią tego terminu skrócić. Później miałem możliwość przekonać się niejednokrotnie, że „systemem bokra” załatwia się także wiele innych spraw - ważniejszych od prania bielizny. Słowo „bokra” słyszy się w sklepach, biurach i urzędach. Obezwładniający klimat Sudanu nadaje temu słowu moc magiczną. Służy ono do odkładania każdej czynności na później. W Sudanie jest gorąco i człowiek nie może się spieszyć. Człowiek musi dużo spać.

W Sudanie bokra znaczy: jutro... za tydzień... za miesiąc... za rok...

Ale wracam do mojego pierwszego dnia w Chartumie.

Około godziny drugiej po południu zeszliśmy z Pawłem na obiad do restauracji hotelowej.

Paweł uprzedził mnie z góry, że będzie to bardzo osobliwa restauracja, więc spodziewałem się Bóg wie jakich cudów. Ale nic z tych rzeczy. Najzwyczajniejszy pod słońcem zakład zbiorowego wyżywienia - tyle że kelnerzy w galabijach i turbanach, a zarządzający przebrany za kalifa Harun ar-Raszyda z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”.

Nie kryłem przed Pawłem mego rozczarowania.

- Knajpa jak wszystkie inne. Nie widzę w niej nic osobliwego.

Naraz usłyszałem przeraźliwe dzwonenie. Po sali kręcił się boy hotelowy z czarną tablicą na długim kijku. Na tablicy były wypisane nazwiska osób wzywanych do telefonu, a boy sygnalizował każde takie wezwanie dzwonkiem rowerowym, przyczepionym do kijka.

- Nie widzisz nic osobliwego? - zdziwił się Paweł. - To postójmy tu przez chwilę, a ty popatrz sobie na tę tablicę.

Zatrzymaliśmy się na środku sali i przygląnąłem wzrokiem do czarnej tablicy. Czy ten Paweł „sfuriatował”? Przecież na taki „wynalazek” mogła sobie pozwolić - przy odrobinie dobrej woli - nawet gospoda GS w Pacanowie. Nie trzeba było po to przyjeżdżać aż do Chartumu!

- No i co widzisz? - dowiadywał się mój towarzysz.

Dzwonek dzwonił przeraźliwie. Na tablicy pojawiały się coraz to nowe nazwiska osób wzywanych do telefonu. Przyglądano nam się już ciekawie od różnych stolików. Ale ja nadal nie mogłem dostrzec w tym wszystkim niczego osobliwego.

- Widzę tylko nazwiska, nic poza tym - burknąłem ze złością. - Może będzie już dość tego przedstawienia.

- Ale jakie widzisz nazwiska? - nastawał Paweł.

- No, różne... Francuskie, angielskie, rosyjskie, czeskie, japońskie... Jeszcze jakieś...

- No właśnie! - ucieszył się. - Na tym polega osobliwość. Każdy ze stolików na tej sali reprezentuje handel i przemysł innego kraju. Jeszcze przed dwoma laty tylko Anglicy mieli monopol na dostawy do Sudanu. Teraz niepodległa Republika Sudańska urządza się na nowo i kupuje wszystko u wszystkich. Zjechali się tu na targi handlowcy z całego świata. Restauracja „Grand-Hotelu” to chyba największa giełda towarowa w całej Afryce.

Od jednego ze stolików przywoływano nas zapraszającymi gestami.

- No, chodź - powiedział łaskawie Bwana Kubwa.- Teraz wiesz już najważniejsze. Idziemy do „polskiego stolika”.

Przy „polskim stoliku” siedziało trzech naszych handlowców. Jeden reprezentował przedsiębiorstwo „Metalexport”, drugi „Varimex”, trzeci - „Paged”.

- Napije się kolega „lemon-sguash soda”? - spytał mnie od razu ten z „Metalexportu”,

- Co proszę?

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo: przyjechał facet do Sudanu i nie wie, co to lemon-sguash soda!

- Bez tego nie można tutaj żyć - szepnął z wyrzutem przedstawiciel „Varimexu”.

Po chwili dostoyny kelner w białej galabii, przepasanej zieloną szarfą, postawił przede mną ogromny puchar, wypełniony lodowatą mieszaniną soku cytrynowego i wody sodowej.

Teraz posypały się na mnie rady, jak trzeba żyć w Sudanie i czego należy unikać. Trudno, los nowicjusza w Afryce jest taki sam, jak nowego ucznia w szkole. Wszyscy uważają za święty obowiązek wspierać go swymi mądrościami. Nasi handlowcy przebywali już w Chartumie około dwóch tygodni, więc każdy miał coś do powiedzenia.

- Niech pan się nie kąpie w Nilu - ostrzegął ten z „Metalexportu” - bo tu podobno są krokodyle.

Kęs smakowitego kotleta utkwiał mi w gardle. A więc Naczelny i Bieganek mieli rację?

- Dużych krokodyli nie ma, są tylko małe - sprostował ten z „Varimexu”.

Potem zgodzili się wszyscy, że małe krokodyle są właściwie gorsze od dużych. Duży może wprawdzie odciąć nogę, ale mały jak ukąsi, to rana „lubi się paskudzić” przez lata.

- Ale najgorsza jest „bilharcja” - stwierdził ten z „Pagedu”. - Niedostrzegalny pasożyt wodny. Jak takie plugastwo dostanie się do pęcherza, to człowiek „zrobiony” na całe życie.

Odechciało mi się nagle jeść i odsunąłem ze wstrętem kotlet, który jeszcze przed chwilą tak mi smakował.

- Przede wszystkim jednak trzeba się racjonalnie pocić - podjął znowu ten z

„Metalexportu” i rozmowa od razu stała się ogólna. Na temat pocenia każdy miał mnóstwo wiedzy i doświadczeń.

Dowiedziałem się, że pocenie w klimacie sudańskim jest rzeczą tak ważną, iż Sudańczycy, zamiast tradycyjnego zwrotu: „Jak się pan ma?”, pytają często: „Jak pan się poci?”

- Unikać przebywania na słońcu - wbijali mi w głowę moi towarzysze. - Wypijać dziennie do dziesięciu litrów lemon-squash soda, lecz nie więcej. Sprawdzać co pewien czas, czy nie nastąpił ubytek soli w organizmie... Bo jeśli wypocisz z siebie całą sól, to biada ci, człowieku!... Następuje ciężka choroba, a potem szybka śmierć.

Pod wpływem tych dobrych rad popadałem w coraz gorszy nastrój. Może rzeczywiście niepotrzebnie przyjechałem do tego Sudanu? Przypomniał mi się płaczliwy głos pana Bieganka: „Ja ostrzegałem, ja umyvam ręce”.

Najbardziej zainteresowała mnie sprawa ubytku soli. Nigdy dotychczas nie zastanawiałem się nad tym, czy mam w organizmie dosyć soli, i jakoś się żyło. A teraz okazuje się nagle, że można z tego umrzeć. Trochę mi to pachniało lipą.

- No, dobrze - zapytałem z udanym lekceważeniem. - A niby w jaki sposób można sprawdzić taki ubytek soli?

Wtedy ten z „Metalexportu” i ten z „Varimexu” zaczęli mówić jeden przez drugiego:

- Najlepiej od czasu do czasu polizać się po ręce!

- Albo po przedramieniu!

- Jeżeli pot jest słony, to dobrze!

- A jeżeli nie, to leżysz pan.

- Wtedy trzeba od razu zjeść dużą łyżkę soli!

- Albo kupić w aptece pastylki solne!

„Nie, moi drodzy - pomyślałem sobie - na to mnie nie nabierzecie. Nie trafiliście na frajera! Lizać się dla waszej przyjemności nie będę. Przedstawienia wam nie urządzę!”

Zirytowała mnie ta historia. Ostatecznie to, że się było o dwa tygodnie dłużej w Sudanie, nie uprawniało jeszcze do takich wygłupów.

Kiedy więc Paweł powiedział, że na niego już czas, ja także zaraz powstałem i z demonstracyjnym chłodem pożegnałem towarzystwo swawolnych handlowców.

Paweł spieszył się na tę swoją konferencję, umówiliśmy się więc o szóstą w greckim sklepie Morghika w handlowej dzielnicy miasta. Nie miałem oczywiście pojęcia, gdzie to jest, lecz Paweł zapewnił mnie, że drogę do Morghika wskaże mi każdy przechodzień.

Bwana. Kubwa musiał zauważyć mój wisielczy humor, bo odchodząc trzepnął mnie na

pociechę w ramię.

- A tymi wszystkimi historiami nie przejmuj się, stary. Fuksa zawsze się straszy. Uważaj tylko na słońce i... na tę sól. To ważne. Szczególnie na początku.

Zostałem sam na rozpalonym tarasie „Grand-Hotelu”. W zacienionej wnęce wisiał wielki termometr. Bagatela: 40° w cieniu! Przynajmniej wiem, że jestem w Afryce! Poczulem nagły przyływ sił żywotnych. Nie, moi kochani. Za dwa tygodnie ja się będę z was śmiał!

Wyszukałem sobie na pustym tarasie stolik, najbardziej zabezpieczony przed słońcem i zamówiłem lemon-squash soda.

Ale przed słońcem nie było ucieczki. Biały, oślepiający żar lał się z nieba jak roztopiona stal z martenowskich pieców. Lemon-squash soda przeciekał przeze mnie jak przez sito. Strumyczki potu łaskotały mnie za uszami. Trudno było wytrzymać.

Nie ustępowałem jednak. Postanowiłem się przyzwyczajać. Na początek przynajmniej dwadzieścia minut. Pokażę im, że mam swój własny sposób na Sudan.

Po dziesięciu minutach opanowały mnie niespokojne myśli. A może to prawda z tą solą? Przecież obcy ludzie nie robiliby ze mnie wariata. Ale lizać się po ramieniu w publicznym miejscu? Nie, nie wypada! Przed samym sobą nie wypada. A jeśli zachoruję i naprawdę umrę? Tyle mam rzeczy do zobaczenia i do napisania. I przez takie głupstwo pozwolić się zakopać w pustynnym grobie? Wprawdzie niedaleko faraonów. Ale obejdzie się, nigdy nie byłem karierowiczem. Ostatecznie ten z „Varimexu” mówił, że w rękę można także. Jakbym się podparł, toby nikt nie zauważył.

Rozejrzałem się ostrożnie wkoło. Kelner w drzwiach. Boy przy termometrze. Tylko przy środkowym stoliku, w pełnym słońcu, drzemie arabski kupiec z siwą bródką. Naturalnie, w takim turbanie można sobie gwizdać na słońce. Jednak spróbuję, tak dla hecy. Ale tylko w ręką.

Podparłem się i leciutko, dyskretnie, koniuszkiem języka polizałem grzbiet ręki. Włosy zjeżyły mi się na spoconej głowie. Moja ręka nie miała żadnego smaku! Była najwyraźniej nie do-so-lo-na!

Nie zważając już na nic i na nikogo, wysunąłem język na całą długość i - przerażony - począłem się lizać po przedramieniu. Co za szczęście: poczułem błogi smak soli! Więc jednak żyję! Allah jest wielki!

W tej chwili zbliżył się bezszelestnie służący w zielonej szarfi i postawił na stole ogromną solniczkę z łyżką. A więc to była prawda, handlowcy wcale nie robili ze mnie wariata!

Na wszelki wypadek, krztusząc się, połknąłem kopiastrą łyżkę soli. W formie usprawiedliwienia mruknąłem do służącego:

- Co za przeklęty upał!

Sudańczyk błysnął zębami w uśmiechu.

- To jeszcze nic, proszę pana. Lato dopiero się zaczyna. Po tej uwadze kelnera zabrakło mi sił na doprowadzenie do końca dwudziestominutowej „próby dzielności”. Podniosłem się ciężko od stolika i ruszyłem do miasta. Miałem do załatwienia dwie sprawy. Chciałem obejrzeć z bliska pomnik generała Gordona i kupić w apteczce większą ilość pastylek solnych.

Spacer do śródmieścia zaczął się bardzo przyjemnie. Cienistą aleją nadbrzeżną szło się jak chłodnym, zielonym korytarzem. Gęste, nie przepuszczające słońca korony starych akacji pozwoliły mi na krótko zapomnieć o pladze upału.

Przechodniów prawie nie spotykałem, gdyż w poobiednich godzinach Chartum odpoczywał. Mimo to w alei było mnóstwo ciekawych rzeczy, zasługujących na zapisanie w reporterskim notesie.

W rozwidleniach olbrzymich korzeni akacjowych spali jak w wygodnych łózkach strudzeni posługacze murzyńscy. Barwa ich ciał zlewała się w jedno z barwą poczerniałych ze starości drzew. Od ciemnego tła odbijały tylko jasnorożowe pięty śpiących.

Nad Nilem drzemali w pozycji siedzącej brodaci wędrowcy w białych, powłóczyстых szatach i kunsztownie zawiązanych turbanach. Rozpoznałem w nich bez trudu pobożnych pielgrzymów mahometańskich, odbywających doroczną pieszą pielgrzymkę do Mekki.

Przed bramą Pałacu Rządowego zmieniano wartę. Donośnie dźwięczał w ciszy sygnał wojskowej trąbki. Zielono-żółto-niebieska flaga Republiki Sudańskiej wspinała się powoli na wierzchołek masztu. Prezentowali broń pysznie umundurowani żołnierze z Korpusu Wielbłądziejego.

Trzydzieści kroków dalej, u podnóża schodów przystani, pluskali się w Nilu studenci Uniwersytetu Chartumskiego - nie obawiając się wcale bilhareji i małych krokodyli, o których tyle się nasłuchiwałem od naszych handlowców.

Ale skoro tylko wyszedłem z cienistej alei - przyjemny spacer zmienił się w udrękę. W opustoszałym, rozżarzonym mieście znalazłem się sam na sam z bezlitosnym słońcem.

Kto nie był latem w Chartumie, ten nie potrafi pojąć, że nawet tak prosta czynność, jak przejście z jednej strony ulicy na drugą, może się stać przedsięwzięciem trudnym, wymagającym nie lada odwagi. Moja przechadzka po mieście zaczęła przypominać posuwanie się pod gęstym obstrzałem artylerii. Kryjąc głowę pod szeroko rozpostartą płachtą gazety „Morning-News”, przebiegałem rączymi skokami od drzewa do drzewa, od muru do muru. Kiedy dotarłem w końcu do placyka z pomnikiem Gordona - byłem już zupełnie mokry, kręciło mi się w głowie, a nogi miałem jak z gumy.

Poza Gordonem i mną nie było na placyku nikogo. Rozejrzałem się wkoło: wszędzie pustka. Jedyne w odległości kilkudziesięciu kroków, pod ścianą wysokich palm, stały na postoju trzy taksówki. Ale kierowców nie było widać. Zapewne skryli się gdzieś przed słońcem.

Niewiele myśląc, rozsiadłem się wygodnie na zacienionym skrawku ziemi pod koroną rozłożystej akacji i z westchnieniem ulgi oparłem się plecami o drzewo.

Pomnik był bardzo piękny. Na bogato przystrojonym dromaderze siedział ze skrzyżowanymi nogami dumny, wyprostowany jeździec. Jego ręce tak ostro ściągały wodze wielbłąda, że zwierzę miało pysk zadarty do góry. Z postaci jeźdźca były: spokój i dostojeństwo. Odziany był w mundur angielskiego generała z kilkoma gwiazdami orderowymi na piersi. Na głowie nosił okrągły „tarbusz” egipskiego gubernatora. Tak właśnie wyobrażałem sobie generała Gordona, czytając po raz pierwszy „W pustyni i w puszczy”.

„Dziwnie się plecie na tym bożym świecie, panie generale - myślałem leniwie, patrząc w brązową twarz jeźdźca i rozkoszując się cieniem akacji. - Kiedyś, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, uważałem pana za bohatera i obrońcę uciśnionych. A teraz przyjeżdżam do Chartumu i dowiaduję się, że potomkowie Idrysa i Gebhra, Kalego i Mei chcą zburzyć pański pomnik. Trzeba jakoś wyjaśnić tę sprzeczność, panie generale. Trzeba wytłumaczyć czytelnikom »W pustyni i w puszczy«, dlaczego Sudańczycy nie szanują pańskiej pamięci”.

Zabierałem się właśnie do wypełnienia tego odpowiedzialnego zadania, którym obciążyła mnie historia, gdy naraz moja zaduma uległa niespodziewanemu zakłóceniu. W ciszy uśpionego miasta rozległo się głośnie trąbienie.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to znowu zmieniają wartość w Pałacu Rządowym. Ale to przeraźliwe, rozdzierające uszy skrzeczenie zupełnie nie było podobne do jasnego dźwięku trąbki wojskowej. Taki głos mogła wydawać tylko staroświecka i bardzo zużyta syrena samochodowa. Odwróciłem się zirytowany i spojrzałem w stronę postoju taksówek. Nie omyliłem się. Przy pierwszej z landar stał człowiek w białej dżibie i turbanie. Jedną ręką naciskał gumową gruszkę starożytnego klaksonu, drugą - dawał mi jakieś znaki.

Poznałem go od razu. Był to ten sam kierowca, który wioził nas z lotniska do hotelu.

Ogromnie rad z tego nieoczekiwanego spotkania natychmiast przywołałem kierowcę do siebie. Po chwili był już pod akacją. Jego okrągła, ciemna twarz z rytualnymi nacięciami na policzkach promieniała zadowoleniem i życzliwością.

- Oglądasz, panie, pomnik Gordona. To bardzo dobrze - stwierdził, sadowiąc się obok mnie na ziemi - Patrz, panie, patrz, bo już ostatni czas! Za miesiąc go nie będzie, pisali o tym w gazecie.

Wyciągnął z kieszeni garść suszonych daktyli i zaczął mnie częstować.

- Jedz daktyle, panie, jedz. Daktyle dobre: słodkie, pożywne...

Wziąłem z jego ręki dwa podłużne, brunatne owoce, ususzone na kość, z pewnym wzruszeniem włożyłem je do ust. Były to takie same daktyle, jakimi żywili się w Chartumie Staś i Nel. Z początku smakowały mi jak kamyki, lecz po minucie żucia poczułem w ustach gęstą, przyjemną słodycz.

Bez żadnych ceregieli skierowałem rozmowę na interesujący mnie temat.

- Czy może mi pan powiedzieć - zaatakowałem kierowcę wprost - dlaczego wasz rząd chce zburzyć pomnik Gordona?

Sudańczyk spojrzał na mnie z ukosa i spochmurniał. Przez dłuższą chwilę żuł w milczeniu daktyl, jakby nie słysząc mego pytania. Potem wskazał ręką na widoczny w oddali Pałac Rządowy - ten sam, przed którym niedawno oglądałem zmianę warty.

- Widzisz ten pałac, panie? Przed przyjściem Mahdiego na tamtym miejscu stała stara „mudiria”²² chartumska. Tam, panie, zginął pasza Gordon. Dziadek mojego ojca przy tym był. On widział, panie, na swoje własne oczy, jak paszy Gordonowi ucinali głowę. Dziadek ojca był wtedy żołnierzem emira Negumi. Ty, panie, nie wiesz, kto był emir Negumi. On był u Mahdiego bardzo ważny wódz. Emir Negumi zdobył dla Mahdiego Chartum.

Niesłychana historia! Z wielkiego podniecenia wyplułem obydwie daktyle. A więc, siedzący obok mnie Sudańczyk był prawnukiem prawdziwego wojownika mahdystowskiego - i to jeszcze w dodatku takiego wojownika, który oblegał Chartum i na własne oczy oglądał śmierć generała Gordona. Paweł pęknie z zazdrości, kiedy opowiem mu o tym spotkaniu.

- To było bardzo dawno. Więcej niż siedemdziesiąt lat temu - mówił kierowca. - Dziadek mojego ojca umarł jeszcze przed wojną i był już wtedy bardzo, bardzo stary człowiek. Ale opowiedział mojemu ojcu wszystko, a ojciec później opowiedział mnie. Ja dobrze pamiętam każde słowo. Jeżeli chcesz, panie, mogę opowiedzieć. Tylko taksówka czeka. Może być pasażer.

- Niech pan opowiada, niech pan szybko opowiada! Do diabła z taksówką. Do diabła z pasażerami. W razie czego ja zapłacę za każdy kurs!

Wziąłem od niego jeszcze dwa suszone daktyle, gdyż stwierdziłem, że żucie tego owocu znakomicie pobudza myśli i wyobraźnię. Po czym cały zamieniłem się w słuch.

Daktyle rzeczywiście dobrze działały na wyobraźnię. Skoro tylko poczułem w ustach gęstą, lepka słodycz - natychmiast udało mi się przenieść myślami w odległe czasy, o których

²² Pałac gubernatorski.

opowiadał kierowca. Jego opowiadanie uzupełniałem sobie różnymi szczegółami, znanymi mi z książek.

Działo się to w styczniu 1885 roku. Nasi mali przyjaciele, Staś i Nel, znajdowali się wtedy jeszcze daleko od Chartumu, gdzieś w okolicach Asuanu. Chartum, oblegany od wielu miesięcy przez mahdystów, bronił się ostatkiem sił. Los miasta był przesądzony. Na obydwóch brzegach Nilu, daleko, jak okiem sięgnąć, płonęły ogniska żołnierzy Mahdiego. Cały uciśniony Sudan powstał na głos Proroka i przyciągnął pod twierdzę chartumską, aby zdobyć i zniszczyć ostatnie gniazdo oporu obcych kolonizatorów.

Wielotysięczne rzesze oblegających z całego serca nienawidziły białego generała, który zamknął się w mufach twierdzy.

Był on dla nich śmiertelnym wrogiem, który przyjechał do Sudanu jedynie po to, żeby przeszkadzać im żyć po swojemu. Naruszał ich odwieczne tradycje i zwyczaje, chciał ich przemocą europeizować. Umacniał w ich kraju władzę znienawidzonych bejów egipskich i europejskich awanturników. Pod pozorem walki z handlarzami niewolników zamykał do więzień ich najpotężniejszych emirów. Opóźniał pełne zwycięstwo ich uwielbianego Proroka.

Nienawidzili go ludzie z Dar Furu, Kordofanu i Dongoli. Brązowi wojownicy ze szczepów Tawala i Ta'aiska oraz czarni koczownicy ze szczepu Baggara. Wyciem tysięcy dzikich głosów Sudan domagał się głowy Gordona-paszy.

Gordon wsłuchiwał się w te mściwe głosy, czuwając samotnie nocami na szczycie wysokich schodów chartumskiej mudirii.

Był to twardy, nieulekły kolonizator. Jeden z tych ludzi, którzy stworzyli kolonialną potęgę Imperium Brytyjskiego.

Zawodem Gordona było tłumienie narodowych powstań w krajach Azji i Afryki. W armii brytyjskiej nadano mu przydomek „Chińczyka”, gdyż swoją karierę kolonizatora rozpoczął od krwawego zduszenia powstania chińskich chłopów (Taipingów), buntujących się przeciwko okrucieństwu swoich mandarynów i wyzyskowi europejskich kupców.

Po opuszczeniu Chin zaciągnął się w służbę egipskiego kedywa. Mianowany przez niego gubernatorem generalnym Sudanu, umacniał tam przez kilka lat władzę kolonizatorów.

Potem tłumił powstania narodowe i zaprowadzał europejskie porządki w Palestynie, w Indiach i w Afryce Południowej. Gdziekolwiek istniało zagrożenie dla handlu i wpływów brytyjskich - tam wszędzie posyłano Gordona. Prasa europejska wynosiła pod niebiosa jego zasługi cywilizacyjne. Uciśnione ludy Azji i Afryki nienawidziły go.

Kiedy wybuchło w Sudanie powstanie Mahdiego, wysłano Gordona do Chartumu po raz drugi. Rząd angielski polecił mu przeprowadzić ewakuację załóg egipskich i europejskiej

ludności. Ale tak skromna misja nie odpowiadała naturze osławionego zdobywcy. Gordon postanowił na własną rękę bronić Sudanu przed Sudańczykami. Wierzył bowiem głęboko, że prawdziwe szczęście Sudan może osiągnąć tylko pod rządami europejskich kolonizatorów.

W czasie pierwszego pobytu Gordona w Sudanie prasa europejska rozpisywała się szeroko na temat jego walki z sudańskimi handlarzami niewolników. Za drugim pobycem Gordona w Chartumie pomijano te sprawy wstydlwym milczeniem. Bo bohaterski obrońca Chartumu, przyparty do muru przez powstańców, nie przebierał już w środkach. Starał się sprzymierzyć przeciwko Mahdiemu właśnie z handlarzami niewolników - dla ich pozyskania ogłosił ze swej twierdzy zniesienie zakazu niewolnictwa. Ponadto domagał się od egipskiego kedywa uwolnienia z kairskiego aresztu osławionego króla niewolników Zobeira-paszy, jako „jedynego człowieka, którego można przeciwstawić Mahdiemu”.

W styczniu 1885 roku Gordon wiedział, że Chartum musi paść. Kedyw nie przysyłał Zobeira-paszy, Londyn zwlekał z wysłaniem korpusu ekspedycyjnego. Niezwyciężonemu dotychczas kolonizatorowi pozostała już tylko jedna broń przeciwko mahdystom - własna śmierć. Gordon postanowił umrzeć w Chartumie, gdyż wierzył, że Anglia - mszcząc się za jego śmierć - pokona powstańców i opanuje Sudan.

W nocy z 24 na 25 stycznia wojska emira Negurui wtargnęły do miasta. Jeden z oddziałów powstańczych podsunął się ostrożnie pod bramę mudirii. Pałac gubernatorski był pogrążony w ciemnościach i jakby wymarły. Ale któryś z powstańców dostrzegł w mroku samotnego mężczyznę, stojącego na szczycie pałacowych schodów. Niewiele myśląc, wycelował do niego i wystrzelił. Trafiony upadł i stoczył się ze schodów.

W godzinę później, kiedy zrobiło się jaśniej, powstańcy przekroczyli bramę pałacu. U stóp schodów znaleźli zabitego Europejczyka w czarnym ubraniu i w czerwonym tarbuszu. Kilku go rozpoznało, poczęli wołać: „To pasza Gordon”. Wtedy jeden z wojowników, dziki jeździec z plemienia Tawalów - Babikr Koko, odciął mieczem głowę gubernatora, przytroczył ją do siodła i powiózł do Orndurmanu, żeby rzucić do stóp Mahdiego.

- Tak zginął pasza Gordon, a dziadek mego ojca patrzył na to własnymi oczami - mówił kierowca. - Nasz Mahdi nie chciał jego śmierci, panie. W czasie oblężenia pisał do niego listy, obiecywał mu życie i wolność. A kiedy przywieziono do Omdurmanu odciętą głowę paszy, Mahdi tak się zmartwił, że przez cały dzień modlił się w namiocie i nikomu nie pozwalał na siebie patrzeć. Ale Gordon-pasza nie chciał pokoju z Mahdim, panie. Gordon-pasza chciał, żeby za jego krew spadła na Sudan zemsta Anglii. A potem przyszedł generał Kitchener ze swoim wojskiem, rozbił mahdystów w bitwie pod Omdurmanem, zajął cały Sudan i postawił ten pomnik na naszą hańbę. I ojciec mego ojca, panie, musiał pomagać przy budowaniu tego

pomnika. Staraj się to zrozumieć, panie. Syn zdobywcy Chartumu musiał budować pomnik na pamiątkę zwycięstwa Anglii. Ciężka sprawa, panie...

Podniosłem oczy na Gordona. Brązowa twarz gubernatora jaśniała w słońcu. Tak, to był pomnik zwycięstwa. Zamiar jego twórcy był zupełnie jasny. Trzymany krótko na wodzy wielbłąd wyobrażał ujarzmiony Sudan. Wyniosły jeździec - zwycięską potęgę kolonialnego Imperium. Dla tego pomnika nie było miejsca w niepodległym Sudanie. W obecnej sytuacji nie miał już żadnego sensu.

Podniosłem się z ziemi, otrzepałem spodnie z piasku i wyplułem pestkę ostatniego daktyla. Była godzina piąta. Chartum już się ocknął z poobiedniej drzemki. Na ulicach przylegających do pałacyku kręciło się sporo ludzi.

- Dziękuję panu - powiedziałem do Sudańczyka - opowiedział mi pan bardzo ciekawe rzeczy.

- W Sudanie dużo ciekawych rzeczy, panie - uśmiechnął się kierowca. - Grób Mahdiego w Omdurman też bardzo ciekawa rzecz, panie. Ja mogę zawieźć, panie. Moje taksi dobre. Droga niedaleka. Może być jutro, może być w każdy inny dzień.

- Doskonale, na pewno pojedę! - ucieszyłem się. - Tylko dnia jeszcze nie mogę ustalić, bo muszę się przedtem naradzić z kolegą. Ale gdzie ja później pana odnajdę?

- Przyjdiesz na ten postój, panie. A jak mnie nie będzie, to pytaj tylko, gdzie Idrys. Tu ci zawsze powiedzą.

Było to tak nieoczekiwane, że zupełnie zgłupiałem.

- Jak to Idrys? - wyjąkałem. - Pan chyba żartuje, to przecież niemożliwe.

- Idrys to moje imię, panie. U Arabów dużo Idrysów. Król Libii też Idrys, panie. King Idris the First!

Nie, stanowczo za wiele tych cudownych zbiegów okoliczności jak na pierwszy dzień mego pobytu w Chartumie. Kontyngent moich zdumień był już całkiem wyczerpany i gdybym się jeszcze dowiedział na przykład, że brat kierowcy Idrysa ma na imię Gebhr - musiałbym uznać to wszystko za wierutną lipę.

Z obawy, aby do tego nie doszło, czym prędzej pożegnałem się z Idrysem i ruszyłem do dzielnicy handlowej na spotkanie z Pawłem.

Jak słusznie przewidział mój przyjaciel, grecki sklep Morghika odnalazłem bez żadnych trudności. Morghika znali w Chartumie wszyscy i wszyscy się tam spotykali. Przedsiębiorstwo to było czymś w rodzaju naszego Pedetu – lecz z dodatkiem: kawiarni, zimnego bufetu i... apteki.

Zacząłem oczywiście od apteki, gdzie zaopatrzyłem się w taką ilość pastylek solnych,

że już do końca pobytu mogłem się bez obawy pocić na cały regulator. Potem rozsiadłem się w „zimnym bufecie” i sącząc przez słomkę lodowaty lemon-squash soda, zająłem się spokojnym przeżuwaniami moich dotychczasowych wrażeń sudańskich.

Punktualnie o szóstej przyszedł Paweł w towarzystwie jakiegoś barczystego jegomościa z rudą brodą. Był to, jak się okazało, pan Harrison, angielski pośrednik handlowy, stale mieszkający w Chartumie. Pomagał on memu koledze w nawiązywaniu stosunków z miejscowym kupiectwem.

Paweł był w wyśmienitym humorze i na powitanie tak mnie walnął w ramię, że o mało nie wysypałem całego zapasu pastylek solnych.

- No, opowiadaj, chłopie, gdzieś był przez całe popołudnie. Co robiłeś i co oglądałeś?

- E... nic takiego - mruknąłem niedbale, rozcierając ramię - tylko spotkałem Idrysa.

- Jak to Idrysa? Nie wygłupiaj się, chłopie! Jakiego znowu Idrysa?

- No, tego kierowcę co nas wiozł z lotniska do hotelu. A tyś myślał, że jakiego, Pawełku? – uśmiechnąłem się rozkosznie. - U Arabów Idrys to bardzo częste imię. Nawet król Libii ma na imię Idrys. Wiesz: Idris the First, king of Libia.

- Oh, yes! - ucieszył się niespodzianie pan Harrison - Idris the First, king of Libia.

- No, dobrze, już dobrze - humor Pawła uległ zdecydowanemu pogorszeniu. - Przestań się wreszcie wygłupiać i powiedz po ludzku, coś robił przez całe popołudnie.

- No, przecież mówię. Spotkałem Idrysa i oglądałem z nim pomnik generała Gordona.

I żeby wciągnąć do rozmowy pana Harrisona, przetłumaczyłem mu na angielski:

- I was looking at general Gordon's monument.

- General Gordon was a hero and a great man!²³ - stwierdził uroczyście pan Harrison.

- To już zależy od punktu widzenia. Z której strony się na to patrzy - odpowiedziałem również po angielsku. - Na przykład dla Sudańczyków...

Policzki pana Harrisona wyraźnie poróżwiały. Ale nie zdążyłem skończyć rozpoczętego zdania, bo naraz poczułem mocne kopnięcie w kostkę nogi.

Zerknąłem pod stół, potem na twarz Pawła, lecz on nawet nie drgnął. Przypomnił sobie właśnie jakąś ważną sprawę handlową i chciał koniecznie wtajemniczyć w nią pana Harrisona. Ale pośrednik nie należał do ludzi dających się łatwo sprowadzić z tematu.

- Generał Gordon zniósł w Sudanie niewolnictwo! - zakomunikował mi groźnie.

- Tak, ale później je przywrócił i wzywał na pomoc Zobeira-paszę...

Tym razem kopnięcie było tak silne, że musiałem się schylić pod stół, żeby pomacać

²³ Generał był bohaterem i wielkim człowiekiem! (angielski).

kostkę, czy przypadkiem nie pękła.

Jakoś nie pękła. Ale kiedy wróciłem do poprzedniej pozycji, Paweł z Harrisonem mówili już o czymś innym. Do Gordona więcej nie wracaliśmy. Ja w ogóle przestałem rozmawiać.

Potem wyszliśmy i przed Morghikiem pożegnaliśmy się z panem Harrisonem. Mnie pośrednik podał demonstracyjnie dwa palce.

Kiedy zostaliśmy sami!, Paweł przestał mnie zauważać. Zachowywał się tak, jakbym był powietrzem. Zdenerwowało mnie to, więc przybrałem ton zaczepno-odporny.

- Mało brakowało, a byłbyś mi przetrącił nogę!

- Szkoda, że nie przetrąciłem. Zasłużyłeś sobie na to!

- Dlatego, że chciałem temu brodaczkowi powiedzieć, jak naprawdę było z Gordonem?

Paweł przystanął, był czerwony ze złości.

- Słuchaj no, mój kochany, po coś ty właściwie przyjechał do Sudanu?

- Jak to, po co? Przyjechałem na reportaż. No i... żeby wędrować śladami Stasia i Nel.

- A ja przyjechałem, żeby załatwić interesy handlowe. Więc ty sobie wędruj śladami Stasia i Nel. Spotykaj się z Idrysem, a nawet z Gebhrem - łaż, gdzie chcesz, ale nie przeszkadzaj mi w moich interesach. Harrison to najlepszy pośrednik handlowy w Chartumie i nie zamierzam rezygnować z jego pomocy. Czyś ty naprawdę oszalał, chłopie?! Angielskiego kupca z Chartumu chcesz przekonać, że Gordon nie był wielkim człowiekiem? Przecież jemu od najmłodszych lat wbijali w głowę rycerską legendę Gordona. A zresztą, gdyby nie Gordon, Harrison nie znalazłby się nigdy w Chartumie i nie zbiłby tu swojej ciężkiej forsy. Trzeba być wielbłądem, żeby tego nie rozumieć!

Nie mogłem nie przyznać, że trochę racji w wywodach Pawła było. Ale Paweł jeszcze nie skończył.

- Ostrzegam cię po raz ostatni. - Takiego tonu używał w szkole tylko przy wspólnym odrabianiu zadań geometrycznych. - Ostrzegam cię po raz ostatni, że jeśli jeszcze kiedykolwiek ośmielisz się rozmawiać z moimi klientami o Gordonie, Mahdim lub innych postaciach historycznych - to koniec z przyjaźnią. Ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją! Rozumiesz?

Pochyliłem z pokorą głowę.

- Rzekłeś, o Bwana Kubwa!

ROZDZIAŁ IX

Tam gdzie spotykają się dwa Nile - Wyprawa do Omdurmanu - Bardzo dziwne miasto - Pamiątki po mahdystach i grób Mahdiego - Odwet za śmierć Gordona - Ślepy pielgrzym - Powrót do Chartumu - Nieoczekiwany gość - Wieczne najście mahdystów

Jak wam już wspominałem, w sudańskim Chartumie wszystko wyglądało inaczej niż w egipskim Kairze. Nawet sprawa Nilu. W Kairze - jak zresztą i w całym Egipcie - był tylko jeden Nil. Natomiast w Chartumie były dwa Nile: Nil Biały i Nil Błękitny.

Te dwie potężne rzeki Sudanu spotykały się w Chartumie i dalej na północ płynęły już razem jako jeden Nil.

Z okna mego pokoju w „Grand-Hotelu” doskonale było widać zlewisko rzek. Biały Nil, wypływający z równinnych jezior środkowoafrykańskich, był mętno-białawy, szeroki i leniwy. Błękitny Nil, rwący z gór Abisynii, niósł w sobie brunatne odpryski skał i gleb. Jego energiczny nurt znaczył się we wspólnym łożysku ciemną, niespokojną smugą jeszcze przez wiele kilometrów za Chartumem.

Wody nilowe dzieliły stolicę Republiki Sudańskiej na trzy odrębne miasta. Właściwy Chartum - siedziba rządu, urzędów, uniwersytetu, zagranicznych przedstawicielstw dyplomatycznych oraz europejskich kupców - zajmował trójkąt między Nilem Białym a Nilem Błękitnym. Na drugim brzegu Nilu Błękitnego leżał handlowo-przemysłowy Chartum północny. Za Nilem Białym szeroko rozkładało się historyczne miasto mahdystów - Omdurman.

Od czasu rozmowy z kierowcą Idrysem marzyłem bez przerwy o wycieczce do Omdurmanu. Niestety, wyprawa na drugi brzeg Białego Nilu była stale odkładana z winy Pawła.

Mój despotyczny kolega każdego wieczora zaklinał się, że nazajutrz na pewno pojedziemy zwiedzać miasto mahdystów. Ale następnego ranka wyłaniały się zawsze jakieś nieoczekiwane przeszkody. Albo przychodził na ważną konferencję rudobrody pan Harrison, albo przychodzili inni kupcy chartumscy: Grecy lub Ormianie. A jeżeli wyjątkowo nikt nie przychodził, to Bwana Kubwa przypominał sobie nagle, że właśnie tego dnia musi koniecznie pisać zaległe raporty dla swojej warszawskiej Centrali. W ten sposób robił ze mnie balona przez blisko dziesięć dni i uniemożliwiał mi dalszą wędrówkę śladami Stasia i Nel. Na wszystkie moje rozpaczliwe wymówki odpowiadał z uśmiechem nieznośnej wyższości:

- Chłopie kochany, zrozum, że ja nie przyjechałem do Sudanu na zabawę jak ty. Ja tu

pracuję!

Na koniec tak mnie rozgniewały te wygłupy, że postanowiłem się obyć bez jego łaskawego towarzystwa.

Następnego dnia, z samego rana, poszedłem na postój taksówek przy pomniku Gordona, żeby odszukać Idrysa. Znalazłem go odpoczywającego na ziemi w cieniu palm. Kierowca widocznie pamiętał o naszej rozmowie i musiał od dawna czekać na umówione spotkanie, gdyż na mój widok natychmiast zerwał się z ziemi i z szerokim uśmiechem otworzył przede mną drzwiczki samochodu.

- Chcecie jechać do Omdurman, panie?

Skinąłem głową. Idrys nacisnął gruszkę swego klaksonu, trąbka zaskrzeczała donośnie i ruszyliśmy w drogę do stolicy Mahdiego.

Z Chartumu do Omdurmanu jechało się przez długi most na Białym Nilu. Natychmiast po wjeździe na ten most opadły mnie wspomnienia z „W pustyni i w puszczy”. Bo przecież w tym samym miejscu przeprawiali się przez Biały Nil z Chartumu do Omdurmanu Staś i Nel pod eskortą emira Nur el Tadhila, Idrysa, Gebhra i Chamisa.

Patrzałem na rzekę mieniącą się w blaskach słońca i wspomnienia stawały się coraz żywsze. Równoległe do mostu płynęła duża, płaska łódź sudańska, poruszana przy pomocy wiosel. Była to bardzo stara łódź, więc miałem prawo przypuszczać, że łódź, którą ONI przeprawiali się na drugi brzeg Białego Nilu, wyglądała tak samo. Przymrużyłem oczy i wydało mi się, że widzę całą znajomą gromadkę. Błady, wymizerowany Staś tuli do siebie popłakującą Nel. Emir Nur el Tadhil rozmawia z Idrysiem. Gebhr popędza gniewnie wiosłarzy. Chamis trzyma za obroź Sabę.

Scenę przeprawy dzieci z Chartumu do Omdurmanu wyobrażałem sobie wiele razy przedtem - jeszcze wówczas, kiedy czytałem „W pustyni i w puszczy” jako uczeń. Ale przychodziło mi to z niezmiernym trudem. Wtedy wyraźnie widziałem tylko Stasia i Nel. Natomiast całe arabskie otoczenie dzieci było jakieś mgliste i bezosobowe. Cóż dziwnego: nie znałem wówczas jeszcze ani Sudańczyków, ani Egipcjan! Obecnie - po blisko miesięcznym pobycie w Afryce - widziałem wyraźnie wszystkich, twarze mahdystów z powieści Sienkiewicza stały się żywe, wyostrzone i nabrały jakichś znajomych cech.

Emir Nur el Tadhil utożsamiał mi się teraz z jednym z ministrów Republiki Sudańskiej, którego pokazano mi przed kilku dniami w restauracji „Grand-Hotelu”. Idrys z książki miał okrągłą twarz Idrysa kierowcy. Gebhr przypominał funkcjonariusza linii lotniczych „Sudan-Air Ways”, z którym leciałem do Chartumu. Chamis syn Chadigiego zdradzał zdecydowane podobieństwo do młodego windziarza z kairskiego hotelu „Gezira”.

Tak mnie zdziwiły i ubawiły te figle mojej wyobraźni, że zupełnie nie zauważyłem, jak przejechaliśmy przez rzekę. Z zadumy wyrwał mnie dopiero głos kierowcy:

- Panie, nie śpij teraz! Patrz na Omdurman! Dużo ciekawych rzeczy!

Zawstydzony otrząsnąłem się z zamyślenia i szeroko otworzyłem oczy. Idrys miał rację. Omdurman, do którego właśnie wjeżdżaliśmy, był ciekawy od wszystkiego, co można było sobie wyobrazić.

Pierwsze moje odczucie wyraziło się w pełnym zdziwienia okrzyku:

- Idrys, przecież to miasto jest całe zbudowane z piasku!

Kierowca potrząsnął głową z uśmiechem.

- To nie piasek, panie, nie piasek! To cegła z mułu nilowego. Sudańczycy mówią: cegły z mułu lepsze od cegieł z gliny, nie przepuszczają słońca.

Było na pewno tak, jak mówił Idrys, lecz ja - patrząc na Omdurman po raz pierwszy - nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że miasto to powstało jako rezultat zabawy w piasku jakiegoś dziecka-olbrzyma. Wszystko tu miało barwę szarozółtego, pustynnego piasku. Nigdzie nie było widać ani śladu kamienia, ani śladu cegły.

Nie przypominało to jednak wcale nędznych wiosek z mułu nilowego, jakie widywałem w Egipcie. W Omdurmanie muł i piasek układały się w pełen rozmachu kształt miejski. W szerokie, piaszczyste ulice - szersze od warszawskiej ulicy Marszałkowskiej, w ogromne piaszczyste place - większe od warszawskiego placu Zwycięstwa, w ozdobne mury, w wille, ba, nawet w pałace. Było to niewątpliwie miasto - tylko że miasto z zupełnie innego klimatu i z zupełnie innej epoki.

Na centralnym rynku Omdurmanu urządziliśmy sobie krótki postój. Po wyjściu z taksówki znowu doznałem wzruszenia. Opis tego rynku omdurmańskiego pamiętałem doskonale z lektury „W pustyni i w puszczy”. Kiedy Staś i Nel przechodzili tędy, plac był wypełniony tłumem dzikich i wrogich wojowników Mahdiego. Na środku placu wbita na wysoką tykę straszyla dziecięca głowa zabitego generała Gordona. Nie miałem żadnego powodu nie wierzyć Idrysowi, że Mahdi bardzo się zmartwił, kiedy mu przyniesiono głowę Gordona - niemniej później pozwolił ją wbić na pal i umieścić na najludniejszym placu miasta, ponieważ wystawienie na pokaz odciętych głów zabitych wrogów zgodne było ze zwyczajami wojennymi, panującymi wtedy w Afryce. Trzeba pamiętać, że ówczesna Afryka była przynajmniej o pięćset lat opóźniona w rozwoju historycznym w stosunku do Europy. A przecież i u nas jeszcze przed trzystu laty zwycięzcy wodzowie żywcem wbijali na pal pokonanych przeciwników. Wystarczy przypomnieć bohatera sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem” - straszego księcia Jaremę Wiśniowieckiego.

Ale nie miałem wiele czasu na wspomnianie przeszłości, gdyż otaczająca mnie teraźniejszość również zasługiwała na uwagę. Na rynku było tak samo rojno i gwarno, jak przed siedemdziesięciu pięciu laty. Tylko że obecnie zamiast uzbrojonych mahdystów tłoczyły się tu przeważnie... wielbłądy.

Ów rynek omdurmański - jak mnie objaśnił Idris - uchodził za jeden z największych targów wielbłądzych w Afryce. Ściągali tu ze swym zwierzęciem przychówkiem nomadzi ze wszystkich stron pustyni.

Kierowca - zupełnie na serio i w dobrej wierze - zaproponował mi, żebym korzystając z okazji, kupił sobie za bezcen młodego dromadera do jazdy wierzchem. Zapewnił mnie, że przed opuszczeniem Sudanu będę mógł go odsprzedać z niewielką stratą. W odpowiedzi na tę korzystną propozycję poczciwy Sudańczyk - ku niezmiernemu swemu zdumieniu - usłyszał cierpką uwagę, żeby nie strugał ze mnie wariata. Zaraz pożałowałem tej popędliwości, lecz cóż było robić. Od czasu mojej sławnej przygody pod piramidami byłem na ten temat specjalnie uczulony. Wystarczyło, że ktoś zaczynał przy mnie mówić o jeździe na wielbłądzie, a od razu przyjmowałem to jako osobistą zniewagę.

Na szczęście prostoduszny kierowca zupełnie się nie przejął moją niegrzeczną odpowiedzią i pociągnął mnie między wielbłądy. „Okrętów pustyni” było na placu całe mnóstwo: dużych i małych, starych i młodych, rudych, brązowych, płowych, a nawet srokatych. Tylko że chodzenie wśród nich wcale nie należało do przyjemności. Wielbłądy były widocznie podenerwowane długim czekaniem na nabywców, ciągle więc kaszłały i strzykały śliną na wszystkie strony, zupełnie jak zagrypieni widzowie w kinach warszawskich.

Ale uparty Idris zawłókł mnie w sam środek zwierzęcej ciżby, bo tam stało największe dziwo targowiska: dromader albinos - cały biały jak mleko.

- Patrz, panie, biały wielbłąd - pokazał mi go z dumą kierowca. - Bardzo piękny, bardzo rzadki. Mahdi też jeździł na białym wielbłądzie. Jego imię było Debelan. Biały wielbłąd bardzo dobry dla świętego człowieka. Takiego wielbłąda warto mieć, panie.

Nie dałem się jednak wziąć pod włos i albinosa również nie kupiłem.

Po szczegółowym obejrzeniu wszelkich możliwych odmian wielbłądziejego rodu załadowaliśmy się znowu do taksówki. Idris zaczął przeraźliwie trąbić na swoim klaksonie, wielbłądy bardzo niechętnie rozstąpiły się na dwie strony, robiąc nam przejście, a my ruszyliśmy dalej - tym razem już wprost do grobu Mahdiego i do omdurmańskiego muzeum mahdystów.

Obydwa te budynki, przedzielone od siebie odległością zaledwie kilkudziesięciu kroków, stały w głębi wielkiego, piaszczystego placu, podobniejszego raczej do szczerej

pustyni niż do miejskiego skweru.

Ten pustynny plac - jak twierdził kierowca Idrys - był niegdyś centralnym i najważniejszym miejscem mahdystowskiej stolicy. Na tym placu stało podwyższenie, z którego Prorok przemawiał do tłumów wiernych. Na tym placu defilowały później oddziały mahdystowskie przed następcą Mahdiego, kalifem Abdullahim, który przyglądał się rewii z okien swego domu. Dom kalifa Abdullahiego - podobny do małej forteczki, zbudowanej z mułu nilowego - stał jeszcze przy placu. Właśnie w jego wnętrzu mieściło się muzeum pamiątek mahdystowskich. Historyczny plac mahdystów dawno już utracił swe znaczenie i obecnie był używany wyłącznie do amatorskich gier sportowych i do zabaw. W chwili naszego przyjazdu rozgrywał się tam właśnie mecz piłki nożnej między dwiema drużynami, złożonymi z najmłodszych uczniów szkół omdurmańskich.

Słuchając objaśnień kierowcy, pomyślałem sobie, że to pewnie na tym placu bohaterowie „W pustyni i w puszczy” czekali na rozstrzygającą decyzję w sprawie ich dalszych losów, która miała zapaść w domu kalifa Abdullahiego. Pod wpływem tej myśli zapragnąłem jak najszybciej obejrzeć dom kalifa i zaproponowałem, żeby od niego rozpocząć zwiedzanie mahdystowskich zabytków. Ale systematyczny Idrys potrząsnął przecząco głową. - Nie, panie. Mahdi rządził pierwszy, Abdullahi rządził drugi. Najpierw trzeba iść do Mahdiego.

Powiedział to z takim przekonaniem, że natychmiast skapitulowałem. Poszliśmy w stronę grobowca. Była to niewielka kaplica mahometańska, pokryta srebrzystą kopułą. Na szczycie kopuły błyszczał w słońcu cienki sierp półksiężyca. Osłepiająca biel ścian grobowca i polerowana blacha kopuły zdecydowanie odbijały od płowej monotonii całego otoczenia. Widać było od razu, że miejsce wieczystego spoczynku Proroka musiało niedawno ulec gruntownemu remontowi.

Niestety, kaplicę zastaliśmy zamkniętą. Na klamce rzeźbionych dębowych drzwi wisiała zatłuszczona karteczka z jakimś arabskim napisem.

Idrys przeczytał kartkę i pokiwał głową - zupełnie tak samo jak warszawski rodak na widok sklepowej wywieszki: „Dziś remanent” - po czym wyjaśnił mi, że grobowiec Proroka jest chwilowo nieczynny z powodu... przerwy obiadowej.

Ta biurokratyczna przeszkoda nie zniechęciła jednak energicznego kierowcy. Odwrócił się w stronę grających w piłkę uczniów i krzyknął coś do nich po arabsku. Młodzi omdurmańczycy natychmiast przerwali grę i ruszyli biegiem w naszą stronę. Byli to weseli, hałaśliwi chłopcy w wieku od dwunastu do piętnastu lat. Wszyscy nosili dżiby i turbany - i ich prawie czarne, roześmiane twarze wspaniale kontrastowały ze śnieżną bielą ubiorów.

Na polecenie Idrysa cała drużyna piłkarska popędziła ochotczo do małego domku,

znajdującego się na tyłach grobowca. Po chwili wrócili, prowadząc między sobą jak jeńca dozorcę kaplicy, starego, rozkasłanego Berbera o nogach podobnych do dwóch suchych, czarnych patyków. Strażnik grobu Proroka był postacią tak niesympatyczną, że śmiało mógł występować w powieści Sienkiewicza jako najgorszy z mahdystów. Nasza wizyta przerwała mu widocznie smaczną drzemkę popołudniową i wprawiła go w iście szatański humor. Z miejsca zaczął się pieklić na Idrysa, darł się na niego skrzeczącym głosem, dziko wywracał brązowymi białkami oczu, wymachiwał czarnymi, patykowatymi rękami - a przy tym kaszłał, sapał, charczał, pluł - zupełnie jak wielbłądy, które oglądaliśmy niedawno na rynku. Z całego jego zachowania wynikało niezbitie, że raczej pozwoli sobie głowę uciąć, niż wpuści nas do grobowca Proroka w przerwie obiadowej.

Sytuacja wydawała się beznadziejna, ale nieoczekiwanie znalazło się z niej wyjście. Słuchając zajadłej kłótni dwóch Sudańczyków, zwróciłem uwagę na charakterystyczny, zduszony kaszel starego Berbera. Brzmiał on w moich uszach dziwnie znajomo. Tak, nie omyliłem się - dozorca grobu był astmatykiem, cierpiał na tę samą przykrą dolegliwość oskrzelową, na którą ja chorowałem od wielu lat. Postanowiłem to wykorzystać.

W momencie kiedy Idrys był bliski załamania, podszedłem do Berbera, trąciłem go w ramię i wyrzekłem tylko jedno słowo:

- Astma?

Nazwę tej choroby wymawia się prawie tak samo we wszystkich językach, dozorca zareagował więc natychmiast na znajomy dźwięk.

Przerwał rozmowę z Idrysem i w jego dzikich oczach odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Kilkakrotnie kiwnął potakująco głową i jeszcze gwałtowniej się rozkaszłał.

- Aiwa! ²⁴ Aiwa! - wycharczał. - Asthma!

Wtedy wyjąłem z kieszeni znakomity polski lek antyastmatyczny „Proasthmin”, który stale nosiłem przy sobie, i wysypałem Berberowi na dłoń dwie małe, białe pastylki. Czyniąc to pomyślałem sobie nie bez satysfakcji o moim zarozumiałym koledze Bwana Kubwa. Proszę: on stroi ważne miny, spotyka się z różnymi kupcami i pośrednikami, a tymczasem ja po cichutku, skromniutko, krocząc śladami Stasia i Nel, wprowadzam na sudański rynek wytwory polskiego przemysłu farmaceutycznego.

Dozorca grobu stał nieruchomo z wyciągniętą na płask dłonią i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w pastylki „Proasthminu”, lecz nie przejawiał najlżejszej ochoty do zażycia leku.

²⁴ Tak! (arabski).

- Niech pan powie, żeby połknął – zwróciłem się do Idrysa. - To bardzo dobre lekarstwo, z pewnością przyniesie mu ulgę.

Idrys zagadał po arabsku do dozorczy i wytrącił go z transu hipnotycznego. Berber pieczołowicie zebrał pastylki z dłoni palcami drugiej ręki, lecz - zamiast do ust - wsunął je do małego woreczka, uwiązanego przy szyi. Potem przez dłuższą chwilę skrzekliwie odpowiadał kierowcy.

- To ciemny człowiek, panie - uśmiechnął się Idrys. - On się boi brać lekarstwo od obcego. On zapyta syna. Jego syn pracuje w szpitalu w Omdurman.

Okazało się, że wprowadzenie polskich wyrobów na rynek sudański nie było wcale taką łatwą rzeczą. Niemniej „Proasthmin” spowodował przełomową zmianę w naszych stosunkach z Berberem. Srogi dozorca grobu, nie czyniąc nam już żadnych wstrętów, otworzył drzwi kaplicy i wpuścił nas do środka.

Wnętrze mauzoleum w pierwszej chwili bardzo mnie rozczarowało. Był to zwykły pokój, obity drewnianymi boazeriami, które w Afryce uchodziły za szczyt luksusu. Na ścianach wisiały nieliczne pamiątki osobiste po Mahdim, w kącie stał staroświecki zegar z jego domu. Środek kaplicy zajmował okazały grobowiec z politurowanego dębu - podobny do przysadzistej szafy gdańskiej. Nie, nie było w tej kaplicy żadnego nastroju. Inaczej sobie wyobrażałem grób Proroka derwiszów.

- Patrz przez okienko, panie - usłyszałem szept Idrysa.

Dopiero teraz zauważyłem, że w dębowej szafie znajdowały się małe okienka, przez które można było zaglądać do wnętrza grobowca. Zajrzałem tam bez większego zapału, gdyż po pierwszych rozczarowaniach nie oczekiwałem już żadnych specjalnych emocji. Sądziłem, że zobaczę jakąś rzeźbioną płytę nagrobną, równie nieciekawą jak cała kaplica. Ale spotkało mnie zaskoczenie. Na grobie pustynnego Proroka nie było żadnej ozdobnej płyty. Zastępował ją kwadrat żółtego, pustynnego piasku. Było to piękne i dziwnie wzruszające.

Odwróciłem się do Idrysa i powiedziałem z najgłębszym przekonaniem:

- Grób Proroka jest bardzo piękny!

- Tak, panie, grób Proroka piękny - westchnął kierowca. - Ale grób Proroka pusty. Mahdiego tam nie ma. Chodźmy na powietrze, panie. Wszystko opowiem.

Wyszliśmy z mauzoleum. Kaszlący Berber z wyraźnym zadowoleniem zamknął na klucz ciężkie, dębowe drzwi, poprawił wiszącą na klamce kartkę z zawiadomieniem o przerwie obiadowej, po czym natychmiast się ulotnił. Zapewne śpieszył się do syna, żeby zasięgnąć jego rady w sprawie lekarstwa „Proasthmin”.

My z Idrysem przeszliśmy na zacienioną stronę kaplicy i przycupnęliśmy na ziemi pod

samym murem. Było to jedyne miejsce, w którym można było jako tako wytrzymać, bo historyczny plac nie posiadał żadnego zadrzewienia i cały był wydany na pastwę słońca. Wokoło nas rozsiedli się mali piłkarze omdurmańscy. Raz przywołam na pomoc, uważali widocznie, że mogą się jeszcze na coś przydać. Chłopcy nie spuszczaali ze mnie oczu i ciągle coś sobie poszeptywali do ucha na mój temat. Tymczasem Idris opowiadał mi, dlaczego w grobowcu nie było już zwłok Mahdiego. Była to historia niezwykła i przerażająca.

- Mahdi umarł niedługo po zdobyciu Chartumu - mówił kierowca. - Bardzo dużo pracował, bardzo dużo się modlił, bardzo dużo się martwił. Serce Proroka nie wytrzymało i przestało bić. To było wielkie nieszczęście dla Sudanu, panie.

Po Mahdim rządził kalif Abdullahi. Mądry wódz, mocny człowiek, ale już nie Mahdi, panie. Mahdi był jeden: święty człowiek, prawdziwy Prorok, wszyscy Sudańczycy bardzo go kochali. A Abdullahi był tylko wódz i musiał zwalczać innych wodzów, którzy też chcieli rządzić Sudanem. Przyszły ciężkie czasy, panie. Europa nie chciała wolnego państwa mahdystów i przysłała swoje korpusy ekspedycyjne. Abdullahi musiał ciągle trzymać wielkie wojsko. Ludzie nie schodzili z koni i wielbłądów. Ćwiczyli się, pilnowali granic... Nie można było pracować. Głód. Choroby. Bardzo złe czasy, panie.

Kalif Abdullahi był twardy, srogi wódz. Rządził żelazną ręką i ludzie go nie lubili, panie. Ale Abdullahi przez trzynaście lat bronił wolności Mahdii²⁵. Rozumiesz to, panie? Przez trzynaście lat bił europejskich żołnierzy i wypędzał ich z Sudanu. Dopiero jak przyszedł ze swoim wojskiem lord Kitchener...

Idrys przerwał na chwilę, aby uspokoić otaczających nas chłopców. Młodzi omdurmańczycy z napiętą uwagą śledzili tok opowiadania, lecz nie znając angielskiego, wychwytywali z niego tylko znajome nazwiska i reagowali na nie ożywionym szeptem. Kiedy padło nazwisko generała Kitchenera, w gromadce zawrzało.

- Balash kalam!²⁶ Przestańcie gadać! - krzyknął kierowca. - Ten cudzoziemiec chce wiedzieć, co się stało z Mahdim!

Ale chłopcy nadal się o coś gwałtownie upominali. Idris wytłumaczył z uśmiechem, iż chcą mi koniecznie zakomunikować, że pomniki Gordona i Kitchenera w Chartumie zostaną wkrótce zburzone. Powiedziano im o tym w szkole.

Kierowca powrócił do swego opowiadania.

- Generał Kitchener przyszedł ze swoim korpusem w roku 1898. Nie, panie, on nie

²⁵ Państwo mahdystów.

²⁶ Bądźcie cicho! (arabski).

przyszedł - on przyjechał pociągiem. Rozumiesz, panie, jego wojsko szło od granicy egipskiej i budowało linię kolejową. Krok po kroku budował kolej. I pociąg dojechał aż tu, do samego Omdurmanu. A w pociągu były nowe maszyny strzelające. Za jednym strzałem leciało z nich sto kul. Rozumiesz, panie, sto kul!

W Sudanie ludzie nie widzieli nigdy pociągu i nie widzieli nigdy takich maszyn. Krzyczeli, że to szatan, „dżin”, i uciekali przed pociągiem. Nie, panie, generała Kitchenera kalif Abdullahi nie mógł zwyciężyć.

Tam, panie, za wzgórzami Kerreri, które masz przed oczami, była bitwa. Wielka bitwa! Straszna bitwa! Dziadek mojego ojca tam był, panie. Ale co mogli derwisze przeciwko piekielnym maszynom, z których leciało po sto kul? Nic nie mogli, panie. Zostało całe pole trupów. Skończyła się Mahdia.

Dziadek mojego ojca uratował się i uciekł z kalifem Abdullahim. Potem Abdullahiego zabili, a dziadek mojego ojca siedział w więzieniu. Tak było, panie. Mahdia zginęła, a generał Kitchener został za to zwycięstwo Lordem Chartumu. I zemścił się za śmierć Gordona.

Kierowca uniósł turban i otarł spoconą głowę. Jego okrągła twarz utraciła wyraz zwykłej dobroduszości. Rytualne nacięcia na policzkach stały się jakby wyraźniejsze.

- To była straszna zemsta, panie - powiedział głucho. - Wielka hańba dla Sudanu. Wielka hańba dla Europy. Kitchener kazał zburzyć i zrównać z ziemią grób Proroka. Najświętsze miejsce Sudanu, do którego przychodziły na modlitwy tysiące pobożnych pielgrzymów. Rozumiesz to, panie? Obcy żołnierze wyjęli z ziemi błogosławione zwłoki i odcięli od nich głowę. Potem ciało spalili na ogniu i popioły wsypali do Nilu. A głowę Proroka odesłali do egipskiego kedywa. Rozumiesz to, panie? I jechali z tą głową przez cały Sudan. Zatrzymywali się w każdym mieście i w każdej wsi. Pokazywali odciętą głowę Proroka i mówili: „To jest głowa buntownika, co powstał przeciwko bejom i gubernatorom. Tak będzie z każdym, co się zbuntuje”. Rozumiesz to, panie?

Dziadek mojego ojca dużo lat później opowiada! o tym mojemu ojcu - i płakał. Mój ojciec opowiadał mnie - i także płakał. Bardzo niedobra sprawa, panie!

- Tak, to był straszny odwet za śmierć Gordona - wyszeptałem wstrząśnięty.

- Straszny odwet za Gordona, panie. Ale głowę Gordona-paszy odciął Babikr Koko, dziki jeździec z plemienia Tawałów. W Afryce były wtedy takie zwyczaje. Tymczasem zwłoki Mahdiego zhańbił wielki europejski generał, a w Europie takich zwyczajów nie było już od wieków. Rozumiesz to, panie?

Zrozumiałem wszystko, z wyjątkiem jednego: skąd się wzięło nowe mauzoleum Mahdiego, które zwiedzaliśmy przed chwilą?

Idrys odgadł moje nie wypowiedziane pytanie.

- Ten nowy grobowiec zbudowali dopiero w roku 1947. Anglicy pozwolili na odbudowę, bo już nie byli tacy mocni w Sudanie. Chcieli sobie za to kupić mahdystów. Ten nowy grobowiec postawił syn Proroka.

- Jak to, więc syn Mahdiego jeszcze żyje?

- Żyje, panie. Mieszka w Chartumie. To wielki pan, potężny feudał. Sir Abdel Rahman el Mahdi.

W głosie kierowcy zabrzmiała wyraźna niechęć. Ale nie zwróciłem na to uwagi. Podnieciła mnie ogromnie rewelacyjna wiadomość, że w Chartumie mieszka syn Mahdiego z „W pustyni i w puszczy”. Chciałem koniecznie dowiedzieć się o nim czegoś bliższego. Ale Idrys przejawiał niezrozumiałą powściągliwość w stosunku do osoby Abdel Rahmana el Mahdiego. Powiedział tylko krótko:

- Tamten Mahdi był inny, ten Mahdi jest inny. Nie ma co mówić, panie.

Potem powstał i spojrzął na zegarek.

- Późno, panie. Trzeba już iść. Jeszcze dużo rzeczy do oglądania.

Podniosłem się ciężko z ziemi. Słońce minęło już środek nieba i upał dochodził do zenitu. Sto metrów przed nami, zaraz za rozprażonym placem, wznosiły się zbocza wzgórz Kerreri. Za tymi wzgórzami rozegrały się losy państwa mahdystów.

- Wejdziemy na wzgórze Kerreri, Idrys?

Młodzi omdurmańczycy, którzy ani na chwilę nie spuszczaali ze mnie oczu, natychmiast podchwycili znajomy dźwięk. W gromadce znowu zaszumiało.

- Kerreri!. Kerreri!... Kerreri!...

Ale Idrys zaoponował:

- Nie, panie. Najpierw do domu kalifa. Tam muzeum mahdystów. Musisz zobaczyć, panie. Na Kerreri potem.

Poszliśmy więc do domu kalifa Abdullahiego, ostatniego władcy Mahdii.

Było to z pewnością najdziwniejsze ze wszystkich muzeów, jakie zdarzyło mi się zwiedzać w życiu, O krok od pola walki sprzed sześćdziesięciu lat, w arabskim domu z nilowego mułu, przypominającym porzucony fort obronny, zgromadzono skąpe pamiątki po największej bitwie w dziejach kolonializmu.

Na wewnętrznym dziedzińcu domu leżała kopuła z pierwotnego mauzoleum Mahdiego, zburzonego przez Kitchenera. W jednej z izb, przy oknie, stało szerokie, drewniane łóżko, z którego kalif Abdullahi przyglądał się defiladom oddziałów mahdystowskich. Przechodząc obok tego łóżka, nie mogłem oprzeć się myśli, że może właśnie tu srogi Abdullahi nakazał

emirowi Nur el Tadhilowi wysłanie Stasia i Nel w dalszą drogę do Faszody.

Najciekawsze jednak były pamiątki z bitwy omdurmańskiej. Na ścianach największej izby był porozwieszany ekwipunek wojowników mahdystowskich. Krótkie dżiby barwy pustynnego piasku, naszywane różnokolorowymi kwadratowymi łatami. Wysokie, spiczaste kapelusze noszone przez derwiszów. Prymitywne dzidy, berdysze i stare strzelby, wiązane drutem. Naprzeciw, w równym szeregu, stały ciężkie karabiny maszynowe systemu „maxim”, najnowocześniejsza, eksperymentalna broń owego czasu, którą Anglicy wypróbowali po raz pierwszy właśnie w bitwie pod Omdurmanem.

Zestawienie tych dwóch rodzajów uzbrojenia było tak wymowne, że nie wymagało żadnych dodatkowych objaśnień. Idrys miał niewątpliwie rację: Abdullahi nie mógł wygrać z Kitchenerem.

Chodziłem długo po tej izbie, dotykając na przemian: chłodnych luf kulomiotów i piaskowych zgrzebnych dżib mahdystowskich, na których znać jeszcze było wypełzłe plamy krwi. W atmosferze tego egzotycznego muzeum afrykańskiego było coś, co przypominało mi Powstanie Warszawskie. Ten sam bohaterski, rozpaczliwy opór, bez żadnych szans, z góry skazany na przegraną.

Kiedy opuszczaliśmy już dom Abdullahiego, przyszedł mi nagle do głowy wariacki pomysł. Zacząłem błagać Idrysa, żeby na chwilę włożył na siebie ekwipunek mahdystowski. Dozorca muzeum - przyzwyczajony do rozmaitych wybryków turystów europejskich i amerykańskich - specjalnie się temu nie sprzeciwiał. Ale kierowca w żaden sposób nie chciał się zgodzić na taką maskaradę. Na szczęście przyszli mi z pomocą uczniowie omdurmańscy. Skoro tylko zorientowali się z moich gestów, o co mi chodziło, natychmiast otoczyli kierowcę i tak gorąco zaczęli go prosić i namawiać, że w końcu musiał ulec.

Zdjęliśmy ze ściany jedną z piaskowych dżib, na-szywanych kolorowymi łatami, i Idrys wciągnął ją na swoją białą dżibę. Turban wymienił na wysoki, spiczasty kapelusz derwisza, do ręki wziął stary, mahdystowski berdysz.

Mali omdurmańczycy zaczęli wrzeszczeć i klaskać z zachwytu. Ja stałem jak oniemiały, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Nie przewidziałem, że mój pomysł wywoła aż taki skutek.

Dotychczas wszystkie sprawy, rozgrywane się w „W pustyni i w puszczy” oceniałem wyłącznie oczami Stasia i Nel, bo cała moja sympatia była po stronie porwanych dzieci. Teraz na sprawy „W pustyni i w puszczy” musiałem po raz pierwszy spojrzeć okiem Idrysa-mahdysty. Bo Idrys-mahdysta utożsamiał się z moim sympatycznym znajomym, Idrysem--kierowcą,

Przez całą drogę od domu kalifa Abdullahiego do wzgórz Kerreri zastanawiałem się nad tym, co by to było, gdyby powieść „W pustyni i w puszczy” przetłumaczyć na arabski i dać ją do przeczytania małym uczniom omdurmańskim, którzy szli za mną krok w krok jak wierna, nieodstępna świta.

Ci mali omdurmańczycy byli w wieku naszych czytelników „W pustyni i w puszczy” i gdyby się spotkali ze swoimi polskimi rówieśnikami, na pewno szybko by się z nimi zaprzyjaźnili. Graliby wspólnie w piłkę, uganialiby się razem po wielkim, piaszczystym placu, opowiadaliby sobie o swoich szkolnych sprawach.

Ale pod jednym względem nie mogliby się zgodzić z polskimi kolegami. Patrzyliby zupełnie inaczej na sprawy opisane w powieści „W pustyni i w puszczy”.

Dla małych omdurmańczyków najważniejszą rzeczą w całej powieści byłby fakt, że policja egipskiego kedywa uwięziła jako zakładników: Fatme, żonę Smaina, oraz jej troje dzieci. Uczniowie omdurmańscy uważaliby to za gwałt i niesprawiedliwość. Całym sercem byłiby po stronie uwięzionych, bo Fatma była prostą kobietą sudańską jak ich własne matki, a dzieci Fatmy były małymi Sudańczykami jak oni sami.

I gdyby potem przeczytali, że Chamis, Idrys i Gebhr na prośbę Fatmy porwali dzieci białych mehendysów, żeby je zawieźć Mahdiemu na zakładników, omdurmańscy chłopcy uznaliby to za rzecz słuszną i sprawiedliwą. Byliby najgłębiej przekonani, że zrobiono to tylko po to, aby zmusić policję kedywa do uwolnienia Fatmy i jej dzieci. Na Chamisa, Idrysa i Gebhra patrzyliby jak na obrońców uciśnionych sudańskich dzieci i jak na dzielnych partyzantów Mahdiego.

Oczywiście, że polscy czytelnicy „W pusłyni i w puszczy” mogliby wówczas zapytać omdurmańskich kolegów, dlaczego Chamis, Idrys i Gebhr byli tacy niedobrzy dla Stasia i Nel? Uczniowie omdurmańscy odpowiedzieliby na to: bo w Sudanie toczyła się wtedy wojna o wolność, bo Sudańczycy nienawidzili białych ludzi, wtrącających się w ich sprawy, bo Chamis, Idrys i Gebhr byli zmęczeni i niespokojni, bo uciekali przed pościgiem policji, a dzieci robiły wszystko, aby naprowadzić pogoń na ślad uciekającej karawany.

A później moi mali towarzysze omdurmańscy doszliby do tego miejsca książki, gdzie Staś zabija Chamisa, Gebhra i dwóch Beduinów... Nie, o tym wołałem nawet nie myśleć. Na takich rozważaniach przędą mi niepostrzeżenie dziesięciominutowa wspinaczka na grzbiet wzgórz Kerreri. Stamtąd spojrzeliśmy na pole historycznej bitwy.

Kierowca Idrys znał opis bitwy z opowiadań pradziadka, przekazanych mu przez ojca. Dzięki jego objaśnieniom, mogłem sobie bez trudu wyobrazić, jak to wówczas wyglądało.

Przed sześćdziesięciu laty na rozległej, piaszczystej równinie między wzgórzami a

Nilem - starły się z sobą Afryka i Europa. Z jednej strony - nieprzeliczone masy średniowiecznie uzbrojonych jeźdźców pustynnych, z drugiej - dwudziestopięcioletni korpus ekspedycyjny kolonizatorów, znakomicie wyszkolony, wyposażony w armaty i karabiny maszynowe.

Ciężkie karabiny maszynowe systemu „maxim” - eksperymentalna broń Kitchenera - zdały doskonale egzamin. Po krótkim czasie bitwa zamieniła się w rzeź. Na placu boju pozostało kilkanaście tysięcy zabitych derwiszów i... dwudziestu siedmiu zabitych Anglików.

Korzyści, jakie wyciągnęła Anglia z tej bitwy, były niewspółmierne do wkładu. Po zwycięstwie omdurmańskim Anglicy nie oddali już Sudanu jego dawnym władcom, kedywowi i paszom egipskim, lecz uczynili z tego kraju tak zwane „kondominium anglo-egipskie”. W praktyce Sudan stał się kolonią brytyjską, rządzoną przez brytyjskiego gubernatora generalnego. Trwało to aż do roku 1956 - to znaczy do momentu uzyskania przez Sudan pełnej niepodległości.

Słuchając opowiadań Idrysa, obserwowałem towarzyszących nam uczniów omdurmańskich. Mali omdurmańczycy zachowywali się na wzgórzach Kerreri dokładnie tak samo, jak chłopcy polscy, mieszkający w sąsiedztwie pobojowisk naszej kampanii wrześniowej 1939 roku. Widok historycznego placu boju wprawiał ich w niebywałe podniecenie. Przekrzykując się wzajemnie, pokazywali sobie różne miejsca rozległego pobojowiska, znane im zapewne z opowiadań starszych. Co chwila przerywali kierowcy, domagając się przekazania cudzoziemcowi jakichś szczególnie ważnych informacji. Wykrzykiwali głośno nazwiska mahdystowskich dowódców. Kreślili na piasku kierunki natarcia oddziałów Abdullahiego. Gorączkowymi gestami zapewniali mnie o bohaterstwie sudańskich powstańców i o strasliwej przewadze oręża europejskich kolonizatorów.

Widać było, że ci uczniowie szkół omdurmańskich kochali bohaterską tradycję bitwy stoczonej pod ich miastem. Nawet tak piękna powieść, jak „W pustyni i w puszczy”, nie zdołałaby ich przekonać, że mahdyści byli źli, okrutni i że nie mieli racji. Dla małych omdurmańczyków żołnierze Mahdiego i Abdullahiego byli bohaterskimi powstańcami, którzy bronili wolności Sudanu. Bronili jej tak długo, póki nie padli w ogniu „stu kul” białego najeźdźcy.

Na wzgórzach Kerreri zakończyło się moje zwiedzanie pamiątek mahdystowskich. Pożegnałem małych omdurmańczyków - którzy nie zdążyli jeszcze uzgodnić między sobą wszystkich szczegółów strategicznych bitwy - i zeszliśmy z Idrysem w stronę pozostawionego w dole samochodu.

Przed mauzoleum Proroka stał stary Berber astmatyk. Minę miał kwaśną jak ocet i dusił

się jeszcze gorzej niż przed godziną. Kiedyśmy się zbliżyli, zaczął coś skrzeczeć do Idrysa wymachując gwałtownie rękami.

- On mówi, panie, że już wziął twoje lekarstwo, ale nic mu nie pomogło - wyjaśnił kierowca.

Wzruszyłem ramionami. Widocznie Berber cierpiał na jakiś specjalny rodzaj astmy, bo mnie „Proasthmin” pomagał nawet przy najcięższych atakach choroby. A może pastylki miały po prostu jakiś ukryty „brak” fabryczny? Ogarnęła mnie złość na nasz przemysł farmaceutyczny. Zaprzepaścić taką okazję propagandową! Przecież to byłaby wspaniała rzecz, gdyby polskie lekarstwo przyniosło ulgę temu staremu, zgorzkniałemu mahdyście. Można by to traktować jako pierwszy przejaw nowego układu stosunków między sudańskimi mahdystami a polskimi czytelnikami „W pustyni i w puszczy”. Ale nie myślałem już dłużej o Berberze, bo moją uwagę pochłonęła całkowicie grupka pielgrzymów, zmierzająca w stronę grobowca.

Przez zalany słońcem plac szło dwóch Arabów w długich galabijach i turbanach. Musieli wędrować z daleka, gdyż wyglądali na bardzo strudzonych, a galabije ich były zszarzałe od kurzu. Jeden z nich, starzec z siwą brodą, wspierał ramieniem młodzieńca, który stapał niepewnie, macając przed sobą wyciągniętą ręką. Nie ulegało wątpliwości, że młody pielgrzym był ślepy. Spojrzałem pytająco na Idrysa.

- To pielgrzymi z Kordofanu, panie. Idą się modlić do grobu Proroka o przywrócenie wzroku. Grób Mahdiego to nasza sudańska Mekka, panie. Przychodzą tu chorzy z całego kraju, nieraz z bardzo daleka. Ślepi, głusi, kaleki. Modlą się o zdrowie, panie.

- I pomagają im te modlitwy?

- Oni wierzą, że pomagają, panie - odpowiedział wymijająco kierowca.

Korciło mnie przez chwilę, żeby zapytać, dlaczego chory na astmę dozorca grobu nie doświadczył na sobie jego uzdrawiających właściwości. Przypomniało mi się jednak stare polskie przysłowie, że „szewc zawsze chodzi bez butów”, zaniechałem więc tego nietaktownego pytania.

W drodze z Omdurmanu do Chartumu próbowałem wyciągnąć z Idrysa jakieś informacje na temat współczesnych mahdystów sudańskich i ich przywódcy sir Abdel Rahmana el Mahdiego, syna Proroka. Ale zazwyczaj tak rozmowny i chętny do wyjaśnień kierowca w tej sprawie okazał się wyjątkowym mrukiem. Dowiedziałem się tylko, że mahdyści stanowią do dziś najpotężniejszą sektę religijną Sudanu, że sekta ta nazywa się ansard i że jej głową jest siedemdziesięcioletni syn Mahdiego.

Zaintrygowany powściągliwością Idrysa zaatakowałem go wprost:

- Czy pan, panie Idryś, jest mahdystą?

- Nie, panie. Dziadek mojego ojca był. Ojciec mojego ojca był. Ale ja nie jestem, panie.

- A czy można wiedzieć, dlaczego?

- Kiedy Mahdi i Abdullahi walczyli o wolność Afryki, wszyscy biedni ludzie byli po ich stronie, panie. A teraz wodzowie mahdystów myślą tylko o własnych interesach. Biedni Sudańczycy wcale ich nie obchodzą, panie - odpowiedział niechętnie klerowca i więcej już na ten temat nie chciał rozmawiać.

Kiedy zajechaliśmy przed „Grand-Hotel”, było już dawno po godzinach obiadowych. Pawła nie szukałem, ponieważ wiedziałem, że tego dnia miał jak zwykle popołudniowe spotkanie z rudym panem Harrisonem. Poszedłem wprost do wyludnionej sali restauracyjnej i zjadłem pośpiesznie obiad przy pustym „polskim stoliku”. Chciałem jak najszybciej znaleźć się sam w pokoju, żeby móc gruntownie przemyśleć wszystkie wrażenia omdurmańskie.

Ale w portierni czekała na mnie przykra niespodzianka. W przegródce z numerem mego pokoju nie znalazłem klucza.

- Pański klucz jest na górze, panie redaktorze - poinformował mnie uprzejmie portier. - W pokoju odpoczywa jeden pan, który rano przyjechał. Nie było dla niego na razie miejsca, więc pan dyrektor (tak tytułował Pawła) kazał go wpuścić.

Poszedłem na górę, przeklinając w duchu Pawła. Cóż to za bezczelny typ ten Bwana Kubwa! Spycha mi na kark swoich handlowych znajomków i nawet mu przez myśl nie przejdzie, że może mi to nie odpowiadać. A ja właśnie marzyłem o chwili samotności, chciałem sobie obmyśleć szkic reportażu omdurmańskiego, podumać trochę o Stasiu i Nel... Nie, tym razem wygarnę Pawłowi, co sądzę o nim i o jego metodach postępowania!

Demonstracyjnie, bez pukania wszedłem do pokoju i... zdębiałem. Na moim łóżku, z nosem wtulonym w poduszkę, leżał jakiś obcy facet! Był całkowicie ubrany. Włączając na cudze łóżko, nie uważał nawet za stosowne zdjąć zakurzonych butów.

Tego było mi już za wiele! Nie dość, że Bwana Kubwa uszczęśliwiał mnie towarzystwem swoich przyjaciół, ale oddawał im jeszcze moje łóżko, wiedząc doskonale, że po powrocie z Omdurmanu będę bardzo zmęczony. Nie, ten nieznajomy brutal nie będzie się wylegiwał w butach na mojej pościeli! Już ja go odpowiednio potraktuję!

Podszedłem na palcach do łóżka Pawła i przekręciłem wyłącznik wentylatora na trzeci bieg. Potem stanąłem przy oknie i bębniąc palcami w szybę, czekałem spokojnie na skutki huraganu, który w jednej chwili ogarnął cały pokój.

Naraz drgnąłem. Za moimi plecami rozespany, dziwnie znajomy głos wyjącał z przerażeniem:

- O Boże, co się dzieje?!!

Odwrociłem się i... Nie, to było nie do uwierzenia!

- Panie Bieganek! - wykrzyknąłem. - Panie Bieganek, skąd pan tu się wziął?

Więcej nie mogłem z siebie wykrztusić. Ogarnął mnie śmiech. Nerwowy. Spazmatyczny. Niemożliwy do powstrzymania. Cały się trząsałem. Z oczu płynęły mi łzy. Płakałem ze śmiechu. Dusiałem się. Nie śmiałem się tak już od lat.

A pan Bieganek - straszliwie zmaltretowany, spocony, targany wiatrem, półprzytomny - siedział na łóżku z płaczącą miną, wpatrywał się we mnie błędnym wzrokiem i tylko powtarzał co chwila: .

- Z czego się pan śmieje? No, niech pan przestanie! Niech pan przestanie się śmiać!

Na koniec udało mi się opanować żywiołową wesołość i odzyskałem głos.

- Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko takie niespodziewane. Przecież pan miał jechać do Norwegii. Mieliliśmy się spotkać w Oslo. Jakież złośliwy los zapędził pana do Sudanu?

Referent machnął beznadziejnie ręką, potem z nienawiścią spojrział na szalejący wentylator.

- Niech pan najpierw uspokoi tę bestię, bo nabawię się zapalenia płuc.

Przekręciłem wyłącznik wentylatora i w pokoju natychmiast ucichło.

Pan Bieganek odetchnął z wyraźną ulgą, ale zaraz znowu się skrzywił, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

- To długa historia, panie redaktorze - stęknął, wachlując się ręką. - Zasadniczo przyjechałem

w sprawach służbowych. W przyszłym roku ma tu powstać nasza placówka, więc polecono mi zbadać warunki lokalowe, zorientować się w cenach rynkowych, i takie różne rzeczy. Wiadomo, że jak trzeba załatwić coś naprawdę trudnego, to wysyła się Bieganka. Rzecz jednak w tym, panie redaktorze, że mój wyjazd do Sudanu nie był wcale przypadkowy. Rozumie pan? Nie był p r z y p a d k o w y!

Pan Bieganek pokiwał smutnie głową, potem spojrział na mnie tak bystro, jakby chciał mi zajrzeć w głąb duszy.

- Z innym bym o tym nie rozmawiał, boby mnie wyśmiał. Panu powiem, bo pan jest morowy chłop. Niech mi pan wierzy, redaktorze, nie byłem nigdy przesądny, brzydzę się wszelkim zabobonem. Ale bywają rzeczy... bywają rzeczy, przed którymi i rozsądek musi skapitulować. Kiedy byłem małym dzieckiem, moja piastunka przez nieostrożność oblała mnie wrzątkiem. Oparzenie było ciężkie, ale wyleczyło się szybko i bez śladu. Wtedy moje stare ciotki orzekły, że to znak nieba, że moim przeznaczeniem będzie życie w gorących krajach. Moi rodzice śmieli się z przesądnych ciotek. I ja się śmiałem, kiedy rodzice mi o tym

opowiadali, bo od dziecka nie znosiłem upału. Ale sam pan widzi, że stare, przesądne ciotki miały rację. Takie jest moje przeznaczenie. Nienawidzę gorąca, lecz muszę żyć w gorących krajach. Zapewniam pana, redaktorze, że jeżeli powstanie nasz konsulat na równiku, to jako pierwszego wyślą tam Bieganka. Jeżeli sputniki zaczną latać na słońce, to Bieganek wyląduje na słońcu. Taki już mój los!

- Niech pan nie przesadza, panie Bieganek - powiedziałem pośpiesznie, żeby zapobiec nowemu atakowi śmiechu. - W Sudanie nie jest tak strasznie.

- Nie jest tak strasznie?! - w oczach referenta pojawiła się groza. - Co też pan mówi?! U nas w Egipcie...

- Chciał pan powiedzieć: u nas w Finlandii - sprostowałem nieśmiało.

- Unas w Egipcie - powtórzył z naciskiem pan Bieganek, jakby nie słysząc mego sprostowania - przynajmniej wieczorem było czym oddychać, można się było schronić przed upałem w pokoju. - Ale tu...

Jego spocona twarz przybrała wyraz udręki.

- Tu jest piekło!

- A jak tam z pańską Norwegią? - spytałem, żeby go podtrzymać na duchu. - Jedzie pan do tej Norwegii czy nie?

Bieganek machnął ręką.

- Koledzy musieli podpuścić mi świnię, bo dotychczas nie ma żadnej odpowiedzi. Ale co tam mówić o Norwegii.

Widać było, że wyjazd do Norwegii przestał być dla niego sprawą realną. Zapomniał nawet o ukochanej Finlandii. Obecnie - po przyjeździe do Sudanu - marzył już tylko o powrocie do Egiptu.

W ten sposób gwarzyliśmy sobie z panem Biegankiem aż do wieczora. Kiedy nadszedł czas na kolację, wstaliśmy z łóżek i nieszczęsny referent zajął się doprowadzeniem do porządku swojej garderoby. Powtórzyła się moja własna historia sprzed dwóch tygodni. Pan Bieganek powiedział z zakłopotaniem:

- Chciałbym oddać do prania bieliznę, bo jest zupełnie przepona.

- Ależ oczywiście - skoczyłem ochoczo - przyprowadzę panu posługacza.

Wybiegłem na korytarz i obudziłem wysokiego, chudego służącego hotelowego, który zajmował się praniem bielizny.

Z rozkoszą słuchałem, jak pan Bieganek tłumaczył Sudańczykowi, że musi jak najprędzej mieć bieliznę z powrotem, i jak Sudańczyk odpowiadał swoim sakramentalnym „bokra”.

Potem udzieliłem memu towarzyszowi dokładnie takiego samego wyjaśnienia, jakie przed dwoma, tygodniami uzyskałem od Pawła.

- Bokra znaczy po arabsku jutro, ale w Sudanie jest trochę inaczej. Zresztą sam pan zobaczy...

Mówiąc to, czułem się jak stary doświadczony podróżny. Bo właśnie doświadczenia zaczyna się cenić dopiero wówczas, gdy można nimi imponować innym.

Późnym wieczorem, po kolacji, święciliśmy uroczyste przyjazd pana Bieganka na tarasie hotelowym.

Wieczorami taras „Grand-Hotelu” zmieniał się w najpopularniejszą kawiarnię Chartumu. Spotykał się tam cały miejscowy „wielki świat”. Widywało się wspaniałe, paryskie toalety pań z dyplomacji, eleganckie, czarne garnitury ministrów sudańskich, generalskie mundury, wytworne kolorowe galabije bogatych kupców. Na stolikach paliły się lampki w czerwonych abażurach, dokoła lampek wirowały roje maleńkich muszek „nemi”. W ogóle było bardzo nastrojowo.

Przy „polskim stoliku” zebrała się cała nasza kolonia: pan Bieganek, Paweł, ja oraz przedstawiciel „Metalexportu”, „Varimexu” i „Pagedu”. Zabawialiśmy się oczywiście kosztem nowicjusza. Ale tym razem ja byłem wodzirejem. Ja nie dopuszczałem nikogo do głosu. Ja straszylem pana Bieganka bilharcją, małymi krokodylami i „ubytkiem soli”.

Nieszczęsny referent pochłaniał olbrzymie ilości lemon-squash soda i truchlał coraz bardziej.

W momencie, kiedy namawiałem pana Bieganka, aby po raz trzeci sprawdził stan soli w organizmie, podszedł do mnie kelner z wiadomością, że jacyś dwaj ludzie czekają na mnie na ulicy.

Początkowo myślałem, że to jakaś pomyłka, lecz kelner twierdził stanowczo, że nieznajomi domagają się redaktora z Bolandy.

Trochę zaniepokojony zszedłem z tarasu. W nadbrzeżnej alei było już zupełnie ciemno. W mroku lśniły maski czekających przed hotelem limuzyn. Nad Nilem siedział nieruchomy, biały pielgrzym. Tajemniczy nastrój sudanskiego wieczoru podziałał na mnie onieśmialająco, zrobiło mi się jakoś nieswojo.

Naraz z ciemności skoczyło ku mnie dwóch ludzi w białych dżibach. W ich czarnych twarzach połyskiwały groźne białka oczu.

- Panie, tyś był dziś rano przy grobie Proroka? Tyś dał naszemu ojcu polski lek?

Serce zabiło mi gwałtownie, z mego organizmu zaczęło w przyśpieszonym tempie ubywać soli. „Na pewno coś się stało - pomyślałem w popłochu, - Może pastylki były zatrute i

Berber umarł? Teraz mahdysci przyszedli się mścić. Trzeba wołać o pomoc”.

- Lekarstwo bardzo dobre, panie - uśmiechnął się w mroku człowiek w dżibie. - Ojciec już się nie dusi. Daj więcej pastylek, panie. U nas w szpitalu nie ma.

Uff! Odetchnąłem z ulgą. Jak mogłem w ogóle myśleć o podobnych bzdurach. Niech żyje przemysł farmaceutyczny! Niech żyje „Proasthmin” - symbol przyjaźni między czytelnikami „W pustyni i w puszczy” a mahdystami! Przecież ci mahdysci to zupełnie sympatyczni ludzie. Oczywiście, że dam im pastylki, dam im całą fiolkę.

Sięgnąłem ręką do kieszeni, lecz naraz przypomniało mi się pytanie, którego w Omdurmanie nie odważyłem się zadać. Teraz była po temy świetna okazja.

- Wytłumaczcie mi jeszcze jedną rzecz - powiedziałem do ludzi w dżibach. - Do grobu Proroka przychodzą po zdrowie ludzie ślepi, głusi, sparaliżowani, kalecy. Dlaczego więc Prorok nie dopomoże dozorczy swego grobu i nie wyleczy go z astmy?

Nastąpiła chwila napiętej, denerwującej ciszy, Potem człowiek w dżibie powiedział:

- Posłuchajcie, panie, to jest tak. Przychodzi do Proroka człowiek ślepy - Mahdi mu pomoże i ślepy człowiek widzi. Przychodzi do Proroka człowiek sparaliżowany - Mahdi mu pomoże i człowiek sparaliżowany chodzi. Tak to jest, panie. Ale przychodzi do Proroka człowiek z astmą - Mahdi mu nie pomoże. Astma - to dla Mahdiego za mała sprawa, panie.

Wydało mi się, że w oczach człowieka W dżibie, przy tych ostatnich słowach, mignął jakiś figlarny błysk, lecz może było to tylko moje złudzenie. W każdym razie argumentacja do mnie przemówiła. Wyjąłem z kieszeni fiolkę z „Proasthminem” i wręczyłem ją uradowanym mahdystom.

Ja również byłem uradowany. Ostatecznie postawiłem na swoim: wprowadziłem na rynek sudański produkt polskiego przemysłu farmaceutycznego.

Z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec ojczyzny wróciłem na taras „Grand-Hotelu”, żeby dalej straszyć pana Bieganka różnymi okropnościami Sudanu.

ROZDZIAŁ X

Zwierzyna Sudanu i pan Bieganek— Referent włącza się w akcję „Staś i Nel” - Kuzyn słonia Kinga - Burza piaskowa - Potomek Proroka - Wizyta u Abdullahiego el Mahdi - Audiencja na dworze „niekoronowanego króla Sudanu” - Dobre strony „systemu bokra”

Drodzy Czytelnicy, teraz muszę się odwołać do waszej wyobraźni. Chcę, żebyście sobie dobrze wyobrazili scenę, którą wam za chwilę opiszę. Otóż na żółtym piasku prężą się dwa lamparty. Są to dwa wspaniałe, najbardziej autentyczne egzemplarze rodziny lampartów afrykańskich. Pod ich złotawo-czarną, cętkowaną skórą grają stalowe mięśnie. W przymrużonych ślepiach pełga zielony płomień, w gardzielach przelewa się głuchy pomruk. Zwierzęta są niespokojne, co chwila nerwowo ziewają. Widok ich potężnych, lśniących kłów i purpurowych języków musi obudzić grozę nawet w najodważniejszych sercach.

Naprzeciw lampartów - w odległości zaledwie paru kroków - stoją dwaj afrykańscy podróżnicy: pan Bieganek i ja. Twarz referenta jest całkowicie spokojna. Na wargach osiadł mu leciutko ironiczny uśmiezek. Bez cienia strachu patrzy pan Bieganek w okrutne ślepie drapieżników. W pewnej chwili wyciąga nie uzbrojoną rękę i wskazującym palcem zaczyna kiwać do lampartów. Książęta pustyni natychmiast reagują na prowokacyjne wezwanie. Prężą się do skoku. Ich czarne nosy marszczą się niebezpiecznie. Głuchy pomruk przechodzi w przeciągłe wycie. Za chwilę stanie się coś strasznego.

Nie, drodzy Czytelnicy, bądźcie spokojni: nic się nie stanie. Nie zdążyłem wam jeszcze powiedzieć o pewnej drobnostce. Między lampartami a panom Biegankiem i mną stoi potężna żelazna krata. Drapieżniki są zamknięte w klatce, a cała scena rozgrywa się w chartumskim ogrodzie zoologicznym.

Jesteście z pewnością oburzeni tym moim niewinnym żartem. „Autor bezwstydnie nas nabrał - mruczycie ze złością. - Do ogrodu zoologicznego możemy sobie sami pójść w Warszawie. Od ludzi wyjeżdżających do Afryki oczekujemy czego innego. Podróżnik afrykański powinien się spotykać z dzikimi zwierzętami w dżungli lub w puszczy, a nie w zwykłym ogrodzie zoologicznym”.

Nie złościście się, najmilsi, bo nie macie racji. Rzecz w tym, że chartumskie zoo nie jest zwykłym ogrodem zoologicznym.

Zaraz wam wytłumaczę, dlaczego. Przypominacie sobie zapewne te wszystkie straszne historie o Sudanie, jakie opowiadał mi pan Bieganek przed moim wyjazdem z Kairu. Pamiętacie, jak mówił, że pod okna sudańskich hoteli podchodzą nocami lamparty.

Otóż po przyjeździe do Chartumu musiałem uznać te opowiadania za zwykłą bajkę. Pod oknami „Grand-Hotelu” lampartów nie było - z tej prostej przyczyny, że w północnym Sudanie wszystkie dzikie drapieżniki, z wyjątkiem hien, szakali i wilków pustynnych, zostały już dawno wytrzebione.

A jednak gadka pana Bieganka o lampartach nie była wcale bajką. Pewnego razu wyczytałem w chartumskiej gazecie „Morning News”, że taka właśnie historia wydarzyła się przed paru dniami, w sudańskim mieście Kosti, leżącym o sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Chartumu, Gazeta donosiła, że dwa lamparty podeszły nocą pod hotel i służba hotelowa musiała je dopiero wypłaszać zapalonymi latarniami. Myślicie może, iż ta niezwykła notatka prasowa zrobiła wielkie wrażenie na chartumczykach? Nic podobnego. Nie przejęli się tym bardziej niż my, kiedy czytamy, że nocą pod którąś z naszych wsi podeszły wilki. Bo południe Sudanu - w przeciwieństwie do północy - obfituje we wszelkiego rodzaju drapieżniki.

Sudan południowy stanowi do dziś największy i najbogatszy na świecie rezerwat dzikich zwierząt. Jeżeli ma się odrobinę szczęścia, to w czasie pięciogodzinnej podróży samolotem z Chartumu do Jurny - najdalej wysuniętego na południe miasta Sudanu - można dostrzec z góry wszystkie najznamiensze osobliwości sudańskiego zwierzostanu. Stada ogromnych słoń afrykańskich, liczące często ponad sto sztuk, tyralierę długoszyich i zupełnie niepłochliwych żyraf, lwa uganiającego się za zebra, potwornego hipopotama wylegującego się na brzegu Nilu oraz wędrującego samopas rozłozszonego nosorożca. Pomniejszych przedstawicieli państwa zwierzęcego, jak: antylopy, małpy i ptaki brodzące o najdziwniejszych kształtach i barwach, spotyka się w południowym Sudanie dosłownie na każdym kroku.

Ta niesłychana obfitość zwierzyny ściąga do Sudanu w okresie od pierwszego stycznia do końca maja myśliwych z całego świata - i zmusza rząd sudański do wydawania bardzo szczegółowych przepisów łowieckich.

Departament Zwierzyny i Rybołówstwa w Chartumie wypracował skomplikowaną tabelę sezonów ochronnych oraz gatunków zwierzęcych, od których zależy wysokość opłaty za pozwolenie na prawo odstrzału. W niektórych wypadkach odstrzał jest bardzo drogi, bo kosztuje aż sześćdziesiąt funtów sudańskich. Sam sposób polowania również podlega rozmaitym ograniczeniom. Nie wolno polować z samochodu ani z żadnego pojazdu mechanicznego. Nie wolno używać przy polowaniu reflektorów ani sztucznych świateł. Nie wolno strzelać kulami zatrutymi ani wybuchowymi. W pewnych sezonach w stosunku do pewnych zwierząt nie wolno w ogóle używać broni palnej. Całkowicie wyjęte spod wszelkiej ochrony są tylko lwy, krokodyle, hieny i tym podobne drapieżniki, określane wspólnym mianem „vermin”, czyli szkodliwego obrzydlistwa.

Rząd sudański czerpie niemałe dochody z opłat za polowanie, lecz sumy te są niczym w porównaniu z korzyściami, jakie płyną z eksportu zwierzyny żywej. Sudan jest najpoważniejszym dostawcą dzikich zwierząt do ogrodów zoologicznych w innych częściach świata. Na dowód wysokiej opłacalności eksportu żywych zwierząt mogę przytoczyć wam jeden „drobny” przykład. Podczas mego pobytu w Chartumie Departament Zwierzyny sprzedał jednemu z europejskich ogrodów zoologicznych dwa białe nosorożce za okragłą sumę czternastu tysięcy funtów szterlingów, czyli przeszło dziesięciu milionów złotych polskich.

„No, dobrze - zapytacie - ale co to wszystko ma wspólnego z chartumskim ogrodem zoologicznym? Mieliśmy się dowiedzieć, na czym polega n i e z w y k ł o ś ć chartumskiego zoo. Czym ta instytucja różni się od innych ogrodów zoologicznych?”

Chwileczkę, właśnie do tego zmierzam.

Jeżeli jakiś kraj chce sprzedawać swe towary za granicę, to stara się najpierw pokazać je zagranicznym kupcom, aby ich zachęcić do kupna. U nas w tym celu urządza się corocznie Międzynarodowe Targi Poznańskie, na których wystawia się wszystkie wytwory polskiego przemysłu.

Otóż chartumskie zoo to właśnie takie Targi Poznańskie w odniesieniu do dzikiej zwierzyny Sudanu.

Ten niewielki ogród zoologiczny, mieszczący się tuż obok „Grand-Hotelu”, jest czymś w rodzaju stałej wystawy handlowej, na której zagraniczni nabywcy - dyrektorzy menażerii i cyrków z całego świata - wybierają sobie i zamawiają potrzebne okazy zwierząt.

W zoo chartumskim reprezentowane są absolutnie wszystkie gatunki zwierzyny sudańskiej. Większość jego mieszkańców - poza drapieżcami i zwierzętami szczególnie płochliwymi - przebywa w warunkach zupełnej swobody, bez żadnych klatek czy ogrodzeń.

Ale nie tylko tym różni się zoo chartumskie od europejskich ogrodów zoologicznych. Najbardziej uderzającą cechą tego miejsca jest jego atmosfera. Zwierzęta przebywające w chartumskim zwierzyńcu nie utraciły kontaktu ze światem, w którym żyły przedtem na swobodzie. Wiatr przypędza do zoo wszystkie wonie pustyni i buszu. Nocami dochodzi tu przejmujące wycie pustynnych szakali i przeraźliwy śmiech hien. Zamknięte w klatkach drapieżniki zdają sobie sprawę z bliskości rodzinnych stron. Są stale złe, czujne, napięte, gotowe do skoku na człowieka. W chartumskim zoo wyczuwa się jeszcze ciągle pierwotną dzikość dżungli. Kiedy przybysz z Europy po raz pierwszy wchodzi do tego zwierzyńca, ogarnia go mimowolny lęk.

Nie dziwcie się więc, moi drodzy, że strasząc pana Bieganka różnymi sudańskimi dziwami, musiałem zaprowadzić go także do chartumskiego zoo.

W ogrodzie zoologicznym pan Bieganek ukazał mi nową, zupełnie nieoczekiwaną cechę swej osobowości. W niepokąznym ciele płacznego referenta drzemały instynkty urodzonego trapera puszczy dziewiczych i nieustraszonego łowcy dzikiej zwierzyny.

Natychmiast po przekroczeniu bramy chartumskiego zoo pan Bieganek poczuł się jak u siebie w domu.

Szeroko rozdętymi nozdrzami wchłaniał zapachy dzikich zwierząt. Jego ostrożny zazwyczaj chód nabrał tygrysięj zwinności. W krótkowzrocznych oczach pojawiały się jakieś niebezpieczne błyski.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na zwierzynę hasającą na swobodzie ani na drobniejsze drapieżniki - zaciągnął mnie od razu przed klatkę najdzikszych lampartów i tam zatrzymał się na dłuższy postój.

Dumnie wyprostowany przyglądał się bez zmrużenia oka szalejącym za kratami bestiom i poskramiał je wzrokiem zdobywcy. Była to scena zaiste wspaniała i do dziś nie mogę jej zapomnieć. Nie dziwcie się więc, że umieściłem ją na początku rozdziału.

Niestety, pan Bieganek nie ograniczył się tylko do pojedynku wzrokowego z lampartami. Jego niewyżyty instynkt traperski domagał się niebezpieczeństw. Z braku czegoś lepszego zabrał się więc do drażnienia cętkowanych bestii. Kiwał do nich palcem, wymachiwał rękami, wrzucał im do klatek kamyczki.

Po piętnastu minutach takiej zabawy zdenerwowane zwierzęta popadły w stan zupełnej hysterii. Miotły się po klatce jak wściekłe, wodząc rozjarzonymi ślepiami za ruchem rąk referenta. Zacząłem się zupełnie poważnie obawiać, że może dojść do wyłamania krat i do krwawego odwetu. Kiedy przestrzegłem przed tą ewentualnością pana Bieganka, wpłynęło to natychmiast na ostudzenie jego myśliwskich zapałów. Stwierdził nagle, że ma już dość lampartów, i pośpiesznie odciągnął mnie od niebezpiecznej klatki.

Potem zatrzymaliśmy się przed zagrodą słońca. Był to ogromny słoń afrykański, o wiele większy od tych, które widuje się w europejskich ogrodach zoologicznych. Miał maleńkie, złośliwe oczka i potwornie wielkie uszy, którymi wachlował się bez przerwy. W chwili kiedy podeszliśmy do zagrody, zajęty był spożywaniem śniadania. Załatwiał to systemem „baru samoobsługowego”. Rolę bufetu spełniały rosnące w zagrodzie drzewa „kielbasiane”. Podługne, suche i gąbczaste owoce tych drzew używane są w Polsce jako tak zwane „myjki” do kąpieli, natomiast słońce sudańskie uważają je za wyborną przekąskę. Świadczyło o tym dobitnie zachowanie się szarego kolosa z chartumskiego zoo. Lekкими ruchami trąby strącał z drzewa po dwie lub cztery „myjki” i pochłaniał je w mgnieniu oka.

Widok odżywiającego się słońca przypomniał mi coś bardzo znajomego. Zanim jednak

zdażyłem wymówić słowo, wyręczył mnie pan Bieganek. Przyjrzał się bacznie zwierzęciu i oświadczył z powagą:

- Ten słoń to na pewno jakiś krewny Kinga z „W pustyni i w puszczy”.

Podziękowałem referentowi za te słowa ciepłym spojrzeniem. A więc jeszcze jeden partner do wędrówek śladami Stasia i Nel!

- To pan także czytał „W pustyni i w puszczy”?

- Za kogo pan mnie ma? - obraził się pogromca lampartów. - Pewno, że czytałem. Wprawdzie bardzo dawno, kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, ale ja mam doskonałą pamięć. Jak w konsulacie trzeba sobie coś przypomnieć, to od razu przychodzą do Bieganka. Ja wszystko pamiętam. Ten słoń to na pewno krewny Kinga. Wystarczy spojrzeć na jego wzrost.

- Ależ panie Bieganek - uśmiechnąłem się pobłaźliwie. - Skąd ta pewnoś? Przecież w Sudanie jest niezliczone mnóstwo słońi, więc...

- Nie ma ich już wcale tak wiele - przerwał mi referent tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- A ponadto, panie redaktorze, ze zwierzętami jest podobnie, jak z ludźmi. Gwarantuje panu, że gdybyśmy pogrzebali głębiej w naszych stosunkach rodzinnych okazałoby się, że my także jesteśmy z sobą spokrewnieni.

Wobec takiego argumentu musiałem ustąpić. Nie wypadało przecież klócić się z... kuzynem.

Zresztą olbrzym z chartumskiego zoo - niezależnie od swego wątpliwego pokrewieństwa z sienkiewiczowskim Kingiem - i tak miał wiele wspólnego z powieścią „W pustyni i w puszczy”. Był przecież z dziada pradiada słońiem sudańskim, a sudańskie słońie przyczyniły się w poważnym stopniu do... wybuchu powstania Mahdiego.

Nie wierzycie? To posłuchajcie.

Słońie, jak wiecie, mają ogromne kły, które po obróbce stają się drogocennym surowcem, zwanym „kością słoniową”. Dzisiaj kość słoniowa utraciła już swoją dawną wartość, ponieważ można ją z powodzeniem zastępować tworzywami sztucznymi. Ale przed osiemdziesięciu laty, kiedy tworzyw sztucznych nie znano, kły słońi były największym bogactwem Afryki i stanowiły najbardziej upragniony łup dla wszelkich myśliwych. Bo z kości słoniowej wyrabiano dwie rzeczy, bez których ludziom w Europie trudno się było obejść: klawisze do fortepianów i kule do gry w bilard.

Po to, żeby mieszkańcy Europy mogli sobie grywać na fortepianie i zabawiać się bilardem, w Sudanie południowym corocznie zabijano setki, a nawet tysiące słońi.

Chartum był wówczas główną kwaterą handlarzy kością słoniową. Zjeżdżały do tego miasta na łatwy zarobek całe rzesze awanturników z Europy i Egiptu. Łowca słońi organizował

sobie w Chartumie bandę złożoną z dwustu lub trzystu uzbrojonych ludzi, ładował ją na łodzie nilowe - i ruszał z nią w górę rzeki na kilkumiesięczne łowy do południowego Sudanu.

Polowania na słonie nie ograniczały się tylko do słoni. Przy okazji chwymano także niewolników, zabijano opornych, niszczone wsie i dobytek krajowców. Zyski z tych wypraw sięgały milionów dolarów, samej kości słoniowej zwożono rocznie do Chartumu około dwustu tysięcy kilogramów.

Razem ze słoniami cierpiał cały Sudan. Wyprawy po kość słoniową były dla Sudańczyków gorsze od najgorszych wojen. Kiedy więc pojawił się Mahdi i wezwał lud do walki z chartumskimi kupcami i ich białymi wspólnikami - poszli za nim wszyscy. Zaczęło się od słoni, a skończyło się na powstaniu.

Wyłożyłem panu Biegankowi całą tę historię, a on tylko głową pokiwał.

- No, widzi pan, redaktorze. Przecież od razu mówiłem. Gdyby nie przodkowie tego słoniątka, nie doszłoby w ogóle do wybuchu powstania Mahdiego. A gdyby nie było powstania Mahdiego, nie byłoby także „W pustyni i w puszczy”. Mam rację czy nie mam racji?

I nie czekając na odpowiedź, referent wspiął się na palce, żeby pogłaskać „słoniątko”, które - nieświadome swoich zasług wobec literatury polskiej - najspokojniej konsumowało „myjki” z drzewa kielbasianego.

Przy wyjściu z zoo pan Bieganek złożył mi coś w rodzaju uroczystej deklaracji.

- Bardzo mi się podoba, redaktorze - powiedział - pańska akcja tropienia śladów Stasia i Nel. Zgłaszam mój pełny akces. Od dziś może pan na mnie liczyć. Oddaję panu do dyspozycji cały czas wolny od zajęć służbowych. Pańscy czytelnicy na pewno źle na tym nie wyjdą. Bieganek potrafi jeszcze niejedno odkryć w tym piekielnym Sudanie.

I rzeczywiście, pan Bieganek miał szczęśliwą rękę. W dwa dni po wizycie w zoo znowu wydarzyło się coś, co przypomniało nam „W pustyni i w puszczy”.

Po obiedzie wybraliśmy się na krótki spacer. Referent chciał trochę pochodzić po sklepach i popytać się o ceny rozmaitych towarów.

Przechadzka była bardzo interesująca, gdyż prawie każdy sklep chartumskiego śródmieścia reprezentuje inną narodowość. Zakłady fotograficzne należą tam do Ormian, sklepy odzieżowe i tekstylne do Syryjczyków i Hindusów, handel spożywczy i apteki pozostają w rękach Greków.

Po odwiedzeniu kilkunastu sklepów zatrzymaliśmy się przed zakładem fryzjersko-kosmetycznym, noszącym dumną nazwę „Salon piękności Sokratesa” - i pan Bieganek wyraził chęć ogolenia się. Próbowałem go odwieść od tego niewczesnego zamiaru, lecz referent był człowiekiem upartym i moje perswazje nie odniosły żadnego skutku.

Ponieważ w „Salonie piękności Sokratesa” było nieznośnie duszno, postanowiłem zaczekać na pana Bieganka na dworze. Usiadłem na ławeczce w cieniu rozsuniętej markizy i od razu popadłem w leniwe odrętwienie. Pogoda była iście sudańska. Czterdzieści dwa stopnie w cieniu. Niebo oślepiało słońcem, powietrze drgało od upału.

Po piętnastu minutach czekania przerwał mi drzemkę jakiś gwar. Na rozległym placu, otoczonym ze wszystkich stron sklepami, coś się działo. Ludzie gromadzili się w niespokojnych grupach, wymieniali między sobą jakieś okrzyki i wskazywali rękami w stronę Nilu. Zorientowałem się, że przyczyną ogólnego zdenerwowania było pojawienie się na horyzoncie małej, czarnej chmurki.

Kiedy wyciągnąłem szyję, żeby lepiej przyjrzeć się temu zjawisku, z „Salonu piękności Sokratesa” wyszedł pan Bieganek. Był ogolony, wyświeżony i pachniał lawendą.

Kazałem mu spojrzeć w stronę Nilu. Mała chmurka zdążyła się już zmienić w dużą chmurę i pędziła ku nam z zastraszającą szybkością.

Pan Bieganek lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego. Nadciągają chmury, więc będzie deszcz. U nas w Egipcie...

- Panie Bieganek, jestem już od trzech tygodni w Sudanie i nie widziałem tu jeszcze ani razu najmniejszej chmurki. Z tego na pewno będzie jakaś heca. Zresztą niech pan spojrzy na ludzi, jacy niespokojni.

- Arabowie są zawsze niespokojni. Nie ma się czym przejmować. Wracamy do hotelu.

Na upór nie było rady. Ludzie uciekali do sklepów i domów, my szliśmy przez pustoszejący plac w kierunku bulwaru nadbrzeżnego. Po drodze zatrzymałem jakiegoś biegnącego wyrostka, żeby się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Chłopiec odkrzyknął mi tylko jednym słowem: - Habub! – i pobiegł dalej. Słowo zabrzmiało mi znajomo, słyszałem je z pewnością przy „polskim stoliku” od któregoś z naszych handlowców. Ale nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć, co się za nim kryło.

Spróbowałem jeszcze raz perswazji,

- Panie Bieganek, nie pamiętam, co znaczy habub, ale to z pewnością coś bardzo nieprzyjemnego. Schowajmy się lepiej do sklepu Morghika. Napijemy się lemon-sguash soda. Co panu szkodzi?

Pogromca Lampartów zmierzył mnie spojrzeniem pełnym pogardy.

- Ja nie jestem z tych, co się chowają. Niech pan innych straszy swoim habubem. Idziemy do hotelu, mam do napisania kilka sprawozdań.

I poszliśmy dalej - naprzeciw nadciągającej czarnej chmurze. Habub dopadł nas na

małym placyku tuż przy alei nadbrzeżnej. W jednej chwili zerwał się wściekły huragan, wzniesając wszędzie gęste tumany piasku. Wokoło zrobiło się zupełnie ciemno. Na środku placyku zawirowała wyjąca trąba piaskowa. Wichry biły nas po twarzach, podcinał nam nogi, napelniał nam piaskiem oczy, uszy i nosy. Biegając, krzycząc, przewracając się co chwila, dobrnęliśmy ostatnim wysiłkiem do wielkich akacji nadbrzeżnego bulwaru. Tam - przytuleni do potężnego pnia, osłaniając dłońmi twarze - przetrwaliśmy dziesięć minut prawdziwego piekła.

Po dziesięciu minutach szaleńczych harców habub umilkł tak samo nagle, jak się rozpuścił, i znowu zajaśniała wspaniała, słoneczna pogoda.

Odjąłem dłonie od oczu i z ciekawością rozejrzałem się za moim towarzyszem. Nieszczęsny referent tak przylgnął do pnia akacji, że wyglądał zupełnie jak drewniana płaskorzeźba.

- Panie Biegane - zawołałem wesoło - przypomniałem już sobie, co znaczy słowo habub. To sudańska burza piaskowa - taka sama, jak ta, z którą na pustyni spotkali się Staś i Nel. Ja już od trzech tygodni czekam na taką burzę, a pan przyjechał i od razu jest. Ależ pan ma szczęście, człowieku!

- Szczęście?! - zmaltretowany urzędnik odkleił się z trudem od pnia i spojrzał na mnie wzrokiem zarzynanego koguta. Potem długo i starannie wypluwał z siebie piasek. - Tak, ja mam szczęście. Właśnie tak wygląda moje szczęście!

Ale w drodze do hotelu pan Biegane poweselał. Wróciła mu cała fantazja i nawet zaczął sobie pogwizdywać.

- Jak pan to powiedział, redaktorze? - zagadnął mnie w pewnej chwili. - Uważa pan, że n a s z habub był zupełnie taki sam, jak tamta burza w „W pustyni i w puszczy”?

- No, chyba niezupełnie taki sam - sprostowałem z obowiązku dziennikarskiego. - Spotkanie z burzą piaskową na pustyni jest zawsze trochę niebezpieczniejsze niż w mieście. Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Źle się panu zdaje, redaktorze - obruszył się Pogromca Lampartów. - W mieście jest o wiele niebezpieczniej. W mieście człowiek się może rozbić o drzewo albo o dom, a na pustyni nie ma ani drzew, ani domów. Reporterzy powinni o tym wiedzieć.

I pan Biegane zaczął jeszcze głośniejsze gwizdać i jeszcze wyżej zadarł głowę. Widać było, że czuje się jak bohater sienkiewiczowskiej powieści.

Po powrocie do hotelu stwierdziliśmy, że w naszych pokojach - mimo zamkniętych okien - wszystko było pokryte pyłem lotnego piasku. Pan Biegane próbował nawet zrobić z tego powodu awanturę, twierdząc, że w czasie naszej nieobecności ktoś wszedł do pokoi i

pootwierał okna, ale szybko nam wytłumaczono, że sudańskiemu habubowi niepotrzebne są takie ułatwienia, ponieważ umie w jakiś niewytłumaczony sposób przenikać nawet do najszczelniej zamkniętych pomieszczeń.

Ale spotkanie z habubem nie było jedynym ciekawym przeżyciem tego dnia. Wieczorem, przed samą kolacją, przytrafiło nam się jeszcze jedno spotkanie - zupełnie innego rodzaju, lecz niemniej interesujące.

Stało się to na tarasie „Grand-Hotelu”. Siedzieliśmy tam z panem Biegankiem i, czekając na kolację, popijaliśmy tradycyjne lemon-sguash soda. Paweł i handlowcy odpoczywali jeszcze na górze, a na tarasie, jak zwykle o tej porze, było raczej pustawo. Mimo to wyczułem od razu, że wśród obsługi hotelowej panuje atmosfera jakiegoś szczególnego napięcia. Wszyscy kelnerzy i boye tkwili na swoich posterunkach między pustymi stolikami, a na ich twarzach malował się wyraz uroczystego skupienia.

Zapytałem znajomego kelnera w zielonej szarfi, czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Służący wyjaśnił mi, że w bocznej sali bankietowej, sąsiadującej z tarasem, odbywa się jakieś ważne, prywatne przyjęcie i wszyscy czekają na jego zakończenie, bo przedtem nie można rozpocząć wydawania kolacji.

W pewnej chwili drzwi sali bankietowej, otwały się szeroko i wyszło stamtąd kilkanaście osób. Kelnerzy i posługacze sformowali natychmiast szpaler, zginając się w pełnych szacunku ukłonach, a nieznane towarzystwo przedelfilowało przez ten szpaler w kierunku wyjścia z hotelu.

Cała ta ceremonia trwała dobre kilka minut, mogliśmy więc dokładnie przyjrzeć się wychodzącym. Byli to wszystko Sudańczycy, należący prawdopodobnie do „wielkiego świata” Chartumu. Większość z nich ubrana była po europejsku, dwóch nosiło mundury wyższych wojskowych. Ale centralną postacią całej grupy był człowiek odziany w tradycyjny strój arabski. Do niego odnoszono się z największym szacunkiem, jemu kłaniano się najniżej i on przede wszystkim przyciągnął moją uwagę

Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku, o imponującej postawie i twarzy nacechowanej dumą i rozumem. Z każdego jego ruchu i gestu przebijała pewność siebie, pańskość i przyzwyczajenie do rozkazywania. Jego tradycyjny strój odznaczał się wyjątkową elegancją. Nosił galabiję z cienkiej materii o barwie ametystu oraz również ametystowy turban spięty drogocenną broszą. Na galabii błyszczał dhigi naszyjnik z jakichś szlachetnych kamieni.

Natychmiast po przejściu tajemniczego towarzystwa przywołałem kelnera w zielonej szarfi i spytałem go, kim. był człowiek w ametystowej galabii. Kelner spojrzał na mnie - jakby zdziwiony tym, że można pytać o rzeczy tak oczywiste - po czym skłonił z uszanowaniem

głowę i szepnął:

- To był Matuli, panie.

- Mahdi? - nie zrozumiałem w pierwszej chwili.

- Jak to Mahdi?! - oburzył się pan Bieganek. - Co wy tu sobie żarty z gości stroicie?

Proszę przynieść mi książkę zażaleń.

- Niech się pan nie denerwuje, panie Bieganek - odzyskałem wreszcie przytomność. - To był naprawdę Mahdi. Ale nie ten z „W pustyni i w puszczy”, tylko syn jego - sir Abdel Rahman el Mahdi.

Ale służący w zielonej szarfi, który stał jeszcze przy naszym stoliku i słyszał moje słowa, potrząsnął z uśmiechem głową.

- Nie, panie, to nie był syn Proroka. Sir Sayed Abdel Rahman rzadko już opuszcza swój pałac chartumski. To był bratanek Sayed Abdel Rahmana, Sayed Abdullahi el Mahdi - wnuk Proroka. On mieszka w Omdurman. Bardzo wielki kupiec, bardzo wielki pan.

Trochę byłem zły, że nie udało mi się w pełni zaimponować panu Bieganekowi moimi informacjami, lecz wynagrodził mi to fakt odkrycia jeszcze jednego potomka Proroka.

- Widzi pan, panie Bieganek, jest aż dwóch Mahdich: sir Sayed Abdel Rahman - syn i Sayed Abdullahi - wnuk. A pan od razu wyjeżdża z książką zażaleń!

Referent aż chrząknął z wielkiego podniecenia.

- Wnuk Mahdiego z „W pustym i w puszczy”. No, wie pan! Coś podobnego, nigdy bym nie uwierzył.

Tym razem był wyraźnie wstrząśnięty. Bo Mahdich - jako żywo - nie było ani w Egipcie, ani w Finlandii.

Od owego wieczoru ogromnie się rozpalił do spraw „W. pustyni i w puszczy” i ciągle mnie męczył, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o potomkach Proroka. Nie było rady: musiałem go zaprowadzić na postój taksówek przy pomniku Gordona - do mego przyjaciela, kierowcy Idrysa.

Idrys początkowo nie chciał rozmawiać o Mahdich gdyż był ich przeciwnikiem politycznym, uważał ich za feudałów i reakcjonistów. Na koniec jednak uległ naszym prośbom i opowiedział nam historię głowy tego rodu, Abdel Rahnana el Mahdiego, syna Proroka.

- Widzisz, panie, to było tak - zaczął swoją opowieść. - Po bitwie omdurmańskiej generał Kitchener kazał rozstrzelać wszystkich synów Proroka. Było wielkie polowanie na ludzi i wielki sąd, panie. Trwało tak kilka miesięcy, a potem dali spokój, bo myśleli, że zabili już wszystkich. Aż tu jednego dnia, panie, przed sąd generała Kitchenera zgłasza się nieznana kobieta sudańska z trzynastoletnim chłopcem. Nikt nie wiedział, panie, kim ona była, bo twarz

miała zakrytą. Dopiero kiedy ściągnęła zasłonę, ludzie poznali piękną Magbulę - ostatnią, najukochańszą żonę Proroka. I Magbula podeszła ze swym synem do generała Kitchenera i krzyknęła mu prosto w twarz: „Zabiłeś wszystkich, to jego zabij także! To jest Abdel Rahman - ostatni syn Mahdiego!”

Ale wielki sąd już się skończył panie. I generał Kitchener nie zabił Abdel Rahmana, tylko zesłał go z matką na bezludną wyspę na Nilu. A tam przyjeżdżali do niego po kryjomu mahdyści i oddawali mu cześć. I potem Abdel Rahman został głową wszystkich mahdyków sudańskich.

Z dalszego opowiadania kierowcy dowiedzieliśmy się, że okupanci brytyjscy przez wiele lat prześladowali syna Proroka, ale później całkowicie zmienili do niego stosunek i zaczęli go obsypywać łaskami.

Nadali mu ogromne dobra ziemskie, a nawet obdarzyli go angielskim tytułem szlacheckim „sir”.

Zmiana wynikała stąd, że przywódca mahdyków nie lubił wprawdzie Anglików, lecz był także zdecydowanym wrogiem Egiptu. Anglikom to bardzo odpowiadało, gdyż obawiali się zawsze przyjaźni między dwoma największymi narodami arabskimi Afryki. Idris natomiast uważał, że wszystkie narody afrykańskie powinny być ze sobą solidarne, i nie mógł przebaczyć sir Abdel Rahmanowi jego antyegipskiej polityki.

- No, dobrze - powiedziałem po wysłuchaniu tej historii - ale oprócz sir Abdel Rahmana jest jeszcze jeden Mahdi.

- Mahdich jest dużo, panie. Sayed Abdel Rahman ma synów, bratanków i wnuków. Ale ważnych Mahdich poza nim jest tylko dwóch: jego syn i następca, Sayed Saddik el Mahdi, i jego bratanek, Sayed Abdullahi el Mahdi, najbogatszy kupiec w całej Afryce. To bardzo potężny ród, panie. Ludzie mówią, że sir Abdel Rahman chce zostać królem Sudanu. On ma wielką siłę, panie. Na każde jego wezwanie do Chartumu zjeżdża natychmiast czterdzieści tysięcy zbrojnych jeźdźców z prowincji Dar Fur i Kordofan. To nie są żarty, panie.

- Czterdzieści tysięcy zbrojnych jeźdźców! - wykrzyknął zdumiony i upojony pan Bieganek. - Ależ to prawdziwa potęga!

- Tak, to potęga, panie - potwierdził niechętnie kierowca.

Rozmowa z Idrysem wywarła na panu Bieganku wielkie wrażenie. Wizja człowieka, który był synem Mahdiego z „W pustyni i w puszczy” i miał do swej dyspozycji czterdzieści tysięcy uzbrojonych pustynnych jeźdźców - całkowicie opanowała wyobraźnię referenta. Oświadczył, że nie wyjedzie z Sudanu, dopóki nie pozna sir Abdel Ratimana osobiście. Zwróciliśmy się w tej sprawie do Pawia.

- Słuchaj, Bwana Kubwa - powiedziałem do niego. - Jesteś taki ważny, więc pokaż, co potrafisz. Zrób coś, żebyśmy mogli się spotkać z sir Abdel Rahmanem el Mahdi.

Paweł zaczął się śmiać.

- Czyś ty oszalał, chłopie? Czy ty wiesz, kto to jest sir Abdel Rahman el Mahdi? To niekoronowany król Sudanu, do niego się trudniej dostać niż gdzie indziej na dwór królewski. A może ty chcesz także, żeby ci załatwić prywatną wizytę u króla angielskiego w Londynie i u papieża w Rzymie? Mów, mów, chłopie, nie krępuj się. Takie rzeczy najlepiej załatwia się hurtem!

Ale ja, nie zrażony dowcipami przyjaciela, nalegałem dalej.

- Musisz nam pomóc, Bwana Kubwa. To twój święty obowiązek jako czytelnika „W pustyni i w puszczy”. Pomyśl, z jakim czołem powrócę do redakcji, jeżeli nie uda się zobaczyć na własne oczy syna Mahdiego. Nie możesz mnie narazić na taki wstyd. Znasz różnych kupców chartumskich. Oni znają z pewnością Abdullahiego el Mahdi. Od wnuka do syna już droga prosta. Postaraj się, popróbuj.

Paweł wpadł we wściekłość.

- Mówiłem już ci wiele razy, że nie przyjechałem do Sudanu dla zabawy jak ty. Z kupcami chartumskimi załatwiam ważne interesy i nie będę im zawracał głowy twoimi zwariowanymi zachciankami. Proszę cię, odczep się ode mnie!

Wybiegł z pokoju i tak trzasnął za sobą drzwiami, że aż szyby zadzwoniły w oknach.

- No i cóż pan najlepszego zrobił, redaktorze? - jęknął pan Bieganek. - Zdenerwował pan tylko niepotrzebnie dyrektora. Teraz z wizyty u Mahdiego zupełny klops.

- Spokojna głowa, panie Bieganek, ja znam mego kolegę. Wszystko będzie dobrze!

I rzeczywiście, nie omyliłem się. W trzy dni po opisanej rozmowie Paweł powrócił wieczorem z miasta w wyśmienitym humorze. Na powitanie tak mnie rąbnął w ramię, że aż się zgiąłem w pół. Ale warto było się zgiąć, żeby usłyszeć to, na co czekaliśmy.

- Słuchajcie mnie uważnie, tropiciele śladów Stasia i Nel! Słuchajcie mnie, amatorzy sudańskiej egzotyki! - grzmiał rozpromieniony Bwana Kubwa. - Mam dla was dobrą nowinę. Jutro od samego rana pakujemy się w strój wizytowy i walimy do Omdurmanu do jaśnie wielmożnego Abdullahiego el Mahdi. Stamtąd z nim razem do Chartumu na dwór jaśnie oświeconego Abdel Rahmana el Mahdi!

Pan Bieganek z wrażenia pobladł, ja pochyliłem nisko czoło przed Pawłem.

- Jesteś wielkim kozakiem, Bwana Kubwa, ale powiedz nam, w jaki sposób to załatwiłeś?

- Poznałem pewnego kupca włoskiego, który jest doradcą handlowym Abdullahiego el

Mahdi. On będzie naszym wprowadzającym. Abdullahi interesuje się podobno Polską i od razu zgodził się nas przyjąć, a następnie zawieźć na dwór stryja. Przyśle po nas swój samochód.

Nazajutrz zerwaliśmy się z łóżek skoro świt i zaczęliśmy się gorączkowo przygotowywać do wizyty.

Najwięcej kłopotu mieliśmy ze strojami wizytowymi. Obowiązujący w Sudanie strój wizytowy składa się z długich, czarnych spodni, białej koszuli z długimi rękawami i wysokim kołnierzykiem oraz z czarnego krawata. U sudańskich elegantów wszystko to jest oczywiście uszyte z najcieńszych tropikalnych materii i przystosowane do warunków klimatycznych.

Niestety, w naszych walizach takich strojów nie było - musieliśmy je więc skombinować własnym przemysłem. Zamiast lekkich szortów i przewiewnych koszulek siatkowych trzeba było wciągnąć na siebie długie, grube spodnie z naszych europejskich garniturów i zwykle warszawskie koszule z długimi rękawami. Nie macie pojęcia, jaką męczarnią jest taki ubiór przy sudańskim upale. Jeszcze przed zawiązaniem krawata byłem zupełnie mokry, a pan Bieganek pojękiwał rozpaczliwie, że nie Staś i Nel, lecz on jest prawdziwą ofiarą okrucieństw mahdystowskich.

Punktualnie o dziewiątej przed hotel podjechała ogromna, czarna limuzyna marki „rolls-royce” i wysiadł z niej włoski doradca handlowy Abdullahiego el Mahdi. Ku naszej wściekłości kupiec odziany był w tropikalne szorty i przewiewną koszulkę z krótkimi rękawami. Ale cóż: jego, jako bliskiego współpracownika Mahdich, nie obowiązywał ceremonialny strój wizytowy.

Znaną mi drogą przez most na Białym Nilu ruszyliśmy do Omdurmanu - tym razem do Mahdiego żywego.

Sayed Abdullahi przyjął nas w swym omdurmańskim pałacu z nilowego mułu. Dom był wielki, imponujący i uwijał się po nim cały tłum milczącej służby w białych szatach.

Przez dłuższą chwilę kazano nam czekać w obszernej poczekalni, przypominającej nieco poczekalnie naszych prowincjonalnych teatrów. Kiedy zaczęliśmy się już trochę niecierpliwie przedłużającym się czekaniem, w głębi domu rozległ się zmieszany gwar i zatupotały kroki. Potem drzwi otwarły się szeroko i do sali wszedł gospodarz.

Poznałem go natychmiast. Tym razem nie miał na sobie wytworzonego stroju o barwie amellystu i drogocennych ozdób - nosił luźną domową galabije i zwykły biały turban. Ale z jego wyniosłej postaci promieniowała ta sama siła, pewność siebie i majestat. Towarzyszyła mu spora gromadka dworzan i zauszników. Ludzie ci ciągle zaglądali w oczy pana i co chwila poprawiali i wygładzali fałdy jego galabii. Widać było, że każde zetknięcie z szatą przedstawiciela świętej rodziny sprawia im prawdziwą rozkosz.

Sayed Abdullahi przywitał nas uprzejmie, po czym gestem ręki odprawił swój dwór, a nas zaprosił do pokoju na śniadanie.

Jesteście z pewnością ciekawi, czym wnuk Proroka z „W pustyni i w puszczy” poczęstował europejskich gości. Muszę wam zgotować gorzkie rozczarowanie. W śniadaniu nie było nic egzotycznego. Jedliśmy smażone kurczęta z mizerią i zimny kompot z jakichś słodkich owoców. Potem podano nam znakomitą kawę w maleńkich filiżaneczkach. Stół i krzesła w jadalni także były zwyczajne, a rozmowa przy stole nie miała nic wspólnego z nastrojem „W pustyni i w puszczy”.

Sayed Abdullahi rozmawiał przeważnie z Pawłem. Interesował się różnymi sprawami gospodarczymi, dopytywał się, czy Polska produkuje samochody, prosił o dostarczenie mu prospektów Targów Poznańskich, o których słyszał już poprzednio.

Abdułlahi el Mahdi nie znał żadnego europejskiego języka i rozmowę prowadził za pośrednictwem tłumacza. Tłumaczem był jego syn - młody absolwent Akademii Handlowej w Aleksandrii. Prawnuk Proroka nosił się już zupełnie po europejsku, władał znakomicie angielskim i francuskim, a jego swobodny i nowoczesny sposób bycia wyraźnie odbijał od feudalnego dostojeństwa ojca.

Monotonną atmosferę śniadania urozmaiciło nieco zachowanie się pana Bieganka. Referenta znudziła tematyka gospodarcza i postanowił wnieść do rozmowy jakieś żywe akcenty. Zapytał więc gospodarza wprost, dlaczego w jego wielkim i ludnym pałacu nie widzi się wcale kobiet.

Paweł skarcił go za to ostrym spojrzeniem, ja kopnąłem go lekko pod stołem, ale Sayed Abdullahi nie dopatrywał się w tym pytaniu niczego niestosownego. Za pośrednictwem syna wyjaśnił panu Biegankowi, że sudańskie kobiety mieszkają w osobnej części domu i nie pokazują się nigdy obcym. Syn, po przetłumaczeniu słów ojca, dodał od siebie z uśmiechem, że tego zwyczaju przestrzega się tylko w domach wiernych starym tradycjom. Obecnie w Sudanie jest już wiele kobiet, które nie tylko że pokazują się obcym, lecz ponadto pracują w biurach, studiują, są lekarzami, adwokatami i inżynierami.

Pan Bieganek, rozzuchwalony pierwszym sukcesem, spytał bezczelnie, czy to prawda, że Sayed Abdullahi ma kilka żon. Usłyszawszy to pytanie, zdrętwiałem, a Paweł omal się nie udławił kostką kurczęcia. Ale i ten wybryk uszedł referentowi bezkarnie. Gospodarz uśmiechnął się wyraźnie ubawiony i odrzekł krótko:

- Europejczyków śmieszy, że my mamy po kilka żon. Zapewniam was jednak, że my z kilkoma żonami łatwiej sobie radzimy niż wy z jedną.

Absolwent akademii aleksandryjskiej znowu dyskretnie uzupełnił wypowiedź ojca:

- Teraz w Sudanie młodzi ludzie coraz częściej odchodzą od zasady wielożeństwa.

Te wyjaśnienia dwóch pokoleń zaspokoily widocznie nieokielznaną ciekawość pana Bieganka, gdyż więcej już głosu nie zabrał i rozmowa znowu przeszła na sprawy gospodarcze.

Całe to śniadanie było tak różne od wszystkiego, co sobie wyobrażałem jadąc do Omdurmanu, iż co chwila musiałem się szczypać w ramię, aby się przekonać, że nie śnię i że ci dwaj elegancy panowie, dopytujący się o różne szczegóły Międzynarodowych Targów Poznapskich, to naprawdę potomkowie pustynnego Proroka z powieści „W pustyni i w puszczy”.

Po śniadaniu przeszliśmy do gabinetu Sayed Abdul-lahiego i tam już było inaczej. Urządzenie tego pokoju stanowiło dziwną mieszanię europejskiej nowoczesności z arabską dawnością.

Na biurku wnuka Proroka stał ultranowoczesny, jasnozielony aparat telefoniczny, ale nad aparatem wisiała na ścianie wspinała stara szabla arabska w pochwie ze srebrnego filigranu²⁷ - dar Ibn Sauda, króla Arabii Saudyjskiej.

Najciekawsze jednak były fotografie, Sayed Ab-dullahi widocznie lubił się fotografować i na ścianach wisiało ich całe mnóstwo. Przeważnie przedstawiały różne momenty z życia gospodarza. Sayed Abdullahi w Egipcie z prezydentem Nasserem. Sayed Abdullahi z Wielkim Muftim Jerozolimy. Sayed Abdullahi z królem Ibn Saudem. I tak dalej, i tak dalej.

Ale zdjęcia z lat ostatnich mniej mnie interesowały. Od pierwszej chwili cała moja uwaga skupiła się na fotografii: najstarszej, pochodzącej zapewne sprzed lat bez mała osiemdziesięciu. Ta niewielka fotografia - wyblakła i niewyraźna - wisiała na osobnym honorowym miejscu. Przedstawiała jednego tylko człowieka. Był to młody, niewysoki mężczyzna w prostej, białej dżibie i okrągłej, białej krymce na głowie. Jego pełna, uśmiechnięta twarz, otoczona wąziutkim półkolem zarostu, tchnęła mądrością i dobrocią. Domyśliłem się od razu, kogo wyobrażało zdjęcie, i doznałem silnego wzruszenia.

Tak, to był on - Mahdi z „W pustyni i w puszczy”.

Ubogi syn rzemieślniczy z Dongoli, Mohammed Ahmed, który przybrał przed światem imię Mahdiego, wysłańca Boga - aby podnieść sudański lud do walki z kolonizatorami. Zdjęcie pochodziło prawdopodobnie z ostatnich lat przed wybuchem powstania, kiedy Prorok na białym wielbłądzie Debelan objeżdżał prowincje Dar Fur i Kordofan, obiecując Sudańczykom chleb i sprawiedliwość bożą. Stara fotografia z pewnością nie kłamała. Mahdi nie mógł być

²⁷ Przedmiot wykonany z drucików złotych, srebrnych, miedzianych lub żelaznych.

okrutnikiem ani porywaczem dzieci. Na zdjęciu był taki sam, jak w opowiadaniu kierowcy Idrysa. Ale jak bardzo to stare zdjęcie różniło się od portretu nakreślonego „W pustyni i w puszczy”!

Z rozmyślań nad starą fotografią wytrącił mnie dzwonek zielonego aparatu. Telefon odebrał absolwent akademii Aleksandryjskiej. Przez chwilę rozmawiał po arabsku, po czym podszedł do ojca i szepnął mu coś do ucha. Sayed Abdullahi el Mahdi podniósł się z fotela.

- Telefonowano z Pałacu. Sir Abdel Rahman gotów jest panów przyjąć.

W pół godziny potem czarny „rolls-royce” dostawił nas przed bramę okazałego pałacu Mahdich w centrum Chartumu.

Cała ulica przed rezydencją i ogromny, głęboki dziedziniec wypełnione były gęstym tłumem białych dżib i galabii. Sayed Abdullahi wyjaśnił nam, że to pielgrzymi z różnych stron kraju czekają na posłuchanie u najwyższego przywódcy mahdystowskiej sekty religijnej ansard.

Przebicie się przez tłum nie było rzeczą łatwą. Towarzystwo Sayed Abdullahiego oczywiście nam w tym pomagało, ale jednocześnie i przeszkadzało. Bo pielgrzymi mahdystowscy - widząc jednego z Mahdich - zaczęli napierać na nas ze wszystkich sił, byle tylko dotknąć ręką galabii Abdullahiego. Ponieważ nie mogli dostąpić tego szczęścia wszyscy, skromniejsi zadowalali się dotykaniem nas - jako ludzi, którzy za chwilę staną przed obliczem ich papieża. Zauważyłem, że panu Biegankowi te dość męczące przejawy czci sprawiały żywą przyjemność. Z łaskawą miną przyjmował korne dotknięcia pielgrzymów, a nawet miałem wrażenie, że im się trochę podsuwał.

Na koniec dobrnęliśmy jakoś do wnętrza rezydencji. To już nie był omdurmański „pałac” z nilowego mułu. To był dwór całą gębą. W ogromnym salonie w stylu Ludwika XV, przed złotym, podobnym do tronu, fotelem, powitał nas majestatyczny starzec o wyglądzie łaskawego monarchy. Syn Proroka i „niekoronowany król Sudanu” ubrany był w strój muzułmańskich uczonych - długą, szafirową galabiję i biały, obcisły turban z czerwonym wierzchem. Uprzejmy uśmiech i zamyślane spojrzenie sir Abdel Rahmana trudno było skojarzyć z groźną wizją czterdziestu tysięcy zbrojnych jeźdźców, o których opowiadał nam kierowca Idrys.

Sześćdziesięcioletni Sayed Abdullahi po ceremonialnym ucałowaniu ręki stryja zajął miejsce po lewej stronie „tronu”. Z prawej strony seniora rodu zasiadł jego syn, Sayed Saddik, przywódca politycznej partii mahdystów Umma - młody jeszcze mężczyzna o pogodnej, pucołowatej twarzy, odziany, podobnie jak ojciec, w tradycyjny strój arabski. W ten sposób mieliśmy przed sobą trzech Mahdich reprezentujących trzy źródła mocy najpotężniejszego

rodu w Sudanie: religię, politykę i pieniądz.

Poza Mahdimi w salonie było jeszcze kilku godnie wyglądających dżentelmenów w nienagannie skrojonych europejskich garniturach - zapewne wysokich funkcjonariuszy państwowych i partyjnych. Z trzech Mahdich jedynie przywódca Ummy mówił trochę po angielsku. Sir Abdel Rahman porozumiewał się z nami za pośrednictwem sekretarza-tłumacza, którego akcent świadczył nieomylnie o studiach odbytych w Oxfordzie.

Byłem tak oszołomiony dworską atmosferą salonu oraz bliskim pokrewieństwem dostojnego gospodarza z ulubioną książką mojej młodości, że z pewnym roztargnieniem wysłuchałem jego przemówienia powitalnego. Pamiętam tylko, że syn Proroka mówił coś o przyjaźni między narodami i o konieczności ożywienia między nimi stosunków handlowych.

Ale potem nastąpił moment bardzo kłopotliwy, bo trzeba było na to przemówienie powitalne odpowiedzieć. W popłochu zerknąłem w stronę moich towarzyszy. Obydwaj mieli wzrok utkwiony we mnie. Spojrzenie pana Bieganka wyrażało błaganie: „Niech pan coś powie, redaktorze, bo inaczej źle będzie z nami!” Spojrzenie Pawła było twarde, rozkazujące: „Gadaj ty, chłopie! Jesteś przecież dziennikarzem i literatem!” Nic było rady: musiałem wygłosić przemówienie. Domyślcie się sami, o czym mogłem mówić z synem sienkiewiczowskiego Proroka. Łączył nas tylko jeden temat: powieść „W pustyni i w puszczy”. Zacząłem więc opowiadać o tej powieści.

Mówiłem straszliwie zmieszany, jękając się i zacinając co chwila. Dukałem jak źle przygotowany uczeń z szóstej klasy, któremu nauczyciel polskiego kazał streścić historię Stasia i Nel. Ale byłem w gorszej sytuacji niż uczeń szóstej klasy, bo nie mogłem mówić wszystkiego. Musiałem w ten sposób układać swoje streszczenie, aby nie było w nim żadnych złych rzeczy o Mahdim i mahdystach.

Rezultat tego przemówienia przeszedł wszelkie oczekiwania. Sir Abdel Rahman, po wysłuchaniu tłumaczenia, uśmiechnął się łaskawie i powiedział coś do sekretarza. Sekretarz przełożył nam jego odpowiedź.

- Sir Abdel Rahman bardzo się cieszy, że w literaturze polskiej jest książka opisująca sławne dzieje powstania narodowego, któremu przewodził wielki jego ojciec. Sir Abdel Rahman żałuje, że dopiero teraz dowiedział się o tej książce. Przyrzeka, że w najbliższym czasie zostanie ona przetłumaczona na język arabski i będzie wydana w Sudanie.

Przyznaję, że po tych słowach mróz przeszedł mi po kościach. Spojrzałem na przyjaciół. Bwana Kubwa miał minę bardzo niewyraźną. Pan Bieganek gwałtownie ocierał sobie pot z czoła.

Potem nie było już nic ciekawego. Po skończeniu audiencji Sayed Abdullahi odesłał nas

samochodem do hotelu.

Kiedy znaleźliśmy się wreszcie sami, jęknąłem ze zgrozą:

- Co to będzie, jeśli oni naprawdę przetłumaczą tę książkę?

Pan Bieganek znowu otarł sobie pot z czoła.

- I jak ją przeczyta te czterdzieści tysięcy zbrojnych jeźdźców.

Ale Bwana Kubwa odzyskał już dobry humor. Odczułem to natychmiast na swoim ramieniu.

- Nic się nie martwcie, chłopcy! Pamiętajcie, że w Sudanie obowiązuje „system bokra”. Tu się nikomu nie śpieszy. Zanim oni zabiorą się do tłumaczenia „W pustyni i w puszczy” - my już dawno będziemy w Polsce, poza zasięgiem wpływów sir Abdel Rahmana i jego czterdziestu tysięcy zbrojnych jeźdźców!

Tego samego dnia wieczorem jeszcze jedno zaskoczenie zgotował nam pan Bieganek. Przyszedł na kolację w stanie wielkiego podniecenia i od razu nas spytał:

- Panowie, czy wy wiecie, jak się nazywała podczas angielskiej okupacji ta ulica, przy której mieści się pałac Abdel Rahmana?

Referent stale się grzebał w angielskich przewodnikach i książkach o Sudanie i co parę dni wyciągał stamtąd rewelacje. Ale skąd my mieliśmy znać dawne nazwy chartumskich ulic?

- Nazywała się ulicą Slatina-paszy, To przecież zupełnie niezwykle zbieg okoliczności, musicie przyznać!

Nie mogliśmy przyznać, ponieważ nie widzieliśmy w tym nic niezwykłego - po prostu dlatego, że nazwisko Slatina-paszy niewiele nam mówiło.

Pan Bieganek najpierw wyraził ubolewanie z powodu naszej bezprzykładnej ignorancji, a potem opowiedział nam przedziwną historię austriackiego awanturnika, Rudolfa Slatina, znanego w historii Sudanu i Egiptu pod nazwiskiem Slatina-paszy.

Na trop tej historii natrafił referent jeszcze podczas swego pobytu w Finlandii. Kiedy dowiedział się, że grozi mu przeniesienie do Egiptu natychmiast udał się do Biblioteki Publicznej w Helsinkach i zabrał się do studiowania literatury o tematyce afrykańskiej. Ponieważ bardzo bał się Afryki, więc uwagę jego przyciągnęły przede wszystkim utwory o groźnych tytułach. Dlatego też jedną z pierwszych pozycji, jakie; pan Bieganek przeczytał, była stara książka niemiecka Rudolfa Slatina „Ogień i miecz w Sudanie” Książka ta, opowiadająca o przeżyciach Europejczyków w niewoli u mahdystów sudańskich, zrobiła na nim duże wrażenie. Zaczął więc się rozpytywać o jej autora. Okazało się, że osoba autora książki „Ogień i miecz w Sudanie” była równie niezwykle, jak historia samej książki.

Slatin, Austriak chorwackiego pochodzenia, był generałem w służbie egipskiego

kedywa. W momencie wybuchu powstania Mahdiego zarządzał jako gubernator prowincją Dar Fur, która pierwsza wpadła w ręce powstańców.

Po dostaniu się do niewoli gubernator Slatin-pasza zachował się jak stuprocentowy kolaborancista. Przeszedł na mahometanizm, zmienił nazwisko na sudańskie i w krótkim czasie z jeńca stał się domownikiem, doradcą i zausznikiem Mahdiego. Powstańcy bardzo potrzebowali doświadczonych fachowców administracyjnych, więc chętnie korzystali z usług byłego jeńca, który przy każdej okazji zapewniał Proroka, że „kocha go bardziej niż samego siebie”.

Po śmierci Mahdiego Slatin jeszcze przez dziesięć lat zajmował rozmaite wysokie stanowiska na dworze kalifa Abdullahiego. Jego mahdystowskie zapęły ostygły dopiero w roku 1895, kiedy już coraz wyraźniej zanosilo się na zbrojną interwencję kolonizatorów przeciwko powstańcom. Podwójny renegat nawiązał wówczas kontakt z wojskowym wywiadem anglo-egipskim i przy jego pomocy zbiegł z państwa mahdystów.

Po powrocie do Kairu były jeńiec i były dostojnik mahdystowski spłacił dług wdzięczności za ułatwienie mu ucieczki. Natychmiast spisał po niemiecku relację ze swej dwunastoletniej niewoli, malując mahdyzm w odpowiednio czarnych barwach. Książka „Ogień i miecz w Sudanie” została wydana błyskawicznie. Na język angielski przełożył ją szef wywiadu egipskiego, angielski major Wingate, późniejszy gubernator generalny Sudanu.

Książka Slatina rozeszła się po całym świecie i dzięki swemu „naocznemu” charakterowi stała się głównym źródłem informacji o mahdystach. O to właśnie chodziło jej wydawcom. Bo celem ich było zohydzenie powstania niepodległościowego w Sudanie, a przez to samo usprawiedliwienie przed światem przygotowywanej interwencji zbrojnej generała Kitchenera.

Taką to przedziwną historię z przeszłości wygrzebał nasz przyjaciel, pan Bieganek, w swych ukochanych Helsinkach - i taką to historię „zastrzelił” nas owego wieczoru przy „polskim stoliku” w chartumskim „Grand-Hotelu”.

Patrzyliśmy na niego ze szczerym uznaniem. Ori to uznanie wyczuł i postanowił olśnić nas jeszcze bardziej.

- A ja sobie myślę, panie redaktorze, że nasz Sienkiewicz także musiał tę książkę Slatina czytać. Sam przecież w Sudanie nie był, więc na pewno właśnie z tej książki zaczerpnął swoje wszystkie wiadomości o mahdystach.

Wzruszony zamrugał oczami.

- Niech pan sam powie, redaktorze... Kiedyś tam mahdyści wzięli do niewoli jakiegoś kolonizatora, a teraz my nie możemy przez to dać do czytania Sudańczykom jednej z naszych

najpiękniejszych książek...

ROZDZIAŁ XI

Krótką rozmowa z czytelnikami - Niepokoje autora - Genialny pomysł pana Bieganka - Czarny student z plemienia Dinka - Święta dzida Lirpiou i różne inne ciekawe rzeczy - Tajemniczy telefon i co z niego wynikło - Pożegnanie z panem Biegankiem - Ostatnia depesza do redakcji

A więc, drodzy Czytelnicy, zbliżamy się powoli do końca tej opowieści.

„Jak to? - słyszę oburzone protesty. - Więc to ma być cała wędrówka śladami Stasia i Nel? Przecież nie wychyliliśmy nosów poza Chartum i Omdurman. A gdzie murzyńskie południe Sudanu? Gdzie współplemieńcy Kalego i Mei? Gdzie dżungla i busz? Lwy i słonie?”

Cóż robić, moi drodzy, reporter nie zawsze jest panem swojej woli; Wierzcie mi, że ja sam bardzo chciałem zwiedzić murzyńskie prowincje Sudanu, czyli tak zwane „Czarne Południe”, ale nie udało się. Po prostu nie stać mnie było na taką podróż.

Wyprawa do południowego Sudanu to dość skomplikowane przedsięwzięcie. Płynie się tam statkiem w górę Białego Nilu aż do Faszody, która dzisiaj nazywa się Kodok, albo jeszcze dalej do Malakal, Bor, Mongallo. Taka przejażdżka rzeczna trwa blisko miesiąc i jest podobno bardzo męcząca i monotonna.

Można także jechać szlakami lądowymi, lecz tylko wtedy, gdy jest zupełnie sucho, bo w czasie pory deszczowej drogi południowego Sudanu zmieniają się w niemożliwe do przebycia błotniste bajory. Wyprawa lądowa wymaga specjalnego przygotowania i ekwipunku. Trzeba mieć do tego samochód turystyczny, namiot, przewodników i rozmaite pozwolenia i przepustki.

Pozostaje jeszcze, oczywiście, komunikacja lotnicza: najszybsza i stosunkowo najprostsza. Lecz samolotem można dolecieć tylko do trzech prowincjonalnych stolic Czarne Południa: Wau, Malakal i Juby. Poza tym przejazdy lotnicze diabelnie drogo kosztują.

Krótko mówiąc, do wyprawy na Czarne Południe potrzebne są dwie rzeczy: czas i pieniądze. A ja - po blisko dwumiesięcznym pobycie w Afryce - nie miałem już ani czasu, ani pieniędzy.

Ale nie myślcie, kochani, że łatwo mi było zrezygnować z podróży na Czarne Południe. Ostatnie dni pobytu w Chartumie miałem gruntownie zatrute przez niepokój sumienia. Siedzieliśmy z panem Biegankiem na tarasie „Grand-Hotelu”, sączyliśmy lemon-squash soda, a ja wypląkiwałem swoje żale.

- Klops nad klopsami, panie Bieganek - biadoliłem gorzko. - Z jakim ja czołem powrócę do Warszawy? Czytelnicy spodziewają się po mnie Bóg wie czego. Myślą, że przedzieram się pieszo przez dżungle, że tropię ślady lwów i słoni, oganiam się przed muchami tse-tse, nocuję w „tuklach” murzyńskich... A ja tu tymczasem siedzę z panem na tarasie „Grand-Hotelu”, popijam ten przekłety lemon-squash soda, od którego niedługo brzuch mi pęknie, i nie mam już za co jechać na Czarne Południe. Smutny jest los ubogiego reportera, panie Bieganek.

Referent kiwał współczująco głową, ale jednocześnie przyznawał, że opis podróży po Sudanie bez informacji o Czarnym Południu - byłby jak kurczę bez nadzienia.

- Więc co robić, panie Bieganek, jaka na to rada?

- Chwileczkę - rzekł wielki odkrywca i Pogromca Lampartów. – Niech pan mi pozwoli pomyśleć. Spróbuję coś wykombinować. Zapadło długie milczenie. Pan Bieganek powoli ciągnął przez słomkę musujący płyn.

Na koniec wypił wszystko i zdecydowanym ruchem odsunął od siebie szklankę.

- Już mam!

- Co pan ma, pieniądze na wyjazd?

- Mam myśl.

- E, tam... - mruknąłem lekceważąco.

Ale pan Bieganek nie zwrócił na to uwagi. Pochylił się nad stołem i zajrzał mi głęboko w oczy.

- Jest pan dziennikarzem, tak czy nie?

- No, pewnie, że jestem. Widział pan przecież mój paszport.

- Więc sprawa załatwiona. Będzie pan miał w swojej książce rozdział o Czarnym Południu.

Spojrzałem z niepokojem na słońce, potem na twarz referenta. Złąkłem się, czy biedak nie wypocił z siebie, przypadkiem, za dużo soli.

A pan Bieganek, zacierając swoje piegowate rączki, przywołał kelnera w zielonej szarfi i kazał sobie podać jeszcze jedną szklankę lemon-squash soda.

- Panie Bieganek, na litość boską, nie męcz pan dłużej. Co to wszystko znaczy?

- Chwileczkę, redaktorze, tylko gardło sobie przepłuczę, bo zupełnie mi zaschło.

Kiedy postawiono przed nim zamówiony napój, pociągnął tęgi łyk i wrócił do przerwanej rozmowy.

- Dziennikarze, jak panu wiadomo, zajmują się nie tylko reportażem. Czasem przeprowadzają także wywiady prasowe. Tak czy nie?

- Tak... ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

- Zaraz pan zrozumie. Po prostu poszukamy w Chartumie jakiegoś Murzyna, pochodzącego z południowych prowincji, i przeprowadzi pan z nim wywiad na temat jego stron rodzinnych. W ten sposób, nie wyjeżdżając z Chartumu, zdobędzie pan wszystkie; potrzebne wiadomości o Czarnym Południu. Jasne?

- Panie Bieganek - powiedziałem ze wzruszeniem. - Pan jest nie tylko Wielkim Odkrywcą, ale ponadto człowiekiem genialnym! Nie wiem, jak panu dziękować. Uratował pan mój autorski honor.

Referent zarumienił się i skromnie spuścił oczy.

- A widzi pan, redaktorze. Przecież mówiłem, że na Bieganku zawsze można polegać. Od razu zaczęliśmy się zastanawiać, z kim dałoby się przeprowadzić taki wywiad.

W Chartumie Murzynów było sporo i niektórych z nich znaleźmy dobrze z widzenia. Wiedzieliśmy na przykład, że Murzynem z Południa był jeden z pięciu prezydentów Republiki Sudańskiej. Ale prezydenci wykonywali swe funkcje na przemian w kadencjach miesięcznych, a w lipcu urzędował prezydent arabski. Jego murzyński kolega przebywał w tym czasie w rodzinnym Malakal, gdzie prowadził niewielkie przedsiębiorstwo handlowe.

Było także kilkunastu posłów z Partii Liberalnej Południa, zasiadających w Parlamencie Sudańskim. Widywałem ich niemal codziennie, kiedy wychodzili z gmachu Parlamentu. Byli to młodzi, weseli dżentelmeni w eleganckich garniturach europejskich i jasnoszarych, nowych kapeluszach. Na oko nie mieli nic wspólnego z dżunglą i buszem - i wprost trudno było uwierzyć, że jeszcze przed paru laty mieszkali w zwykłych trzciniowych tuklach wsi murzyńskich.. Ale jak tu podejść do członka Parlamentu i poprosić go o wywiad prasowy? Nie odważyłbym się tego uczynić nawet w stosunku do posła naszego Sejmu w Warszawie, cóż więc dopiero w Chartumie. Zresztą posłowie byli osobistościami politycznymi, a osobistości polityczne zazwyczaj niechętnie udzielają wywiadów dziennikarzom zagranicznym. Nie, murzyńscy posłowie stanowczo nie mogli być brani w rachubę.

Poza tym znaleźmy jeszcze murzyńskiego dozorcę z chartumskiego zoo. Opowiadał on nam wiele ciekawych rzeczy o polowaniach na słonie, w których uczestniczył niegdyś jako boy europejskich myśliwych. Niestety, nasze stosunki popsuły się z chwilą, gdy dawny boy wyznał, że ulubionym przysmakiem jego współplemieńców była galareta z nóg... słoniowych. Panu Biegankowi ta informacja wydała się tak nieprawdopodobna, że z miejsca zdyskwalifikował opowiadającego jako bezczelnego kłamcę. Dozorca z zoo odpadał więc również.

Pozostali jeszcze murzyńscy posługacze z „Grand-Hotelu”. Z tymi jednak trudno było przeprowadzić wywiad, gdyż nie znali ani jednego słowa w żadnym europejskim języku.

W praktyce piękny pomysł pana Bieganka okazał się wcale nie łatwy do zrealizowania. Ale nie traciliśmy nadziei. Włóczyliśmy się niestrudzenie po całym Chartumie, wypatrując pilnie Murzynów - zupełnie jak dawni chartumscy łowcy niewolników. I na koniec znaleźliśmy odpowiedniego kandydata do wywiadu.

Owego ranka było wyjątkowo gorąco. Nasze organizmy w przyspieszonym tempie wydzielaly z siebie sól, a nasze nogi upodabniały się coraz bardziej do wspomnianej wyżej „słoniowej galarety”. Nawet w akacjowej alei nadbrzeżnej trudno było spacerować. Zatrzymaliśmy się więc przed gmachem uniwersytetu i przysiedliśmy na zacienionych schodach przystani rzecznej.

W Nilu pluskała się jak zwykle gromadka wesołych studentów. Pan Bieganek otworzył termos, z którym nie rozstawał się nigdy, i popijając przegotowaną ciepłą wodę, snuł ponure horoskopy na temat przyszłości lekkomyślnej młodzieży sudańskiej, która lekceważy sobie niebezpieczeństwo bilharecji i innych pcisożytów nilowych. Ja łykałem pastylki solne i zazdrościłem studentom ich beztrioskiej kąpieli.

W pewnej chwili jeden z kąpiących się wyszedł na brzeg. Na jego widok zamarły nam serca. Był to młody, przystojny Murzyn o wyjątkowo długich, smukłych nogach. Te nogi w sposób nieomylny mówiły o jego przynależności do południowosudańskiego szczepu Dinków. Widywaliśmy przecież nieraz fotografie ludzi ze szczepu Dinków, zamieszkującego wybrzeża Białego Nilu i Rzeki Gazelej. Tak, to był czystej krwi Dinka - współplemieniec łagodnej Mei z powieści „W pustyni i w puszczy”.

- Mamy go - szepnął referent i energicznie zakorkował termos.

- Mamy go - powtórzyłem drżąc z emocji.

Tymczasem student Dinka usiadł na piasku obok swego ubrania, wyciągnął z kieszeni spodni regowe okulary, przetarł je chusteczką, założył na nos i rozejrzał się wkoło. Później wziął spod zawiniątka książkę i jakieś notatki i zabrał się do czytania.

- Czyta! - szepnął ze zdumieniem pan Bieganek.

- Czyta - powtórzyłem jak echo.

Siedzieliśmy jak zaczarowani i pożeraliśmy go wzrokiem. Wszystko, co robił, wydawało nam się niezwykle.

Po kilku minutach obserwowany znowu sięgnął do kieszeni ubrania i wyciągnął z niej nylonowy woreczek. Następnie wyjął z woreczka kawałek brązowo-zielonej łądygi i zaczął ją gryźć.

- Co on je? - zaniepokoił się pan Bieganek. :

- Trzcinę cukrową - wyjaśniłem szeptem.

- Coś podobnego! - zdumiał się referent.

Ale samo siedzenie i patrzanie nie załatwiło jeszcze sprawy. Trzeba było przejść do czynów - i to jak najszybciej. Tylko że żaden z nas nie wiedział, jak to zrobić, bo nawiązanie rozmowy z nieznanym to wcale nie taka łatwa rzecz. Postanowiliśmy czekać na odpowiednią okazję.

Tymczasem student Dinka wyssał całą słodycz z trzciny cukrowej, wypluł lodygę i po raz trzeci sięgnął do leżącego obok ubrania. Wyciągnął papierosa, włożył go do ust, po czym zaczął czegoś szukać po wszystkich kieszeniach. To właśnie była ta wymarzona okazja, na którą czekaliśmy. Powstaliśmy jednocześnie i rzuciliśmy się w stronę studenta. Ja z zapalniczką, a pan Bieganek z zapalkami.

Ale wiecie, jak to bywa w pośpiechu. Moja zapalniczka się nie zapaliła, a referent tak się zdenerwował, że co przytknął zapalkę do pudełka, to natychmiast mu się łamała. Czarny student przyglądał nam się z wyraźnym przestrawieniem. Najpewniej wziął nas za wariatów.

- Dlaczego pan nie zapala? - warknąłem na Bieganka.

- Widzi pan przecież, że za... za... zapalam - dygotał Pogromca Lampartów - tylko zapalki jakieś wy... wy... wybrakowane.

Nie zważając na jego opór wyjąłem mu pudełko z rąk i podałem ognia Murzynowi. Student podziękował uprzejmie, ale widać było, że niepokój go jeszcze nie opuścił.

- Panowie pewnie Amerykanie?

- Nie, jesteśmy z Polski.

Dinka się uśmiechnął. Mówił wybornie po angielsku.

- A... Polska. Wiem! W Polsce uczy się dużo czarnych studentów. Słyszałem: Polska!... Warszawa!...

Początek był zrobiony. Rozsiedliśmy się na piasku obok nowego znajomego i rozmowa jakoś się potoczyła. Wyjaśniłem studentowi, na czym polega pomysł pana Bieganka. Dinka od razu zgodził się na udzielenie nam wywiadu. Obawiał się tylko, czy zdoła zaspokoić naszą ciekawość.

- Dużo jest do mówienia. Najlepiej pytajcie o to, co was specjalnie interesuje. Ja będę odpowiadał.

- Pan jest ze szczepu Dinka, prawda?

- Tak. Jestem Dinka. Skąd o tym wiecie?

- Poznaliśmy po nogach. Polacy lubią Dinków, bo w jednej z najpiękniejszych naszych powieści występuje sympatyczna młoda Murzynka z tego szczepu. Nazywa się Mea.

- Mea? Nie znam takiego imienia. Ale to bardzo ciekawe, że w polskiej powieści

występuje dziewczyna ze szczepu Dinka! Więc dlatego interesują was moje strony rodzinne?

- Między innymi także dlatego. Ale w ogóle interesuje nas Czarne Południe. To niezwykle kraj.

- Dlaczego niezwykle? Tam nie ma nic niezwykłego.

- Jak to, nie ma? A lwy?

- Lwy są. Kiedy byłem zeszłego lata w mojej rodzinnej wiosce, lew w biały dzień porwał cielaka ze środka wsi.

- A słonie?

- Niestety, są także. To najgroźniejsze szkodniki, plaga naszych pól. Tratują plantacje, niszczą nasze zbiory. Moi bracia polują na słonie. Rzucają na nie z drzew oszczepem. Rząd nie pozwala zabijać słoni, ale ludzie muszą bronić swych pól.

- To pańscy bracia mieszkają jeszcze w rodzinnej wiosce? Niech pan opowie nam coś o ich życiu.

- Nie ma co opowiadać. Zwyczajne życie Dinków. Ciężkie, monotonne. Dinkowie wędrują za wodą. Rzeka opada - schodzą niżej i na jej zalewisku sieją swoje proso. Rzeka się podnosi - zbierają proso i wracają do swoich wsi na wzgórzach. W dzień pasą swoje bydło, nocami palą ogniska, żeby odpędzać od niego muchy tse-tse. Bydło jest dla Dinków wszystkim. Dinka za krowy kupuje sobie żonę. Siły i odwagę bierze stąd, że pije krowie mleko, zmieszane z krowią krwią. Jego ulubionym zajęciem jest głaskanie przez całe lata krowich rogów dla nadania im jak najwymyślniejszego kształtu. Im dziwniejszy kształt rogów ma krowa, tym większym szacunkiem cieszy się jej właściciel. Dinka poluje też na ryby. Rzuca w nie włócznią - podobnie jak w słonie. Płynąc statkiem w górę Białego Nilu widzi się co parę kroków rybaka Dinkę, jak z włócznią w ręku stoi na jednej nodze i czatuje całymi godzinami na ryby.

- Dlaczego na jednej nodze?

- Żeby do ciała dostawało się mniej wilgoci. Ptaki brodzące zachowują się tak samo. Dinkowie nauczyli się swoich zwyczajów od ptaków i zwierząt.

- I pan twierdzi, że to są zwykłe rzeczy?

Student poprawił sobie okulary.

- Tak, dla nas to są zwykłe rzeczy. Lwy i słonie były u nas zawsze, Dinkowie zawsze żyli i pracowali w ten sposób. Ja widzę niezwykłość w czymś zupełnie innym.

- W czym mianowicie?

- W tym, że jeden z Dinków jest dzisiaj ministrem rządu sudańskiego, że Dinkowie są posłami i senatorami, że w naszej wsi zbudowano szkołę, że ja mogę studiować na uniwersytecie. Tego dawniej nie było.

Student, nie przerywając opowiadania, zaczął się ubierać. Wciągnął na siebie białą koszulkę z krótkimi rękawami i długie, granatowe spodnie z cienkiej, tropikalnej materii. Potem znowu wyjął swój nylonowy woreczek i poczęstował nas trzcina cukrową. Zlekceważyłem sobie ostrzegawcze znaki pana Bieganka i od razu zabrałem się do żucia brązowej łydgi. Było to słodkie aż do mdłości, lecz bardzo krzepiące. Referent swój kawałek trzciny owinął pieczęlowicie w chusteczkę i wsunął w kieszeń spodni. Pogromca Lampartów ślepo przestrzegał najsurowszych przepisów higieny afrykańskiej i za nic nie zjadłby żadnego produktu roślinnego przed dokładnym obmyciem go ciepłą wodą i mydłem. Termos z wodą i mydło miał jak zwykle przy sobie, ale widocznie wstydził się studenta.

Tymczasem student wstał i spojrzął na zegarek. Wszystko wskazywało na to, że wywiad uważa za skończony. Ale my chcieliśmy się jeszcze dowiedzieć różnych rzeczy o Czarnym Południu.

- Niech go pan zapyta - odpowiedział pan Biegank - czy w jego rodzinnej wsi ludzie chodzą nago.

- Ludzie w mojej wsi są różni - z lekkim zniecierpliwieniem odparł Dinka. - Jedni chodzą nago jak ich ojcowie, inni w spodenkach bawełnianych, jeszcze inni w ubraniach i w kapeluszach - jak wy. Podobnie jest z kobietami. Nasze stare kobiety, przyzwyczajone do nagości, bardzo się gorszą, kiedy młode dziewczęta osłaniają nagość suknią. Uważają to za nieprzyzwoite.

- Coś takiego! - zdziwił się pan Biegank. - A u nas jest odwrotnie. U nas starsze panie bardzo nie lubią, kiedy dziewczęta mają za duże dekolty.

- A czy zachowała się jeszcze u Dinków dawna organizacja szczepowa? - spytałem studenta. - Czy istnieją jeszcze u was naczelnicy plemienni i czarownicy, o których tyle naczytaliśmy się w książkach?

- Oczywiście. Naczelnicy szczepowi i plemienni stali się teraz urzędnikami państwowymi. Są sędziami, poborcami podatków, wójtami wsi. A czarownicy? O, tak... czarownicy działają również. Zresztą...

Student znowu zerknął na zegarek i zawahał się.

- Niestety bardzo mi się śpieszy. Mamy dziś pożegnanie z profesorami, jutro odpływam na Południe. Ale chciałbym jeszcze na chwileczkę skoczyć z panami do muzeum, to dwa kroki stąd. Pokażę wam czarodziejski przedmiot Dinków.

W skromniutkim muzeum chartumskim nie było na oko nic ciekawego: jakieś wykopaliska, kości przedpotopowych zwierząt, trochę starej broni murzyńskiej.

Student pokazał nam długą dzidę myśliwską, wiszącą na ścianie.

- Macie, panowie, przed sobą Lirpiou, świętą dzidę Dinków. Wyrządziła ona sporo złego w moich rodzinnych stronach, zanim trafiła do muzeum chartumskiego.

Potem w krótkich słowach opowiedział nam historię dzidy Lirpiou. Broń tę przed wielu laty znalazły w lesie dziewczęta dinkowskie. Może wypadła z rany uciekającego słonia, a może była pozostałością po jakiejś śmiertelnej walce stoczonej przez człowieka z leśnym drapieżcą. Czarownicy dinkowscy oświadczyli jednak, że dzida spadła z nieba, i uznali jej boskie właściwości.

Słowem, dzida Lirpiou stała się „Mzimu”, jak by powiedział Kali z „W pustyni i w puszczy”. Odbywano przy niej nabożeństwa, składano jej ofiary, odwoływano się do niej jako do ostatecznej wyroczni w najważniejszych sprawach.

Trwało tak przez wiele lat. Ale w ostatnich czasach dzida Lirpiou zmieniła się z „dobrego Mzimu” w „złe Mzirnu” i poczęła się gwałtownie sprzeciwiać wszelkim postępowym zmianom w życiu Dinków.

Ustami opiekujących się nią czarowników święta dzida protestowała przeciwko odsyłaniu do szpitali chorych Dinków i poleciła ich leczyć przy pomocy starych zabobonów. Buntowała się przeciwko kontroli sanitarnej bydła, nie zgadzała się na budowę nowych dróg ani na tworzenie nowych szkół. Później skierowała swe ostrze przeciwko postępowym działaczom plemienia. Na koniec doszło do tego, że z rozkazu „złego Mzimu” grupa fanatyków zamordowała jednego z najbardziej wykształconych Dinków. Wtedy wdały się w tę sprawę wyższe władze. Dwidę odebrano jej opiekunom i odesłano do muzeum w Chartumie.

- Pytaliście, czy istnieją jeszcze u Dinków czarownicy. Dzida Lirpiou odpowiedziała za mnie. Teraz już wiecie... - mówił student, wyprowadzając nas z muzeum.

I zaraz zaczął się żegnać, bo był już porządnie spóźniony. Podziękowałem mu gorąco za wywiad i prosiłem, aby pozdrowił od nas wszystkie miłe, łagodne dziewczyny dinkowskie, podobne do Mei z powieści „W pustyni i w puszczy”.

- I niech pan pozdrowi także wszystkich rodaków Kalego - upomniał się skrupulatny referent. - To drugi czarny bohater tej książki. Należał do plemienia Wahimów osiadłego z południowej strony Jeziora Rudolfa.

- Okolice Jeziora Rudolfa to już nie Sudan, lecz Kenia - sprostował student. - Wasz Kali pochodził z Kenii. Ale nic nie szkodzi. Mam kolegów na uniwersytecie w Nairobi, więc im przekażę wasze pozdrowienia wraz z dokładnym wyjaśnieniem, dla kogo są przeznaczone.

Czarny student roześmiał się głośno, kiwnął nam na pożegnanie ręką i sadząc ogromnymi susami, pognął w stronę uniwersytetu. Kiedy zostaliśmy sami, pan Bieganek od razu powiedział:

- Jak pan mógł jeść tę brudną trzcinę? Przecież z tego można się nabawić Bóg wie jakiej zarazy!

Odmruknałem coś nieokreślonego i skrzywiłem się. Bo w Afryce wystarczy tylko usłyszeć o jakiejś zarazie, a już człowieka zaczyna boleć brzuch.

- A dobra była przynajmniej ta trzcina? - dowiadywał się Wielki Odkrywca.

- Znakomita! - odpowiedziałem mściwie.

- Hm... - mruknął referent - zaraz zaproponował: - Usiądźmy na chwilę. Zmęczyłem się jakoś tym wywiadem.

Usiedliśmy na ziemi w cieniu akacji. Pan Bieganek odwinął swoją trzcinę z chusteczki, otworzył termos, wyjął z kieszeni kawałek mydła i zabrał się do gruntownego mycia łądygi. Potem wytarł ją do sucha i zaczął żuć.

- Niedobra? - spytałem, widząc na jego twarzy grymas obrzydzenia.

- Ohyda! Smakuje zupełnie jak... mydło!

Mimo to wysssał trzcinę do końca i wcale nie stracił humoru.

- Wie pan co, redaktorze? - wyznał mi, kiedy podchodziliśmy już do hotelu. - Jakoś ten Sudan polubiłem, zaczynam się przyzwyczajać do Afryki. Zdaje mi się, że te moje ciotki miały jednak rację. Moim przeznaczeniem jest życie w gorących krajach.

Przy obiedzie pan Bieganek był „duszą towarzystwa”. Nikogo nie dopuszczał do słowa. Przez cały czas opowiadał o swoim genialnym pomysle i o niezwykłej przysłudze, jaką mi wyświadczył. Wspominał także mimochodem, że tylko jego staraniom zawdzięczałem swój przyjazd do Sudanu i całą wędrówkę śladami Stasia i Nel.

Zdenerwowały mnie te przechwałki i zamierzałem właśnie rozprawić się z nimi, kiedy naraz, tuż przy naszym stoliku, rozległ się ostry głos dzwonka rowerowego, a przedstawiciel „Metalexportu” oznajmił uroczyście:

- Panie Bieganek, wzywają pana do telefonu!

Spojrzeliliśmy wszyscy ze zdziwieniem w stronę czarnej tablicy, obnoszonej przez boyę hotelowego.

I rzeczywiście: na czarnym tle biała wykaligrafowana kredą napis:

Mr Bieganek from Poland

Panu Biegankowi odpłynęła z twarzy cała krew. Zaczął nam gorączkowo tłumaczyć, że to na pewno pomyłka lub czyjś złośliwy żart. I w żaden sposób nie chciał podejść do telefonu. Trzeba go było wypchnąć tam prawie siłą.

Po kilku minutach powrócił z miną człowieka, który połknął truciznę.

- Panie Bieganek, co z panem jest? - krzyknęliśmy przerażeni, widząc jego pozieleniałą

twarz, płaczącą minę i błędny wzrok.— Panie Bieganek, na litość boską, mów pan!

Referent ciężko opadł na krzesło.

- Załatwili mnie. Tym razem na dobre!

- Ale co się stało? Jakiś wypadek w rodzinie? W kasie brakuje pieniędzy? Wylali pana z posady?

Pan Bieganek trząśł przecząco głową, lecz z taką miną, jakby mówił: to jeszcze nie byłoby najgorsze.

- Uwzględnili moje podanie o przeniesienie - wyjechał wreszcie. - Mam jechać do Norwegii.

- Ależ to wspaniale! Więc spełniły się pańskie marzenia! Winszuję, panie Bieganek! Nie rozumiem tylko, dlaczego pan się wcale nie cieszy?

- Cieszyć się? - referent przeszył mnie spojrzeniem ostrym i złowróbnym jak święta dzida Dinków. - Teraz, kiedy już się przyzwyczailem do Afryki? Przecież to prawdziwa rozpacz! Odhartowałem się. Nie wytrzymam norweskich mrozów. Będę się stale przeziębiał. Nie, redaktorze, ja jestem stworzony do życia w gorącym klimacie. To na pewno koledzy podpuścili mi świnię!

Następnego dnia pan Bieganek opuścił Chartum. Odprowadziłem go na lotnisko z wielkim żalem, bo szczerze polubiłem tego zabawnego dziwaka.

Przed samym odjazdem, kiedy pasażerów wzywano już do samolotu, Pogromca Lampartów zagadnął mnie nieśmiało:

- Panie redaktorze, a napisze pan o mnie w tej swojej książce afrykańskiej?

- Oczywiście, że napiszę.

- Tylko żeby było bez żadnych kawałów, bo bądź co bądź jestem człowiekiem na stanowisku.

- Przyrzekam, że zrobię wszystko, aby zdobył pan sobie sympatię czytelników.

- I napisze pan, że ja odkryłem Slatina-paszę i że ja wymyśliłem ten wywiad z czarnym studentem?

- Oczywiście, że napiszę. Może pan być spokojny.

Pan Bieganek pogroził mi palcem.

- No, liczę na pana, niech pan pamięta.

I wsiadł do samolotu.

Po jego odjeździe Chartum jakoś posmutniał i stał się mniej ciekawy. Ale i ja nie zabawiłem tam już długo. W kilka dni później Paweł zakończył wszystkie swoje sprawy i zaczęliśmy się przygotowywać do powrotu. Pewnego lipcowego poranka udałem się do

chartumskiego urzędu pocztowego, aby wysłać stamtąd ostatnią depezę do mojej warszawskiej redakcji.

Depesza była krótka.

W Sudanie krokodyle są, ale nie dałem się chapnąć. Stop. Wracam do Warszawy. Stop. Proszę pozdrowić ode mnie wszystkich czytelników „W pustyni i w puszczy”.²⁸

²⁸ Dalsze losy bohaterów „Siadami Stasia i Nel” odnajdzie czytelnik w książce pt. „Z panem Biegankiem w Abisynii”.

SPIS ROZDZIAŁÓW

ROZDZIAŁ I

Telefon z redakcji - Wielka nowina - Żeby was tylko krokodyle nie zjadły - Pierwszy sprawunek podróżny - Ja także byłem małym chłopcem .

ROZDZIAŁ II

Podróż do Afryki dawniej a dziś - Jak przez Szwejka o mało co nie zostałem w Pradze - Rekiny Morza Śródziemnego - Kair widziany z góry - A narty pan ma? Egipt to nie Finlandia - Straszna noc w hotelu - Teraz wreszcie wiem, że jestem w Egipcie .

ROZDZIAŁ III

Bez Stasia i Nel - Zwiedzanie Egiptu - Student archeologii Halil - Różnice poglądów i wynikające stąd sprzeczki - Pustynia jest straszna - Wyprawa do Asuanu - Historia Nilu

ROZDZIAŁ IV

Moje przygody ze zwierzętami - W stolicy faraonów - Jak oszukałem przewodników w Dolinie Królów - Zemsta Juliusza Cezara - Dlaczego ja mam odpowiadać za skradzione skarby faraonów? - Przejazdka na wielbłądzie

ROZDZIAŁ V

Zmęczenie Egiptem i tęsknota do Pacanowa - Gdzie to się ludzie nie spotykają - Wyjazd nad Kanał Sueski - Odnalezienie zagubionego wątku - Ważna decyzja

ROZDZIAŁ VI

Wymiana telegramów z redakcją - Starania o wizę - Bierny opór pana Błęganka - Wyjazd Pawła - Jak wykładałem literaturę polską sekretarzowi ambasady sudańskiej - Wyjazd do Sudanu – Spotkanie z Gebhrem

ROZDZIAŁ VII

Pierwsze zetknięcie z Sudanem - Paweł dotrzymał słowa - Czy zamierza pan polować na grubego zwierza ? - Jeździec na wielbłądzie - Chartumski „Grand-Hotel” - Walka z wentylatorem - Suchy toast na cześć bohaterów „W pustyni i w puszczy”

ROZDZIAŁ VIII

Pierwszy, dzień w Chartumie - Magiczne słowo „bokra” - Restauracja „Grand-Hotelu” - Dobre rady przyjaciół - Jak się pan poci? - Bez soli trudno żyć - Wyprawa do miasta - Aleja historycznych wspo mnień - Jak to było z tym Gordonem?

ROZDZIAŁ IX

Tam gdzie spotykają się dwa Nile - Wyprawa do Omdurmanu - Bardzo dziwne miasto - Pamiątki po mahdystach i grób Mahdiego - Odwet za śmierć Gordona - Słupy pielgrzym - Powrót do Chartumu - Nieoczekiwany gość - Wieczne najście mahdystów

ROZDZIAŁ X

Zwierzyna Sudanu i pan Bieganek - Referent włącza się w akcję „Staś i Nel” - Kuzyn słonia Kinga - Burza piaskowa - Potomek Proroka - Wizyta u Abdullahiego el Mahdi - Audiencja na dworze „niekoronowanego króla Sudanu” - Dobre strony „systemu bokra”

ROZDZIAŁ XI

Krótką rozmowa z czytelnikami - Niepokoję autora - Genialny pomysł pana Bieganka - Czarny student z plemienia Dinka - Święta dzida Lirpiou i różne inne ciekawe rzeczy - Tajemniczy telefon i co z niego wynikło - Pożegnanie z panem Biegankiem - Ostatnia depeza do redakcji